

POMERANIA[®] 5

Miesięcznik społeczno-kulturalny Maj 1998

Cena 3 zł



Indeks 371939 PL ISSN 0238-9045

Tu hola!
Czerska
epopeja

Jesień leśnych ludzi. Płonące muzea

Bory Tucholskie

NAGRODY POMERANII

Zespół i kolegium redakcyjne „Pomeranii” podczas spotkania 21 kwietnia w Domu Kaszubskim w Gdańsku przyznało Skry Ormuzdowe, honorowe wyróżnienia za nieprzeciętną działalność na rzecz małej ojczyzny oraz nagrodę im. Romana Wróblewskiego dla młodego twórcy literatury kaszubskiej.

W tym roku laureatami Skry Ormuzdowej zostali:

- **Jan Ejankowski**, emerytowany nauczyciel z Piaseczna, inicjator regionalizacji nauczania na Kociewiu, opiekun pamiątek etnograficznych i historycznych, współtwórca młodzieżowego zespołu folklorystycznego Piaseckie Kociewiaki.

- **Andrzej Grzyb**, poeta, burmistrz Czarnej Wody, animator wielu działań popularyzujących miejscową kulturę i sztukę; za jego sprawą m.in. ukazuje się „Merkuriusz Czarnej Wody”, odbywają się coroczne „Biesiady literackie”, organizowane są wystawy, jak ubiegłoroczna malarstwa, rzeźby i grafiki „Anioły”.

- **Jaromir Szroeder**, nauczyciel, młody muzyk i animator kultury z Parchowa, twórca teatru Dialogus, łączącego tradycje kaszubskie z nowoczesnymi formami przekazu scenicznego; organizator corocznych „Biesiad teatralnych”, warsztatów oraz spotkań profesjonalnych i amatorskich grup teatralnych.

- **Wspólnota Kaszubów i Przyjaciół Kaszub**, działająca od ponad dziesięciu lat przy parafii NMP Królowej Różańca Świętego w Gdańsku Przymorzu; wspólnota gromadzi się na comiesięcznych mszach św. z kaszubską liturgią słowa i spotkaniach integrujących społeczność kaszubską parafii, wzbogacanych wykładami ludzi kultury i nauki.

- **Zespół redakcyjny miesięcznika „Lesôk”**, wydawanego przez wspólnotę samorządową w gminie Szemud; na łamach ukazującego się od ponad pięciu lat pisma redakcja, publikując informacje i artykuły o miejscowym życiu gospodarczym, kulturalnym i społecznym, z głębokim zaangażowaniem prezentując tematykę kaszubską, buduje obywatelską społeczność gminną.

Nagrodę literacką im. Romana Wróblewskiego dla początkującego twórcy literatury kaszubskiej przyznaliśmy w tym roku **Michałowi Pieperowi**, młodemu poecie z Rumi. Nagrodę, w wysokości 550 koron duńskich ufundowała rodzina patrona – Beata i Roman Wróblewscy z Danii.

Laureatom serdecznie gratulujemy.

Redakcja

POMERANIA

Nr 5 (302) Rok zał. 1963

Mój 1998



Dariusz Piasek	<i>Kolory pomorskich regionów</i> Bory Tucholskie	2
Józef Borzyszkowski	<i>Kultura materialna Borów Tucholskich</i> Odnaleziony tekst	6
Ks. Bernard Sychta	Borowiacy	9
Kazimierz Ostrowski	Równolatek Gdyni	12
Czesława Betejlewska	Co nieco historii	16
Jerzy Szwankowski	Tu hola!	18
Adam Pałuskiewicz	Tucholska bombardacja	23
Jacek Indelak	Jesień leśnych ludzi	24
Ks. Franciszek Kamecki	Wiersze	32
Hanna Szulwic	Malować dobrze można wszędzie	33
Hanna Bronke	„Tygodnik Tucholski”	34
Ludwik I. Lipnicki	Wdecki Park Krajobrazowy	35
s.j.	Stolemy w Sali Białej	38
Bożena Szymańska	Cędowny zwłak kaszëbsczich kòladów	39
Adam Bigus	Przëcyganië do kaszëbiznë	40
Krzysztof Wirkus	Midzë Kòscolã a Amërikã	40
	III konkurs <i>Lato na Kaszubach i Pomorzu</i>	41
Erwin Kruk	<i>Z mazurskiego brulionu</i> Płonące muzea	42
Piotr Stalmaszczyk	Szkocja, jej historia i języki	44
Ewa Rogowska	<i>Z kaszubskiego zielnika</i> . Fiolki	47
Jolanta Nitkowska	Peregrynacje darłowskiego ołtarza	49
Jolanta Węglarz	Fascynująca kaskada	52
J.B.	Kapliczka z pustkowie Lipowiec	54
J.B.	Złoty jubileusz i wspomnienia ks. Kazimierza Zwolenkiewicza	55
Bernard Konarski	W Toruniu – „Lech”	56
Adam Pawlak	Rozmaitości	57
	Recenzje	59
Paweł Dzianisz	Regal regionalny	65
	Listy	66
	Klëka	67
Kow.	Informacje regionalne	72

Chełmniacy nazywają Borowiaków *Borakami*, Kaszubi *Borowianami*, *Tuchółkami* lub pogardliwie *Sziszkowjanami*, same zaś Bory Tucholskie *Sziszkami*. Uon tam mjeszko jaż w nech Sziszkach, gdzie mu sziszki bez kuemjin w grópe lecą – powiadają w Puzdrowie w powiecie kartuskim o kimś, kto mieszka w Borach Tucholskich.

Borowiacy, s. 9

Patrząc na mapę etnograficzną, nie wiadomo, gdzie Czersk przypisać. Do Kaszub chyba nie, bo ponoć graniczną miejscowością jest Karsin, oddległy o 12 kilometrów, aczkolwiek Wojtał i Odry z czerskiej gminy też są Kaszubom bliskie. Łąg zaś, tworzący razem z przyległymi wioskami sporą aglomerację, wyraźnie patrzy na Kociewie. A Rytel, Krzyż i Gutowiec? To miejscowości pogranicza kaszubsko-borowiackiego, lecz dalej idąc w kierunku Legbada i Woziwody, coraz głębiej już wchodzimy w Bory Tucholskie.

Równolatek Gdyni, s. 12

Najpierw duktem przez las, mroczny, tajemniczy. Duktem wspinającym się na strome wzniesienie. Osiągamy jego grzbiet i nagle dukt się urywa. Zatrzymuję auto, wysiadam. Idę na skraj wzgórza. Dukt jest, ale jakby spadał w przepaść. Zejść pewnie trudno, coś dopiero mówić o jeździe. Wycofujemy się. Szukam innej drogi. Jest, mniej stroma. Opada łagodnie na dno parowu i się... kończy. W reflektorach auta stado zdziwionych saren. Stoją sobie, ani myślą uciekać. Nad głowami pohukiwanie, poskrzekiwanie nocnego ptactwa. Wokół poszum koron i skrzypienie pni. Księżyc pojawia się i znika za upiornymi obłokami, przetaczającymi się szybko po niebie... I jak tu Borów nie kochać?...

Jesień leśnych ludzi, s. 24

Na okładce fotografia Dariusza Piaska

Wydawca: Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Adres redakcji: Straganiarska 20-22, 80-837 Gdańsk, tel. 301-90-16, 346-27-23, fax 346-26-13
Konto: BG IV Oddz. Gdańsk 10401211-664390-132
e-mail: zk-p@free.ngo.pl

Redakcja: Stanisław Janke, Cezary Obracht-Prondzyński (redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Jan Misiek (opracowanie graficzne), Ewa Judycka (korekta), Elżbieta Wasiluk (skład)

Kolegium: Józef Borzyszkowski, Stanisław Pestka, Dariusz Piasek, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak, Donald Tusk, Tomasz Wicherkiewicz

Druk: Drukarnia „Triada”,
Gdańsk ul. Cieszyńskiego 1

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów

Numer wydano dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki, Urzędów Wojewódzkiego i Miejskiego w Gdańsku
Prenumerata „Pomeranii” w kraju w I półroczu 1998 wynosi: 18 zł / (1 egz. 3 zł) ; za granicę: 54 zł; kwartalnie w kraju: 9 zł ; za granicę: 27 zł

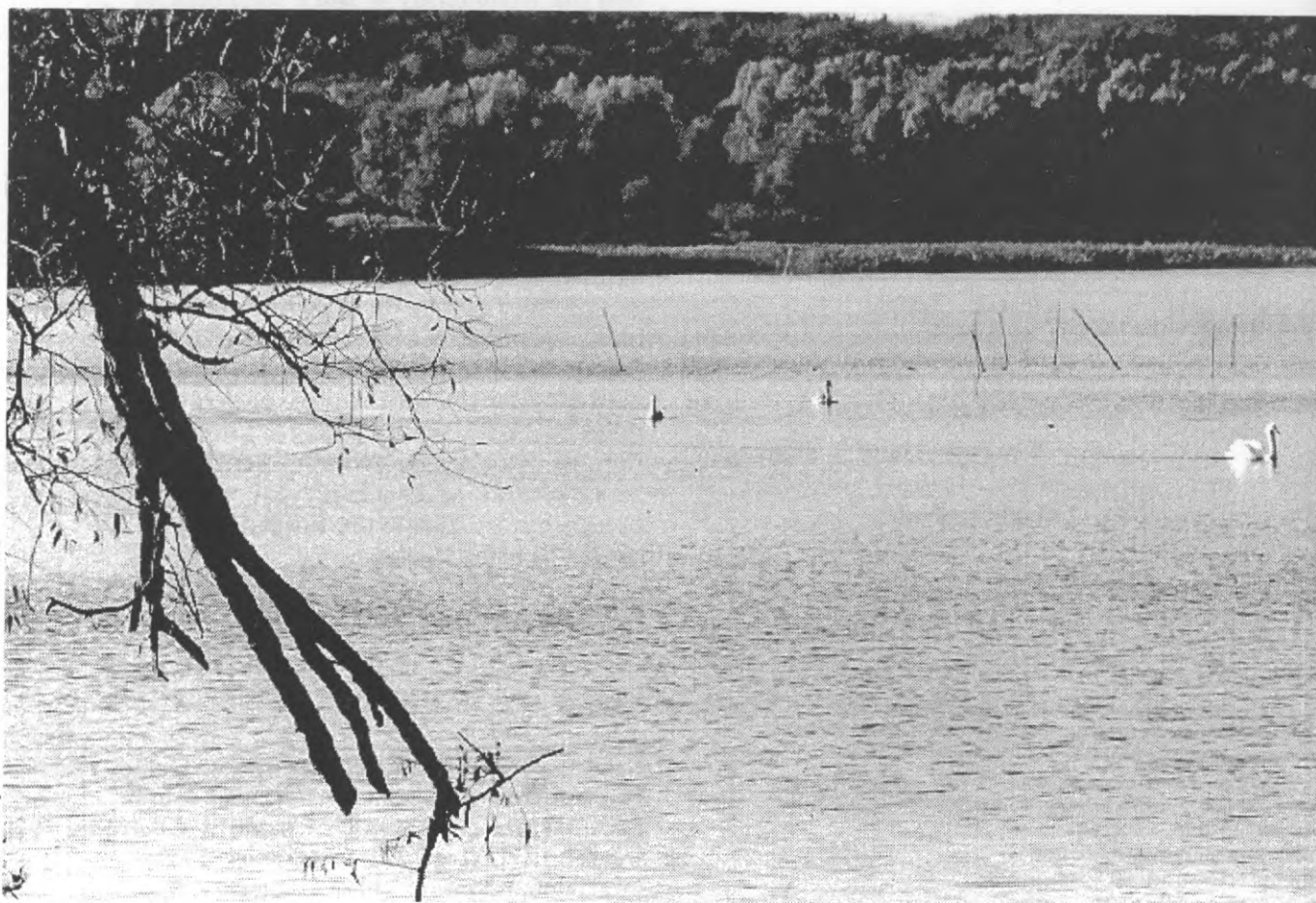
Kolory pomorskich regionów

BORY

TUCHOLSKIE

Borowiacy mają pewne poczucie swojej odrębności. Na samych siebie mówią Borowiaki lub Borusy, co z wielką dumą podkreślają. Swą nazwę etniczną wywodzą od borów, które zamieszkują. Poza tym poszczególne grupy ludności borowiackiej noszą rozmaite przezwymy etniczne. Tak np. mieszkańców parafii Lipinki w pow. świeckim przezywają Cybuchami lub Fajfkarzami od namiętnego palenia fajek, czyli cybuchów.

ks. B. Sychta



Jezioro Charzykowskie Fot. Adam Paluszkiewicz

Chociaż dalekie od stanu pierwotnego w sensie przyrodniczym, Bory Tucholskie są największym zachowanym fragmentem ogromnego kompleksu leśnego, który, rozciągając się szerokim pasem od Wisły aż po Odrę, stanowił niegdyś naturalną zapórę chroniącą Pomorze przed ekspansją sąsiadów z południa. Postępujące z dwóch stron osadnictwo przez długie wieki omijało ten teren z jednej prostej przyczyny: tutejsze lasy są położone na rozległej, piaszczystej równinie polodowcowej, zwanej sandrem, która nawet dzisiaj nie bardzo nadaje się do uprawy i pozostaje domeną leśnictwa, a obecnie także turystyki i ekologii.

Granice Borów jako krainy geograficznej są jasne na południowym wschodzie, gdzie dochodzą do Wisły, i na południowym zachodzie oraz północnym wschodzie, gdzie otwierają się słabo zalesione pojezierza, Krajeńskie i Starogardzkie, tudzież na Wysoczyźnie Świecką. Inaczej jest z granicą północno-zachodnią, która według geografów przebiega mniej więcej po linii jeziora Ostrowite (na północ od Chojnic) – Olpuch, omijając od wschodu Brusy i Wiele. Wystarczy jednak spojrzeć na mapę, aby stwierdzić, że jest to, przynajmniej dla laika, granica całkowicie sztuczna, ponieważ zielone plamy lasu w tym rejonie ciągną się nieprzerwanie dalej, przechodząc na obszar tak samo lesistej i nieurodzajnej Równiny Charzykowskiej. Utworzony niedawno Park Narodowy Borów Tucholskich znajduje się już poza zasięgiem opisanej powyżej krainy, tj. pomiędzy jeziorem Ostrowite a Jeziorą Charzykowskim.

Jeszcze mniej wyraźne są granice etnograficzne, które na terenie Borów są wyjątkowo nieostre. Niezależnie od tego, czy borowiackie knieje zostały najpierw skolonizowane przez Pomorzan (Kaszubów), a potem dopiero przeniknęli tutaj przybysze z Wielkopolski (przez Krajnę) i Kujaw (przez Kociewie), czy też odbywało się to równocześnie, dość, że ukształtowała się tu nowa grupa regionalna, zwana Borowiakami, której język i kultura wykazują podobieństwa do języka i kultury ludowej wszystkich trzech sąsiednich obszarów, czyli Krajny, Kaszub i Kociewia. Z geograficzno-kulturowej specyfiki tego podregionu zdają sobie spra-

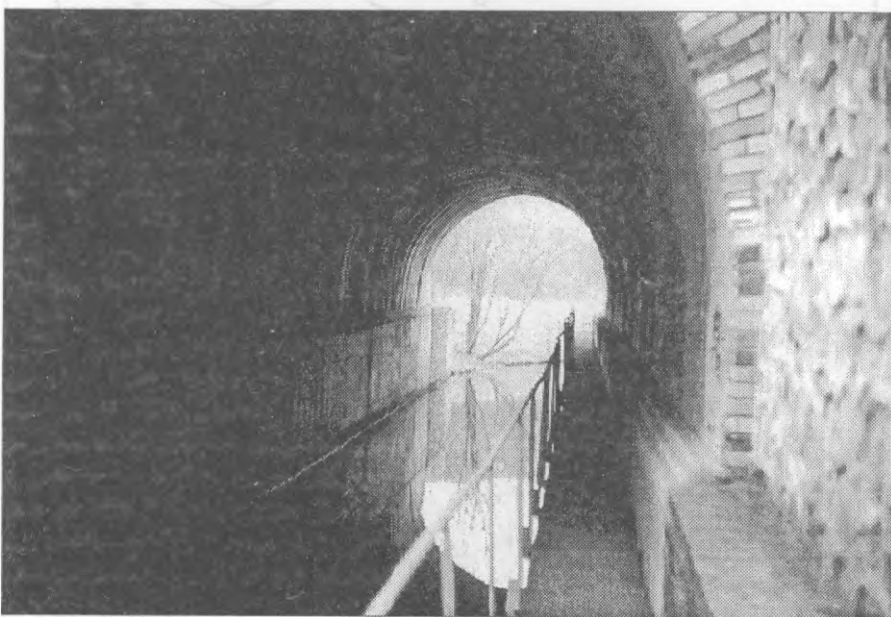
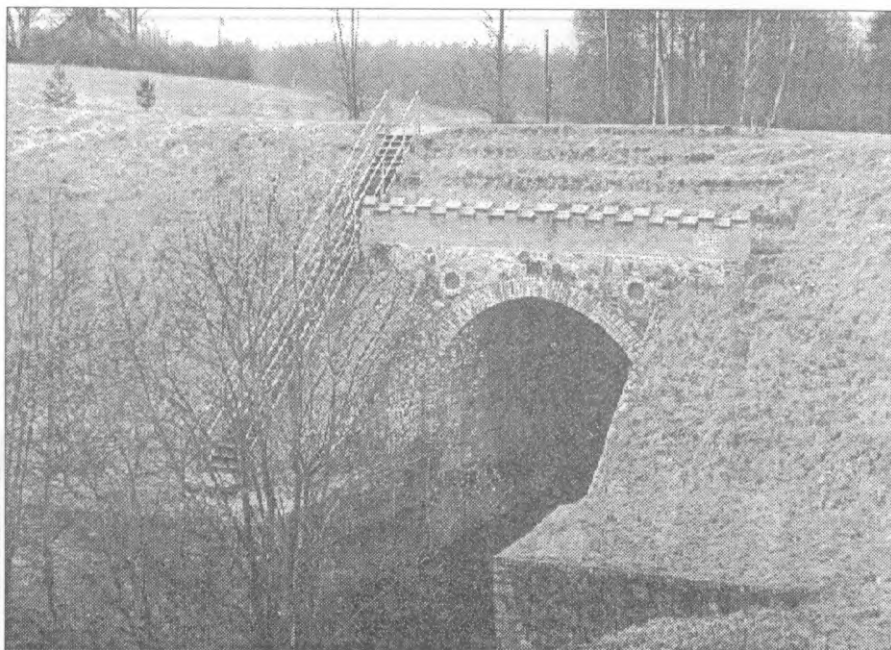


Rys. Renata Szypszak

wę zarówno Jacek Indelak, patrząc na Bory z perspektywy Tlenia, jak i Kazimierz Ostrowski pisząc o Czersku. To, że do miana stolicy regionu pretenduje Tuchola, miasteczko położone już właściwie poza granicami Borów, stanowi swoiste kuriozum. Na terenie tej lesistej krainy brakuje bowiem jakiegokolwiek innego, wyraźnego centrum, a jej poszczególne części ciągną na zewnątrz, w kierunku Tucholi, Koronowa, Świecia, Nowego, Skórcza i Czerska.

Większość dużych kościelnych wsi borowiackich została założona już w

czasach książąt pomorskich i okupuje nieliczne skrawki lepszego gruntu w dolinach rzek i strumieni. Inne, jak choćby Ryteł, rozwinęły się z dogodnie położonych osad karczemych. W XVI-XVIII wiekach wiele nowych osad powstało w miejscach działania drobnych zakładów przemysłowych, takich jak huty szkła, kuźnie żelaza, (hamry), stolarnie i węglarnie, które wykorzystując surowiec drzewny przygotowywały grunt pod uprawę roli (pozostałością tych ostatnich są nazwy typu Łąski Piec, Oski Piec, Piece itp.). Jed-



Skrzyżowanie Czerskiej Strugi z Wielkim Kanałem Brdy

nym z podstawowych zajęć Borowia-
ków w dawnych wiekach było też bart-
nictwo, które – podobnie jak kopanie
bursztynu – zostało zakazane przez
władze pruskie na przełomie XVIII i
XIX wieku z uwagi na ochronę lasu.

W historii obszar ten zaistniał głównie
jako ziemia, przez którą przechodziło
się spiesząc gdzieś indziej. I tak w śred-
niowieczu przedzierali się tędy rycerze
zdążający na wyprawy krzyżowe do
Prus, w XVII wieku przechodzili Szwedzi,
w roku 1812 natomiast część wiel-
kiej armii w drodze na Moskwę. W
okresie międzywojennym przez Bory
poprowadzono magistralę węglową ze

Śląska do Gdyni i rozpoczęto budowę
szosy, która prowadzić miała w tym
samym kierunku. Pamiątką po tej in-
westycji jest szeroka przesieka, która
zaczyna się pod Tleniem, a urywa przy
tartaku w Łobodzie.

Dzisiejsze Bory to przede wszystkim
zagłębie drzewne i turystyczne, a z dru-
giej strony wielki poligon ekologiczny.
Poligon, ponieważ większość tego te-
renu objęto w ostatnich latach różny-
mi formami ochrony przyrody i krajo-
brazu. Konflikt interesów pomiędzy
gospodarką i ekologią najbardziej ostro
ujawnił się chyba przy ustanawianiu
wspomnianego już parku narodowe-

go, który pod naciskiem okolicznych
gmin został znacznie okrojony w sto-
sunku do oczekiwań przyrodników.
Można jednak zrozumieć samorządy,
jeśli weźmie się pod uwagę, że na tych
terenach w miarę dobrze rozwinięte są
jedynie gospodarka leśna i przemysł
drzewny.

Bezrobocie i brak perspektyw na
większy rozwój gospodarczy powodu-
ją stopniowe wyludnienie niektórych
wiosek, zwłaszcza tych mniejszych,
położonych z dala od kolei i szosy, któ-
re powoli zmieniają się w kolonie do-
mków letniskowych, albo wprost zara-
stają lasem.

Dla „Hunów”, jak Indelak nazywa
turystów, główną atrakcją Borów są
oczywiście rozległe, grzybne lasy i
ukryte w nich jeziora, w mniejszym
stopniu zabytki, których nie ma zbyt
wiele. Tradycyjne budownictwo drewn-
iane jest, tak jak wszędzie, w odwro-
cie, nie zachował się także ani jeden
drewniany kościół (szkieletowy koś-
ciółek w Kasparusie wygląda na stary,
lecz pochodzi z początku XX wieku),
a dworów i zamków nigdy tutaj nie by-
ło. Wyjątkiem jest jedynie kościół i
klasztor pobenedyktynski w Bysławku
(obecnie zamieszany przez szarytki),
przebudowany w XVII wieku z rene-
sansowego dworu Żalińskich. Na tym
tle bardziej widoczne są dwa unikat-
owe obiekty: słynne cmentarzysko kur-
hanowe i kręgi kamienne z okresu wpły-
wów rzymskich w Odrach pod Czer-
skiem oraz zespół trzech kanałów na-
wadniających z połowy XIX wieku, z
których jeden, Wielki Kanał Brdy, krzy-
żuje się w Fojutowie pod Legbądem z
Czerską Strugą, przechodząc nad nią po
jednoprzęsłowym akwedukcie. W oby-
dwu przypadkach są to jednak cudzo-
ziemskie inwestycje. Pierwszy jest dzie-
łem przybyłych ze Skandynawii Go-
tów, drugi – Prusaków.

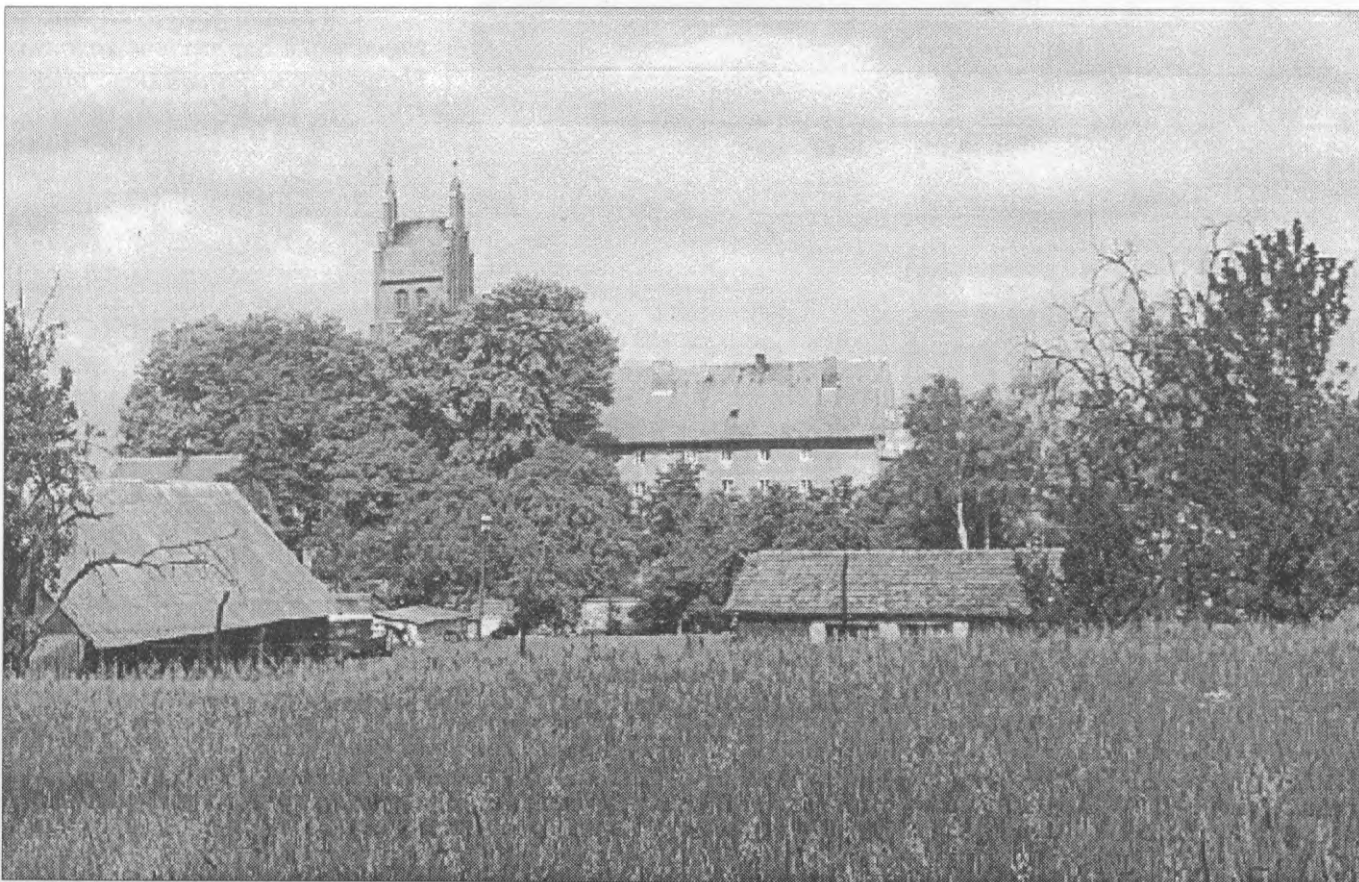
Konsekwencją słabości ekonomicz-
nej tych terenów jest chyba stosunko-
wo słaby rozwój rodzimej kultury i toż-
samości, a przez to uleganie wpływom
mocniejszych sąsiadów: Kaszub i Ko-
ciewia. Ostatnio widać wprawdzie pe-
wne oznaki „przebudzenia”, jednakże
na wykrystalizowanie się wyraźniej-
szego oblicza regionu trzeba zapewne
poczekać.

Dariusz Piasek

*Cykl „Kolory pomorskich regionów” ukazu-
je się dzięki pomocy Fundacji im. S. Batorego*



Jezioro Karsieńskie



Bysławek



KULTURA MATERIALNA BORÓW TUCHOLSKICH

Odnaleziony tekst

Ks. Bernard Sychta należy do grona postaci szczególnie zasłużonych dla kultury i nauki rodzinnych Kaszub, Pomorza i Polski. Pisarz, uczony, przede wszystkim językoznawca, zasłynął w Polsce i na świecie jako twórca pomnikowego „Słownika gwar kaszubskich na tle kultury ludowej” i „Słownictwa kociewskiego”.

Ks. B. Sychta, profesor pelplińskiego seminarium i pelpliński proboszcz, tytułowany był najczęściej jako ks. doktor, rzadziej kanonik czy prałat, które to godności stały się i jego udziałem. Stopień naukowy doktora filozofii uzyskał 6 czerwca 1947 roku na Uniwersytecie Poznańskim na podstawie rozprawy „Kultura materialna Borów Tucholskich”, a w latach 80. otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Przez dziesiątki lat nie znaliśmy treści rozprawy doktorskiej, o której sam autor mówił, a za nim powtarzali inni, że zaginęła. To zaginięcie w archiwum Uniwersytetu Poznańskiego albo w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, gdzie referowano ją do druku, było zagadkowe i niezrozumiałe, wręcz niemożliwe, nawet gdyby oryginał miał postać jedyne go egzemplarza w rękopisie.

Próbowałem szukać rozprawy ks. Sychty już przed laty. Przede wszystkim w Poznaniu, niestety, bez efektu. Archiwum to poniosło duże straty w czasie wojny, ale przecież powinno mieć komplet materiałów powojennych. Nie traciłem więc nadziei. Moja nadzieja wzrosła, gdy dr Halina Horodyska odnalazła i opublikowała rękopis t. II „Słownika języka pomorskiego czyli kaszubskiego” Stefana Ramuła. Ukazał się on drukiem w stulecie swego powstania. Pamiętając o nakazie: szukajcie, a znajdziecie, w 1997 roku zwróciłem się raz jeszcze do Archiwum PAN w Krakowie i UAM w Poznaniu. 25.8. 1997 roku z Poznania otrzymałem list od mgr Anny Domalanus następującej treści:

„W odpowiedzi na Pana pismo dotyczące pracy doktorskiej ks. dr. Bernarda Sychty uprzejmie informujemy, że jej egzemplarz znajduje się w naszym Archiwum – doktoraty Wydziału Humanistycznego sygn. 121. Może zostać udostępniony w naszej pracowni naukowej czynnej od poniedziałku do piątku w godz. 9.00-14.00.

Jednocześnie przesyłamy kserokopie najistotniejszych dokumentów znajdujących się w teczce doktoranckiej ks. Sychty – sygn. 112/47”.

Był to jeden z piękniejszych prezentów tamtych dni. Natychmiast skontaktowałem się z dyrektorem archiwum UAM Grzegorzem Łukomskim, który wysłuchawszy kaszubskiej historii tej rozprawy, prośbę o jej kopię spełnił niejako od ręki. (Jeszcze raz serdecznie mu za to dziękuję!).

Nieco później nadeszła negatywna odpowiedź z Krakowa: „Oddział Archiwum Akademii Nauk w Krakowie

informuje, że nie posiada w swoich zbiorach pracy ks. Bernarda Sychty »Materialna kultura ludowa Borów Tucholskich na tle etnografii kaszubskiej i kociewskiej«. Była ona przedstawiona przez Tadeusza Seweryna na posiedzeniu Komisji Etnograficznej Polskiej Akademii Umiejętności 22 czerwca 1949 r. (streszczenie znajduje się w Sprawozdaniach z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności, T. L, s. 370) i przeznaczona do druku. Działo się to jednak w schyłkowym okresie działalności PAU przez jej rozwiązaniem w 1952 roku i proponowany przez Komisję program wydawniczy na rok 1950 nie został zrealizowany. Poszukiwanej pracy ks. B. Sychty nie posiada także Muzeum Etnograficzne w Krakowie i Biblioteka PAN w Krakowie.

Z poważaniem Ewa Dziurzyńska”.

O wartości rozprawy, liczącej 185 stron maszynopisu, której fragment tu publikujemy po raz pierwszy, mówi-

li przed półwieczem jej recenzenci – profesorowie Józef Kostrzewski i Eugeniusz Frankowski. Zanim ukaże się ona w całości (jej wydanie uwzględnił w swoich planach wydawniczych Instytut Kaszubski), warto tu przytoczyć opinię prof. E. Frankowskiego, zawierającą charakterystykę zawartości rozprawy. Niestety, nie zachowały się wspomniane przez autora materiały ilustracyjne:

„Została mi przedłożona do oceny doktorska praca mgr ks. Bernarda Sychty p.t. »Kultura materialna Borów Tucholskich«.

Bory Tucholskie stanowią obok Puszczy Białowieskiej największy obszar leśny w Polsce i leżą między rzekami Wdą i Brdą, zdążającymi do Wisły. Obszar ten po raz pierwszy został objęty naukowym badaniem etnograficznym. Materiały do pracy obejmujące 21 wsi kościelnych, zebrał autor w okresie okupacji hitlerowskiej.



Fot. Dariusz Piasek

Wda w Tleniu



Jezioro Charzykowskie

Praca została podzielona na 13 rozdziałów. Rozdział I zawiera wiadomości wstępne, obrazuje zjawiska antropogeograficzne, etniczne i historyczne, oraz podaje wyobrażenia ludowe o borze. W rozdziale II została opisana gospodarka leśna, dalej – pędzenie smoły i wypalanie węgla; bursztyniarstwo; zbieranie grzybów i jagód. Treścią rozdziału trzeciego jest łowiectwo; IV – rybactwo; V – uprawa roli; VI – hodowla zwierząt domowych, pasterstwo, bartnictwo, oraz zwyczaje związane z hodowlą zwierząt; VII – transport i komunikacja; VIII – przemysł domowy i rzemiosło; IX – budownictwo; X – sprzęty domowe; XI – ubiór; XII – pożywienie; XIII – wnioski i wykaz literatury. Pracę ilustrują: 1 mapa i 61 rycin, wykonane przez autora z zakresu kultury materialnej Borów Tucholskich.

W wyniku swoich badań mgr ks. B. Sychta przychodzi do wniosku, że kultura materialna Borowiaków, prócz

podłoża wspólnego z całą Polską, zawiera wiele swoistych pierwiastków regionalnych. Są one wynikiem właściwości zamkniętego obszaru leśnego. Autor stwierdza uderzające podobieństwo kultury borowiackiej z kulturami kociewską i kaszubską. Zwłaszcza silnie się wiążą Bory Tucholskie z Kaszubami, choć w zakresie mianownictwa zbliżają się więcej do Kociewia. Związek z Kaszubami zaznacza się w sposobie wypalania węgla i pędzenia smoły, w hodowli zwierząt domowych i w uprawie roli. Wspólne są również zasadnicze narzędzia rolnicze, takie – jak dawny pług drewniany, cepy kapicowe, brona poprzeczno-słupkowa, drewniana łopata do rzucania wymłóconego zboża pod wiatr, babka do klepania kosy, małe grabie przy kosie i inne. Zbliżenie do Kaszub przejawia się w budownictwie drewnianym, a mianowicie w podcieniach, w konstrukcji dachu i w ozdobach nadszczytowych.

Wspólne są też z Kaszubami: łódź dłubanka, wóz rozworowy, taczka, nosidła nieckowate, kobiałki plecione techniką krzyżową, podwójne jarzmo podgardlicowe, jarzmo pojedyncze, uprzęż itp.

Niektóre wytwory borowiackie, pokrewne kaszubskim, autor odnosi do dawnej wspólnoty kulturalnej, łączącej Baltów, Finów i Słowian. Są to według niego: czarpyga, bocione lby na szczytach chat, oraz umiejętność koszykarstwa z korzeni.

Z przybyciem osadników niemieckich na obszar borowiacki zaczęły oddziaływać wpływy późnoniemieckie. Zapozyczenie obcych wytworów kulturowych jest jednak w stosunku do całości tak nikielne, że borowiacka kultura materialna pozostała tym, czym była od początku: kulturą pomorską, którą w ciągu wieków zasilala kultura polska, idąca z Polski Środkowej, drogą prowadzącą w znacznej mierze także przez sąsiadujące na wschodzie Kociewie.

Autor uważa, że ze względu na wpływ kultury polskiej można nazwać Borowiaków grupą o charakterze przejściowym, która wytworzyła się w dawnym, wyraźnie się tu zaznaczającym podłożu kaszubskim.

Praca mgr. ks. B. Sychty stanowi cenny dorobek etnografii polskiej, a jej autor wykazał się raz jeszcze jako badacz sumienny i wnikliwy.

Pracę mgr. ks. Bernarda Sychty pt. »Kultura materialna Borów Tucholskich« oceniam jako bardzo dobrą.

Prof. dr Eugeniusz Frankowski”.

Tymże dziełem ks. B. Sychta wystawił szczególny pomnik wdzięczności ludziom Borów Tucholskich, gdzie spędził lata okupacji hitlerowskiej, ratowany przez przyjaciół.

W teczce doktorskiej ks. B. Sychty zachował się też jego własnoręcznie napisany życiorys (bardzo ciekawy!) oraz autorskie wykazy publikacji: „Spis utworów literackich” (15 pozycji), „Wykaz prac naukowych z zakresu etnografii i słownictwa” (7 pozycji) i „Prace z zakresu psychiatrii pastoralnej” (4 poz.). Wśród prac literackich są cztery nieznane. Dwie miały być wówczas w przygotowaniu do druku – „Genesis kaszubska, legenda dramatyczna”, „Pusta noc – powieść kaszubska”, dwie zaś pozostawać w rękopisie – „Zbiór nowel kaszubskich” i „Inscenizacja kaszubskich pieśni ludowych”.

Jeszcze ciekawsze informacje zawiera „Wykaz prac naukowych...” Obok rękopisów słowników kaszubskiego i kociewskiego wymienione są: „Etnografia Kaszubów” i „Borowiacy Tucholscy. Kultura ludowa”.

Aż wierzyć się nie chce, że rękopisów tych nie ma. Sądzę, że z czasem przynajmniej ich fragmenty odnajdzie dziedziczka spuścizny ks. B. Sychty – Stefania Sychta, będąca w posiadaniu m.in. dokumentacji dotyczącej rozprawy doktorskiej stryja.

„Kultura materialna Borów Tucholskich” wzbogaca naszą wiedzę o kulturze Pomorza. To unikatowe dzieło prezentuje najmniej znaną grupę etniczną Pomorza. Jest zarazem dokumentem życia i pracy ks. B. Sychty, wpisującego się także w dzieje Borów Tucholskich.

Józef Borzyszkowski

Borowiacy

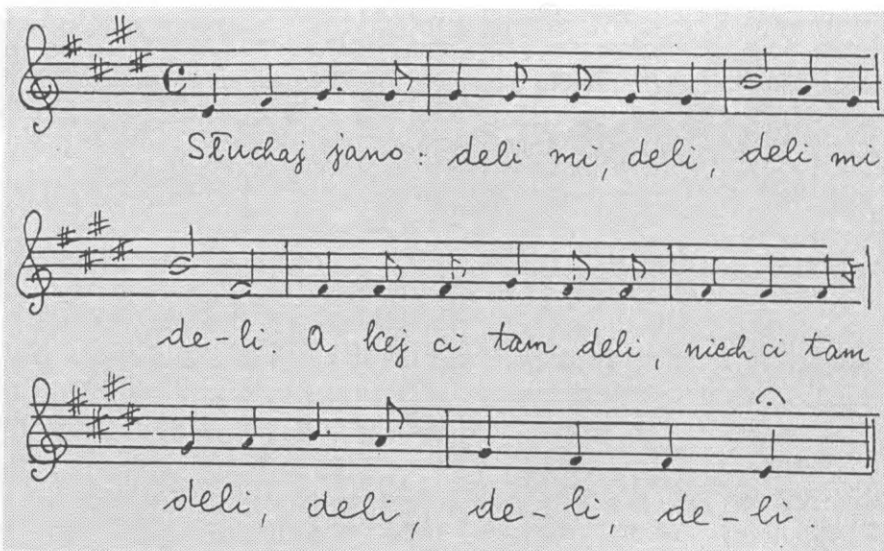
Ks. Bernard Sychta

Ludność

Borowiacy mają pewne poczucie swojej odrębności. Na samych siebie mówią *Borowiaki* lub *Borusy*, co z wielką dumą podkreślają. Swą nazwę etniczną wywodzą od borów, które zamieszkują. Poza tym poszczególne grupy ludności borowiackiej noszą rozmaite przezwymy etniczne. Tak np. mieszkańców parafii Lipinki w pow. świeckim przezywa się *Cybuchami* lub *Fajfkarzami* od namiętnego palenia fajek, czyli cybuchów. W Oskim Piecu, należącym do gminy Osie w pow. świeckim, mieszkają *Nasi*, nazwani tak od czę-

licy Drzycimia w powiecie świeckim. Lud z borów pod Łęgiem w pow. chojnickim przezwano *Chojniarzami*.

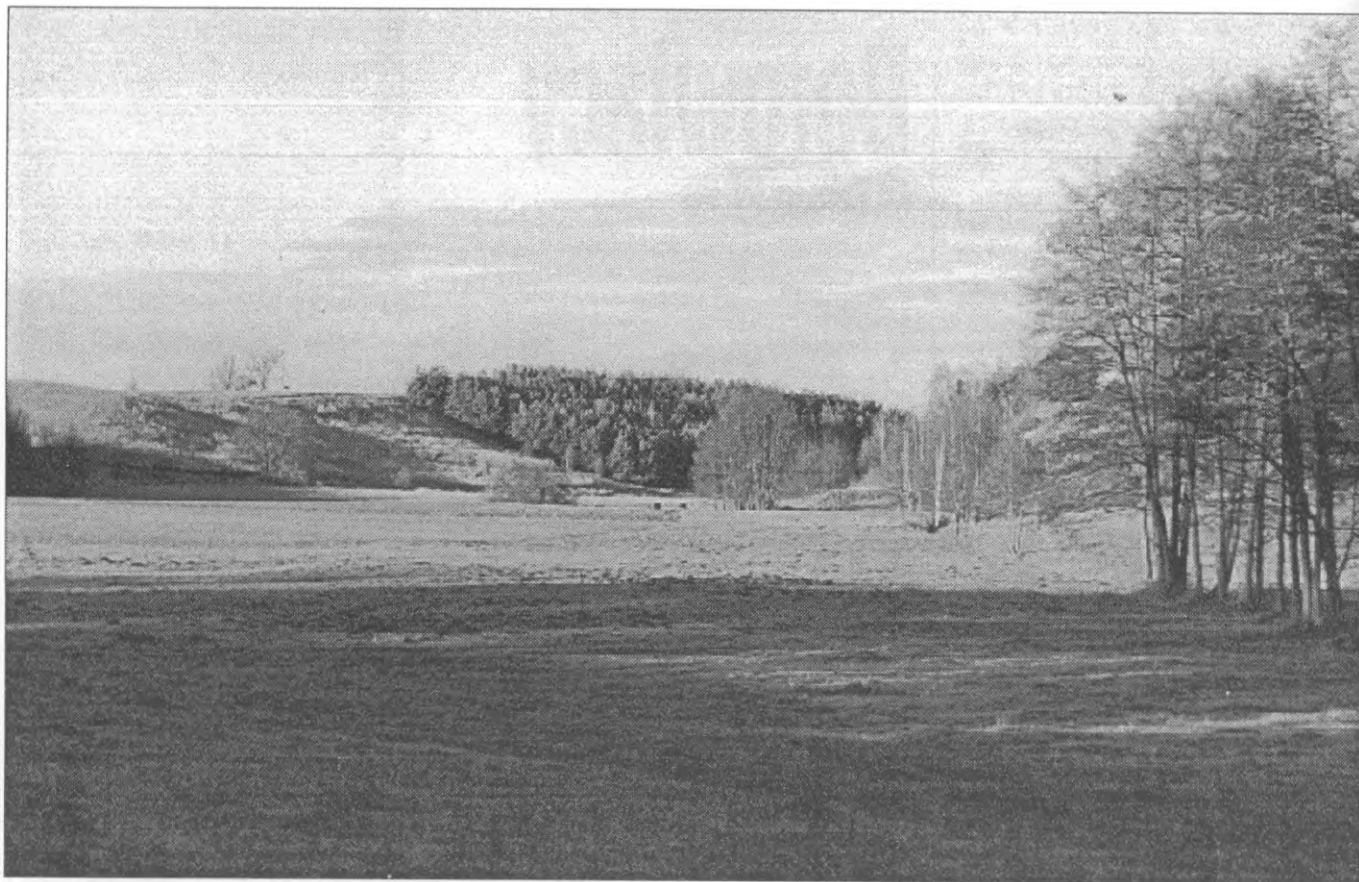
W ustach Kociewiaków nazywają się Borowiacy także *Flisakami*, ponieważ zajmują się *fliską*, czyli spławianiem drzewa. Borowiacy zaś nazywają Kociewiaków *Delakami*. Przezwisko to mało już dziś używane stoi w związku z wymową Kociewiaków, którzy zamiast końcówki *ali* w 3 os. l. mn. czasu przeszłego mówią *eli*, np. *deli*=dali, *jeche-li*=jechali. Oto w jaki sposób Józef Sokołowski z Osia, lat 70, prześmiewa się z Kociewiaków:



stego stosowania zaimka osobowego *nasz* w liczbie mnogiej, zamiast pojedynczej, a więc np. nasi ojciec, nasi matka kazali itp.

W południowej części powiatu starogardzkiego, a więc na północnych nieurodzajnych i piaszczystych krańcach Borów Tucholskich mieszkają *Lasaki* lub *Lasowiaki* w przeciwieństwie do *Polusów* albo *ludzi z polów* w mniej zalesionej oko-

Chełmniacy nazywają Borowiaków *Borakami*, Kaszubi *Borowianami*, *Tuchółkami* lub pogardliwie *Sziszkojanami*, same zaś Bory Tucholskie *Sziszkami*. *Uon tam mjeszko jaż w nech Sziszkach, gdzie mu sziszki bez kuemjin w grópe lecq* – powiadają w Puzdrowie w powiecie kartuskim o kimś, kto mieszka w Borach Tucholskich. Bory Tucholskie nazywają także na całym Pomorzu krótko *Borami*.



Okolice Tucholi



Chata w Miedźnie

Na północy sąsiadują Borowiacy z *Kaszubami*, należącymi do grupy pomorskiej, która jest najstarszą grupą etniczną na obszarze Pomorza Wschodniego. Na wschodzie graniczą Borowiacy z *Kociewiakami*, których Poniatowski i Fischer zaliczają do grupy kujawskiej. Na południu od Borowiaków, między Notecią, Gwdą, Dobrzyńką, Kamionką i Brdą, mają swoje siedziby *Krajniacy*, zaliczani do Wielkopolan tudzież kujawskie grupy, mówiące dialektem chełmińskim i tworzące już przejście do grupy mazurskiej. Zachodnia granica Borów Tucholskich styka się, idąc od południa ku północy z niemieckimi kolonistami *Kosznajdami*, przynajmniej aż do czasu ich ucieczki w 1945 r., tudzież z *Zaborszczyzną*, w której siedzą południowi Kaszubi, tzw. *Zaboracy*.

Pod względem struktury antropologicznej zauważyłem wśród Borowiaków jeden szczególnie występujący typ, mianowicie *homo nordicus*, odznaczający się wysokim wzrostem, długą głową, wąską twarzą, jasną barwą włosów i niebieskimi oczyma. Niekiedy głowa u Borowiaków posiada wskaźnik bardziej krótkogłowy, twarz jest więcej wydłużona, włosy i oczy ciemne.

Przystępując do badania kultury danej grupy, należy również zaznaczyć się z historią osadnictwa odośnego obszaru, aby należycie poznać pochodzenie ludności, jej rozwój i wpływy, którym mogła podlegać. Otóż puszczą w ścisłym tego słowa znaczeniu Bory Tucholskie nigdy nie były. Ślady zaludnienia na lepszych gruntach spotykamy tu już w epoce kamiennej, brązowej i żelaznej (I).

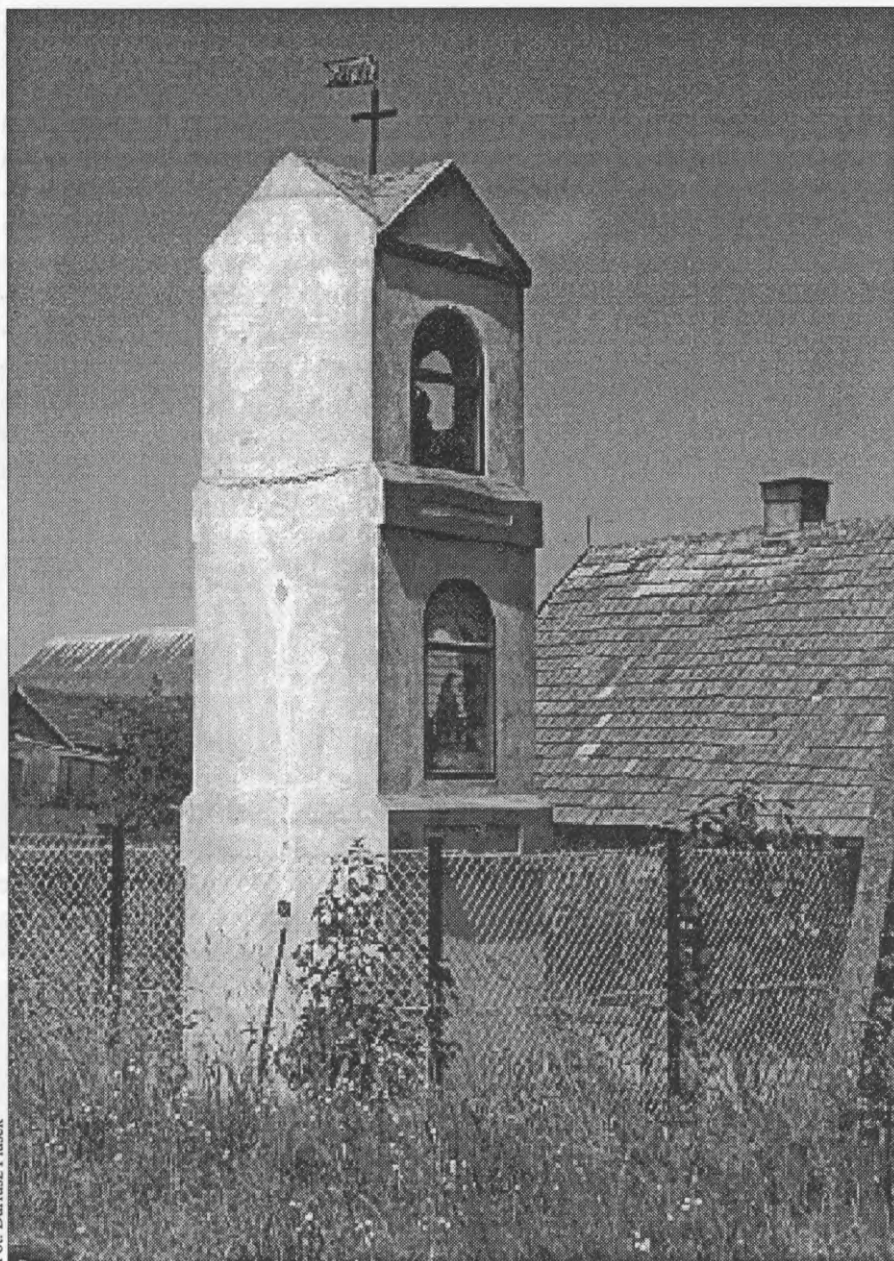
Oczywiście osady ludzkie były gęstsze na skraju lasów aniżeli w samym ich wnętrzu. W okresie książąt pomorskich służyły lasy przede wszystkim do polowań. Przecinały je główne trakty, prowadzące ze Świecia do Starogardu i ze Świecia do Tucholi. Krzyżacy podjęli na wielką skalę akcję kolonizacyjną,

sprowadzając osadników niemieckich. Ci jednak, zrażeni nieurodzajnością gleby, niechętnie osiadali wewnątrz Borów, chętnie zaś na ich kresach. Potomkami ich są prawdopodobnie wspomniani Kosznajdzy na urodzajnej ziemi między Chojnicami a Kamieniem (Panske XIII). We właściwych Borach Tucholskich ludność jest czysto polska, a Niemcy nigdzie nie tworzą zwartej masy. Dzisiaj nawet i tej reszty niemieckiej ludności osadniczej nie ma, ponieważ wraz z uchodzącą armią niemiecką zbiegła tam, skąd przyszli jej przodkowie. Przez to zwartość borowiackiej grupy etnicznej wzmocniła się.

Teza niektórych uczonych polskich (Fischer, Gajek), jakoby ludność Borów Tucholskich przybyła z południa, nie jest oparta na przekonujących dowodach. Teza ta mianowicie wymaga korekcji w tym kierunku, iż należałoby rozróżnić wpływy etniczne od językowych.

Według Tymienieckiego (XIX) przestrzeń po lewej stronie Wisły jeszcze w czasie walk pomorsko-polskich zajmowali Pomorzanie. W miarę zaś jednoczenia Pomorza z Polską raz za Przemysława, drugi raz za Kazimierza Jagiellończyka poczęły niezawodnie działać wpływy na skład etniczny szczególnie południowego Pomorza, a więc i Borów Tucholskich, jednak wpływy te nie odegrały, zdaje się, głębszej roli, w każdym razie nie w tym stopniu, jak to przypuszczają wymienieni autorzy. Ubogie, nieurodzajne, zasypane piaskami i porośnięte lasami obszary Borów Tucholskich, oddzielone ponadto od południa bagnami nadnoteckimi, nie miały czym przyciągać ludności z chlebobajnych równin wielkopolskich, podobnie jak nie umiały na większą skalę zwać osadników niemieckich ani nawet zakonów. Nie może ująć uwagi szczegół, że tylko jeden istniejący klasztor Benedyktynek w Bysławku, założony dopiero w 1622 r. spełniał w Borach Tucholskich rolę ogniska kultury polskiej. Złącze-

nie Pomorza z Polską i stała jego, aż do 1821 r. przynależność do biskupstw polskich zwiększyły na dzisiejszym obszarze borowiackim przede wszystkim podatność na wpływy językowe, sprzyjając zacieraniu różnic między gwarami. Nie należy także zapominać, że jeszcze w okresie niezależnego księstwa pomorsko-gdańskiego język polski posiadał na Pomorzu kulturalną przewagę i był językiem dworów książęcych, z których jeden, mianowicie w Świeciu, znajdował się u ujścia płynącej z Borów Tucholskich Wdy, a więc tuż nad ich skrajem. Prócz języka polskiego na pomorskim dworze w Świeciu panował ten sam obyczaj, co w Poznaniu, Płocku lub Krakowie (Tymieniecki XX 23 i n.). Słusznie więc zalicza Kujot Borowiaków w okresie następującej wnet potem niewoli krzyżackiej za spolszczonych Pomorzan, ze szczątkami pomorskimi w języku i kulturze [Kujot VIII 344 i n.]. Borowiacy nie musieli więc, jak np. sąsiadujący z nimi na wschodzie Kociewiaczy, ulegać głębiej sięgającym wpływom etnicznym ze strony plemion południowych, podlegając mimo to daleko idącej asymilacji językowej. Pomijając względy natury propagandowo-politycznej, podnieść mimo wszystko należy, że Borowiacy w myśl powyższej tezy muszą być uznani zasadniczo za ludność tubylczą, pomorską, a więc osiadłą tu jeszcze w czasach przedhistorycznych. Ziemie zajęte przez tę ludność nie były więc nigdy czymś w rodzaju „Niemand-landu”, stojącego otworem dla kolonizacji niemieckiej lub jakiegokolwiek innej. Borowiacy byli więc zawsze u siebie w domu. Otwierają się tu wielkie pole dla dokładniejszych badań antropologicznych i prehistorycznych, których wynik, moim zdaniem, byłby w sporze tym rozstrzygający. Poważnym argumentem przemawiającym za słusznością wysuniętej tezy byłaby jedność kultury materialnej borowiackiej i kaszubskiej, jak to wykaże dalszy ciąg pracy.



Fot. Dariusz Piasek

Kapliczka w Miedźnie

Gwara

W ścisłym związku z kulturą danej grupy rozwija się język. Według Rudnickiego (XIII 257) gwary borowiackie wraz z sąsiadującymi gwarami krajniackimi przedstawiają się jako pas przejściowy pomiędzy dialektami wielkopolskimi a kaszubskimi. Dialekt borowiacki, podobnie jak kociewski, zyskały, zdaniem Nitscha, na terenie kosztem obszaru językowego kaszubskiego. Wskazuje na to występowanie pewnych językowych zjawisk kaszubskich w obrębie tych obu dialektów oraz wy-

stępowanie pewnych archaizmów w nazwach miejscowości poza linią obecnego zasięgu Kaszubów. Właściwości te sięgają po Sępólno, Nowe i Wisłę (Nitsch XI 490 i inn.). Rudnicki uważa, że rozprzestrzenienie się tych cech świadczy o ekspansji Kaszubów na południe (XV 267). Przychylam się raczej do zdania Nitscha, twierdząc, że mowa kaszubska musiała się coraz więcej cofać ku północy, aż stanęła na granicy dzisiejszej kaszubszczyzny, tj. na linii Chojnice-Gdańsk. (...) ■

Mieszkańcy Czerska chętnie podkreślają, że ich miasto jest równolatkiem Gdyni. Na tym jednak kończą się podobieństwa, albowiem Czersk nie doznał tak bujnego rozkwitu, a przez wiele lat wiódł biedny, acz nie zawsze cichy żywot.

Ostatnio dużo się zmienia, miasto stara się dogonić współczesność. Zadanie nader trudne, bo wobec niedostatku funduszy trzeba poskromić chęci i zamiary, lecz mimo to już udało się zrobić wielki krok. Sukcesy nie oszłamiają, kłopotów wciąż niemało.

Patrząc na mapę

etnograficzną, nie wiadomo, gdzie Czersk przypisać. Do Kaszub chyba nie, bo ponoć graniczną miejscowością jest Karsin, odległy o 12 kilometrów, aczkolwiek Wojtał i Odry z czerskiej gminy też są Kaszubom bliskie. Łąg zaś, tworzący razem z przyległymi wioskami sporą aglomerację, wyraźnie patrzy na Kociewie. A Rytel, Krzyż i Gutowiec? To miejscowości pogranicza kaszubsko-borowiackiego, lecz dalej idąc w kierunku Legbąda i Woźniewody, coraz głębiej już wchodzimy w Bory Tucholskie.

Na starych planach kartograficznych i w źródłach pisanych znajdujemy Bory Czerskie obok Tucholskich. W XVI stuleciu w Czersku miał siedzibę starosta bartny, któremu podlegały 24 barcie w puszczy czerskiej, a w XIX wieku dodatkowo umieszczono tu nadzór nad systemem irygacyjnym świeżo zbudowanych kanałów Brdy i Wdy oraz zarząd wielkich połaci łąk. Dopiero w nowszych czasach Tuchola wzięła górę w nazewnictwie, i mianem Borów Tucholskich zaczęto określać nie tylko kompleksy leśne, lecz także krainę geograficzną, na której się one rozciągają. Czersk leży pośrodku tych lasów.

Widać na mapie, jak blisko stąd do rzeki Wdy, która łączy Kaszuby z Kociewiem. Sami mieszkańcy nie deklarują jednoznacznie swej tożsamości. Klub sportowy nazywa się Borowiak, hotel Borowianka, ale równocześnie dumni są z młodzieżowego zespołu folklorystycznego Kaszuby. Restauracja zaś nosi nazwę Pomorzanka, sytuującą Czersk w regionie bez rozstrzygnięcia o szczegółach.



RÓWNOLATEK GDYNI

Kazimierz Ostrowski

Trakt królewiecki

Od początków dziejów mieszkańcy wsi nad Czernicą, dziś nazwaną Czerską Strugą, więcej żywili się z lasów niż z pracy na roli. To kształtowało świadomość ludzi, nakazywało dbać o bór jako podstawę bytu, a w końcu zdecydowało o rozwoju i awansie. W 1565 roku lustratorzy, opisujący stan i dochody z królewskiej wsi w województwie pomorskim, odnotowali: „W tej wsi skarżą się gburzy na starostę kiszowskiego, iż jem bór wyrąbił bardzo wiele do smolenia i do spustów”. Jeszcze większe ubytki spowodowała nierozważna gospodarka w wiekach następnych, a dopiero w wieku XIX władze pruskie przystąpiły do odnawiania pomorskich lasów.

Odmianę w życiu Czerska przyniosła przebudowa starodawnego traktu z Chojnic do Gdańska. W latach 1828-1830 wybudowano szosę łączącą Berlin z Królewcem (z odnogą do Gdańska), którą jeździli kurierzy pocztowi i regularnie kursowały dyliżanse, służące także lokalnej komunikacji. Tą drogą po upadku powstania listopadowe-

go, w lutym 1832 roku udawali się na emigrację powstańcy z Królestwa Polskiego, a jako jeden z pierwszych przemaszzerował oddział żołnierzy i oficerów pod dowództwem Wincentego Pola, który uwiecznił ów fakt w znanym wierszu „Nocleg w Czersku”. Wincenty Pol jest dziś patronem Liceum Ogólnokształcącego w Czersku; istnieje ono od 1953 roku i cieszy się dobrą sławą.

Wielkie znaczenie miała wybudowana w latach 1871-1873 linia kolejowa z Piły do Tczewa, która stanowiła odcinek trasy Berlin – Królewiec. Niebawem, dzięki łatwości ekspedycji towarów, zaczęły w Czersku powstawać zakłady przemysłowe. W 1880 roku istniał we wsi tartak wodny, cegielnia i browar, w 1887 roku niemiecki przedsiębiorca Hermann Schutt uruchomił tartak parowy i fabrykę listew, przekształcone następnie w spółkę akcyjną. Coraz liczniej powstawały także stolarnie, dające mieszkańcom zatrudnienie. Równocześnie na życie gospodarcze i społeczne oddziaływały polskie instytucje, jak np. Bank Ludowy (1877) i

Spółka Rolniczo-Handlowa oraz organizacje – Towarzystwo Ludowe, Związek Śpiewaczy (1892). Na przełomie XIX i XX wieku powstała jedyna na Pomorzu polska Fabryka Maszyn Rolniczych „Viktoria”.

Czersk stał się silnym ogniskiem ruchu narodowego; tu trwał najdłużej i przybrał najostrzejszą formę na ziemi chojnickiej strajk szkolny w latach 1906-1907, w którym uczestniczyło 207 uczniów. Był także areną walki o prawa robotników. W pierwszych latach stulecia raz po raz wybuchały robotnicze strajki i protesty przeciw warunkom pracy, głodowym płacom i zwalnianiu pracowników.

Dzięki uprzemysłowieniu Czersk przeistaczał się w miasto. W 1871 roku liczył 1800 mieszkańców, w 1900 – 5361, w 1910 – 7100, w roku 1914 – 8300.

Niespokojne miasto

Wybuch powstania wielkopolskiego zelektryzował polską ludność Pomorza, oczekującą na sygnał do rozpoczęcia walki. Zaiskrzyło się i w Czersku. Mieszkańcy sprowokowani przez Niemców w święto Trzech Króli 1919 roku, przepędzili na kilka godzin wojskową załogę. W pogotowiu czekała Tajna Organizacja Wojskowa, w czerskich lasach nękały Grenzschutz partyzanckie oddziały Franciszka Kleinschmidta i braci Gnacińskich.

Nadeszła upragniona Polska, a wraz z nią nadzieja na lepsze życie, która stopniowo gasła. W 1925 roku Rada Gminy postanowiła starać się o nadanie Czerskowi praw miejskich. Rok później premier Aleksander Skrzyński i minister spraw wewnętrznych Władysław Raczkiewicz podpisali rozporządzenie, zezwalające gminie miejskiej na przyjęcie ustroju według ordynacji miejskiej, co stało się 1 lipca 1926 roku. Odtąd władzę stanowiła Rada Miejska i burmistrz, lecz w życiu mieszkańców niewiele się od tego zmieniło, a raczej szło na gorsze, bo zbliżały się lata kryzysu.

Miasto dotknęło bezrobocie. Ludzie, którzy napłynęli z okolicznych wiosek za chlebem, wegetowali w nędzy. W lutym 1937 roku z kasy miejskiej pobierało zasiłki 487 rodzin, a z Funduszu Bezrobocia 93. „Oznak poprawy gospo-



Czersk, ul. Kościuszki

darczej dotąd w Czersku nie widać i nie należy się ich spodziewać w najbliższej przyszłości” – raportował inspektor Związku Miast Polskich. Nic dziwnego, że w środowisku robotników, pozbawionych szansy na odmianę losu, nieustannie wrzało.

Pół jest las

W PRL też nie było do syta, ale była praca. Prawda, że często w połowie wykorzystująca ludzką energię i marnie płatna, jednak dająca poczucie stabilizacji, a zatem i możliwość poszukiwania lepszego miejsca w życiu.

Pracę zapewniała przede wszystkim, tak jak dawniej, eksploatacja pomorskich lasów i przeróbka drzewnego surowca. Na znaczną skalę rozwinęły się odebrane właścicielom zakłady – tartak, który przetwarzał także dłużycę z tajgi syberyjskiej oraz fabryka mebli, produkująca niemal w stu procentach na eksport. Dawna fabryczka Stopowskich, przejęta wbrew przepisom ustawy o nacjonalizacji przemysłu, jako spółdzielnia „Meblostyl” pod patronatem „Cepelii”, wyspecjalizowała się w

meblarstwie na wzornictwie ludowym. Powstała spółdzielnia półfabrykatów drewnianych. Na potrzeby tartaków całego regionu pracowały zakłady remontowo-montażowe podległe dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Z dominacji drewna wyłamała się Spółdzielnia Inwalidów „Równość”, duży zakład obuwniczy.

Na dodatek tuż pod bokiem, w Czarnej Wodzie nad Wdą w latach pięćdziesiątych wyrosły wielkie Zakłady Płyt Pilśniowych, wówczas największe w Europie, które przyciągały do pracy setki mieszkańców Czerska.

Uspołeczniony przemysł w powojennym półwieczu górował, lecz nie przekreślił tradycji czerskiego rzemiosła. Przetrwały dziesiątki rodzinnych zakładów, gdzie tajniki stolarstwa przechodzą z ojca na syna, a nazwisko jest gwarancją dobrej roboty. Trzeba zapytać mistrzów z „Meblostyl”, wytwarzających współczesną wersję bogato rzeźbionych mebli gdańskich dla Zamku Królewskiego i ambasad, gdzie uczyli się fachu – odpowiedzą, że nauczycielami ich byli najlepsi rzemieślnicy.

Szkola snycerska

Stolarstwa artystycznego w warsztacie Stopy uczył się Antoni Łangowski, rzeźbiarz znakomity, którego dzieła ozdabiają pelplińską katedrę, chojnicką bazylikę i dziesiątki innych kościołów w byłej diecezji chełmińskiej. Dziesięć lat temu, u schyłku życia został przez „Pomeranie” wyróżniony Skrą Ormuzdową. Zakład swój przy ulicy Piaskowej zostawił synowi Krzysztofowi, który nie uprawia jak ojciec rzeźby figuralnej, lecz w sztuce zdobniczej jest niezrównany.

Przez szkołę rzemiosła przeszedł także Franciszek Menczykowski. Pochodził z Karsina. Przed wojną zasmakował goryczy bezrobocia, trudnił się muzykowaniem, wyrobem instrumentów muzycznych i drewnianych figurek. Po wojnie został nauczycielem zawodu, a osiadłszy w Czersku wybudował domek przy ulicy Mleczarskiej i najpierw pracował w „Meblostyl”, później założył warsztat rzeźbiarski. Zasłynął jako autor licznych ołtarzy w świątyniach pomorskich oraz twórca drewnianych rzeźb i pamiątek o stylistyce ludowej.



Ul. Kościuszki

Kaszubski rodowód ma twórczość rzeźbiarska Kazimierza Ostoi Lniskiego, choć często już odbiega od ludowej prostoty. Niepospolity talent autora przysparza mu laurów w licznych konkursach.

To niektórzy z plejady czerskich twórców – rzeźbiarzy, malarzy, artystów słowa. W Czersku w latach 1924-1926 mieszkał pisarz i historyk Jan Karnowski, jako przewodniczący Sądu Grodzkiego. Z Czerska pochodził wybitny malarz, żyjący i zmarły w 1966 roku w Poznaniu Kazimierz Jasnoch. Na ostatnie dwadzieścia lat życia osiadł tu pisarz kaszubski Józef Ceynowa.

Ku przyszłości

W 1993 roku, gdy rząd Hanny Suchockiej czynił pierwsze przymiarki do reformy administracji, ówczesne władze samorządowe z burmistrzem Krzysztofem Gogolewskim rozglądały się, do jakiego powiatu Czersk miałby przylączyć. Od 1773 roku miejscowość znajdowała się w granicach powiatu chojnickiego, lecz właśnie Chojnice mieszkańcy obwiniają za zaniedbania inwesty-

cyjne, brak urządzeń komunalnych i mieszkań. Trudno rzec, czy istotnie powiat źle dzielił środki, w każdym razie żyją w poczuciu krzywdy. Obawiają się nawrotu chojnickiej dominacji.

Dojazdy do pracy w Czarnej Wodzie i dalej na północ – do Kalisk i Zblewa, zacieśniły związki z Kociewiem, więc oczy zwracają się na Starogard Gdański, lecz odstręcza większa odległość. Bliżej jest do Tucholi, lecz z kolei trudniejsza komunikacja i mniej tradycyjnych powiązań. Najlepiej więc, aby Czersk sam stał się stolicą nowego powiatu. Starania o takie rozwiązanie spełzły jednak na niczym, bo miasto nie jest do tego przygotowane. Nie ma szpitala, urzędów wymiaru sprawiedliwości, wielu instytucji usługowych, słabe szkolnictwo średnie. Znikoma szansa.

Ale miasto i gmina wszelkimi siłami odrabiają dawne zapóźnienie cywilizacyjne. Wybudowano komunalne wysypisko śmieci w Nieżurawie, przygotowane do sortowania odpadów. W mieście powstała oczyszczalnia ścieków, z uporem rozbudowuje się sieci wodociągowej i kanalizacji sanitarnej. Z wodociągów korzystają mieszkańcy Łęga,

Malachina i innych wsi. Na ekologiczne inwestycje gmina otrzymuje dotacje i pożyczki dzięki temu, iż część jej obszaru znajduje się w granicach Tucholskiego Parku Krajobrazowego oraz w ramach programu ochrony wód Brdy.

Nie tylko te sprawy zaprzatają uwagę samorządu. Od kilku lat gmina sama prowadzi opiekę zdrowotną i choć wiele dokłada z własnego budżetu, władze i mieszkańcy chwalą to rozwiązanie. Na dużą skalę rozpoczęto porządkowanie zabudowy centrum; wkrótce straci aktualność porzekadło o mieście bez rynku. Trwa budowa miejskiej hali sportowej przy Szkole Podstawowej nr 2. Chcą ją wzniesić ze składek społecznych, lecz mieszkańcy nadal są biedni i zapewne gros nakładów pochodzić będzie z kasy gminnej, z podatków.

Wiele akcji społecznych, nie tylko charytatywnych znajduje sponsorów wśród nowych przedsiębiorców – handlowców i przemysłowców. To pierwsze jaskółki gospodarczej stabilności po przemianie ustrojowej. Wciąż jednak bez pracy pozostaje co piąty mieszkaniec Czerska i gminy. ■

Co nieco historii

Czesława Bettejewska

Miasto Czersk przed 1975 rokiem należało do powiatu chojnickiego. W dawnym powiecie tylko Chojnice były od średniowiecza ważnym ośrodkiem miejskim. Prawa miejskie uzyskały być może już w końcu XIII w., na pewno zaś w 1326 roku chełmińskie prawo miejskie. Były poważnym ośrodkiem handlu i rzemiosła, zwłaszcza sukiennictwa, dla którego w 1348 roku otrzymały osobny przywilej.

Czersk istniał już w XIII w., jako osada na prawie polskim, choć pierwsze o nim źródłowe wzmianki pochodzą z 1330 roku. W 1382 roku Henryk von Bullendorf, komtur tucholski, lokuje Czersk na prawie chełmińskim. W XV w. Czersk liczył 51 domów i do 1454 roku należał do zakonu, pozostając w organizacyjnych ramach komturstwa tucholskiego. Po pokoju toruńskim, od 1466 roku stanowił dobra królewskie w starostwie tucholskim.

Od XVII w. był siedzibą zarządu dóbr, tzw. Ekonomii Czerskiej, dzierżawionej przez Raczyńskich herbu Nałęcz, Kilińskich herbu Junosza, a od 1766 roku przez Łukowiczów, którzy otrzymali dobra w wieczyste użytkowanie.

W 1772 roku Czersk zagarnięty został przez Prusy i włączony do prowincji Prusy Zachodnie. To wówczas Czersk, posiadający wcześniej prawa miejskie, taką opinię spotyka się w literaturze, miał być tych praw pozbawiony.

W 1784 roku Czersk wraz z kompleksem dóbr kupił od Fryderyka Wilhelma II Józef Łukowicz, następnie,

w latach 1817-1822 był w posiadaniu Nepomucena Warcza-Dębińskiego.

W 1852 roku następuje regulacja przestrzenna osady, a w jej wyniku szybki rozwój i przeobrażenie w ośrodek przemysłowy, co wydatnie wspomogła budowa w 1871 roku węzła kolejowego Chojnice – Tczew – Piła.

W 1920 roku Czersk wrócił do Polski, a w 1926 roku otrzymał prawa miejskie. Zmiana statusu zaowocowała w 1929 roku budową okazałego ratusza o formach modernistycznych, z neogotyckimi reminiscencjami. Tuż przed wojną miasto liczyło 9000 mieszkańców, w 1961 roku ponad 1000 mniej – 7709. Miasto jest siedzibą przemysłu drzewnego o dużych tradycjach (tartak i zakłady produkcji mebli), węzłem kolejowym oraz ważnym ośrodkiem handlowym, zaopatrującym mieszkańców i okoliczne wsie. Ma również znakomite tradycje szkolnictwa ponadpodstawowego, a miejscowe liceum cieszy się zasłużenie dobrą opinią.

Układ miasta jest nieregularny, wielodrożny, z kompleksem dość luźno powiązanych. Nieregularność układu, brak typowej dla średniowiecza siatki ulic powiązanej z rynkiem, jest najsilniejszym argumentem przeciw sądom, że średniowieczna lokacja dotyczyła utworzenia miasta. Była to z pewnością lokacja wsi.

Zwarta zabudowa występuje w obrębie centrum, w bezpośrednim sąsiedztwie głównej ulicy, która jest jednocześnie drogą komunikacyjną na trasie Chojnice – Starogard. Przedmieścia mają charakter rozluźnionej

zabudowy jednorodzinnej. Główna ulica miasta ma zabudowę dwukondygnacyjną, o formach eklektycznych, secesyjnych i modernistycznych, która powstała u schyłku XIX i w początkach XX wieku. Elewacje kamienic pokrywa zróżnicowany detal architektoniczny (profilowane gzymsy, opaski okienne, sztukatorskie ozdoby), świadczący o stosunkowo wysokim poziomie rodzimego rzemiosła. W wielu kamienicach zachowała się zabytkowa stolarka okienna i drzwiowa z elementami dekoracji secesyjnych w formie stylizowanych kwiatów. Podobnie swobodne dekoracje secesyjne, wykonane w sztukatorskim materiale, odnaleźć można w elewacjach kilku kamienic usytuowanych przy innych ulicach.

Do ważnych budowli należały: dwór Łukowiczów – wzniesiony około połowy XVIII wieku i rozebrany w początkach XIX (w południowo-zachodniej części miasta); synagoga – wzniesiona w 1868 roku i rozebrana po 1939 (w północno-wschodniej części miasta); neogotycki kościół ewangelicki – wzniesiony w 1901 roku i rozebrany w 1961 (w południowo-zachodniej części miasta).

Najcenniejszą budowlą dzisiejszego Czerska jest kościół parafialny pw. św. Marii Magdaleny. Nie tylko ma interesujący i cenny wystrój wnętrza, ale również przenosi średniowieczne tradycje świątyni parafialnej Czerska. Parafia wzmiankowana jest w dokumencie lokacyjnym z 1382 roku. Lustracja z 1565 roku wymienia drewniany kościół z wieżą, który w 1686 roku określany jest jako znajdujący się w złym stanie. W 1756 roku świątynię trawi pożar, a w jej miejscu, w latach 1760-1764 powstaje nowy z fundacji Łukowiczów, Glińskich i Orszewskich, który już w 1842 roku rozebrano. Kamień węgielny pod budowę nowej murowanej świątyni położono w 1844 roku, a ukończono ją w 1852 roku. Jednak i ona w 1909 roku została rozebrana.

Obecną świątynię zbudowano w latach 1910-1913 według projektu architekta Fryderyka Oskara Hossfelda (radca budowlany w pruskim ministerstwie budownictwa), w spóźnionych już wówczas formach neogotyckiego stylu.



Czersk. Kościół parafialny



Restauracja Pomorzanka. Fotografie autorki

Jest to okazała budowla hallowa, trójnawowa, z wielobocznie zamkniętym prezbiterium zwróconym ku zachodowi i wieżą po północnej stronie transeptu. Wnętrze kościoła nakrywa strop belkowy i zdobi harmonijny wystrój, znacznie od niego starszy. Do najcenniejszych elementów wystroju należy ołtarz główny, manierystyczny, z 1611 roku, ufundowany przez opata pelplińskiego Feliksa Kosa dla tamtejszego kościoła cysterskiego i ofiarowany kościołowi w Czersku w 1845 roku przez kapitułę chełmińską. Znajdują się w nim obrazy Hermana Hana (obywatela chojnickiego), przedstawiające Trójcę Świętą i Koncert Anielski. Ołtarze boczne, rokokowe z ok. 1766 roku, fundacji księdza Franciszka Łukowicza oraz chrzcielnica z tego czasu, są zapewne autorstwa Dawida Bohra. Czasy pierwszej i najstarszej świątyni w Czersku pamiętają natomiast dwie granitowe kropielnice z XIII i XV w. Czarę starszej, zapewne jeszcze romańskiej, zdobią przekute pasy, ujmujące wnęki.

Do najstarszych zabytków architektonicznych Czerska należy plebania, zbudowana w 1828 roku w skromnej klasycystycznej formie.

Centrum miasta jest czyste, zadbane i bardzo pięknie ukwiecone latem. Troska władz miejskich i mieszkańców o wygląd miasta i jego estetykę przynosi znakomite efekty. Wyraźnie widoczne są starania zmierzające do utrzymania zabytkowego charakteru centrum miasta, jako świadka jego historii. Realizowany obecnie projekt centrum handlowo-mieszkalnego, po północnej stronie ul. Kościuszki, uznać należy za stosunkowo udany.

Liczne i zadbane sklepy gwarantują mieszkańcom, turystom i gościom dobre zaopatrzenie we wszystkie produkty spożywcze i wyroby przemysłowe. W okresie sezonu turystycznego trudno jednak znaleźć w centrum miasta miejsce na parkowanie samochodu. Wzdłuż ul. Kościuszki polikwidowano w ostatnim czasie nieliczne miejsca parkingowe na rzecz wystawianych sezonowo kwietników. Czy postąpiono słusznie, ocenić muszą sami mieszkańcy, utrzymujący się przecież w znacznym stopniu z obsługi ruchu turystycznego.



Jerzy Szwankowski

TU HOLA!

– Tak miał krzyknąć do swych towarzyszy pewien dostojnik pomorski, ujrzawszy pięknie położoną pośród boru polanę, dogodną do założenia obozowiska. Tak mówi legenda, gdyż, zdaniem językoznawców, nazwa miasta wywodzi się raczej od specyficznego zapachu rozkładających się w wodzie roślin.

Herbem Tucholi jest postać św. Małgorzaty, przedstawiona do połowy, biała na niebieskim tle z gołąbkim w jednej i krzyżem w drugiej ręce oraz złotą koroną na głowie. Od niedawna miasto posiada własną flagę, przedstawiającą lazurowy krzyż na białym tle,

nawiązującą do historycznego pierwotnego wzoru opisanego w 1632 roku.

Zwolennicy informacji podanej przez kronikarza Tomasza Kantzową sytuują początki Tucholi nawet w XII wieku. Nie potwierdzają tego jednak wyniki badań archeologicznych, prowadzonych w latach 1969-1982. Większość odnalezionych wtedy zabytków datowana jest na koniec XIII stulecia. Również pierwsza wzmianka pisana pochodzi z tego okresu, z 1287 roku, kiedy to arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka dokonał konsekracji tucholskiego kościoła.



Tuchola, rynek. Zdjęcie sprzed 1900 r.

Rozwój ówczesnej Tucholi wiąże się najprawdopodobniej z nową konfiguracją szlaków handlowych, które odąd krzyżowały się w nabierającym szybko cech miejskich ośrodku.

Wkrótce też przeszła Tuchola we władanie rodu Święców, powstał tu gród. W jego miejscu kolejni właściciele – Krzyżacy wybudowali ceglany zamek, który stał się siedzibą komtura. 22 lipca 1346 roku Tuchola otrzymała przywilej lokacyjny i prawa miejskie od wielkiego mistrza Henryka Dussemera. Rozpoczęto planową zabudowę miasta, otoczono je murami obronnymi oraz fosą.

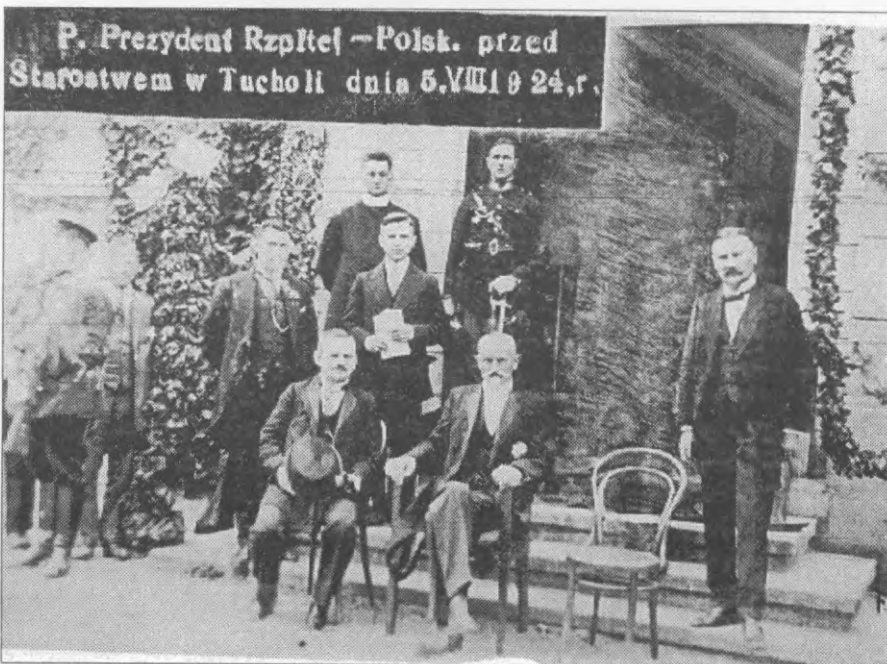
Rycerstwo ziemi tucholskiej wzięło udział w bitwie pod Grunwaldem, gdzie zginął komtur tucholski Heinrich von Schwelborn. W tym samym 1410 roku Janusz Brzozogłowy zajął miasto, które wkrótce Krzyżacy, używając podstęp, odzyskali. W 1454 roku zakon bezpowrotnie stracił Tucholę. Po II pokoju toruńskim miasto stało się siedzibą rozległego powiatu, ośrodkiem administracyjnym bogatego starostwa, włączonego w 1593 roku w skład dóbr stołowych polskich królowych. Odbywały się tu sejmiki powiatowe i elekcyjne, posiedzenia sądów ziemskich, a w 1658 roku nawet sejmik generalny Prus Królewskich.

W strukturze administracji kościelnej parafia tucholska wchodziła w skład archidiecezji gnieźnieńskiej, a od 1512 roku do wydzielonej jej części – archidiaconatu kamieńskiego. Parafia tucholska dała nazwę dekanatowi, w którym się znalazła, co świadczy o jej przewodniej roli wśród okolicznych parafii u zarania kształtowania się sieci parafialnej na tych terenach. Godność archidiacona kamieńskiego łączyła się często z posiadaniem probostwa tucholskiego. Była też Tuchola ośrodkiem lokalnego kultu religijnego, gdyż dużą czią cieszył się obraz Najświętszej Maryi Panny w kościele parafialnym św. Bartłomieja.

W XVI wieku rozpoczął się okres rozkwitu miasta. W obrębie murów rosła liczba domów, wzdłuż głównej trasy komunikacyjnej przecinającej miasto rozwinęły się przedmieścia. Podstawowym działem produkcji spożywczej stało się piwowarstwo, zorganizowane w cech w 1547 roku. Obok tego rozwijało się rzemiosło i handel. Mieszcz-



Fot. Dariusz Piasek



Fot. archiwum autora



Fot. archiwum

Urząd Gminy



Fot. Dariusz Piasek

Kościół św. Jakuba

nie tucholscy powszechnie zajmowali się rolnictwem.

Jeszcze w czasach krzyżackich tucholanie, chociaż rzadko, ale regularnie odwiedzali uniwersytety w kraju i za granicą, m.in. w Pradze i Lipsku. W XVI i XVII wieku młodzież tucholska kierowała swe kroki wyłącznie na uniwersytet krakowski. Jan Tucholczyk uzyskał tu w 1531 roku stopień magistra i prowadził wykłady i ćwiczenia na Wydziale Sztuk Wyzwolonych. Sporą popularnością (8 wydań do 1607 roku) cieszyło się dzieło Tucholczyka z zakresu prawa miejskiego, przeznaczone dla studiującej młodzieży i praktyków.

Na zadzierzgnięcie bardziej ścisłych związków między Tucholą a uniwersytetem krakowskim miały wpływ dwie fundacje kawalera maltańskiego Bartłomieja Nowodworskiego. Pierwsza została przeznaczona na utworzenie w Krakowie alumnatu dla czterech studentów z powiatu tucholskiego, druga m.in. zmierzała do podwyższenia poziomu kształcenia młodzieży w tucholskiej szkole parafialnej.

W tym okresie znana była działalność tucholan: pisarska Jacka Pruszcza (1605 – po 1667) oraz teologiczna i kaznodziejska Jakuba Fulgentego Hajsjusza (1582-1660).

Od początku XVII stulecia daje się zauważyć proces powolnego upadku miasta, przyspieszony wojnami okres „potopu” szwedzkiego, chociaż miasto wielokrotnie opierało się szturmom nieprzyjaciela. Zawdzięczano to cudownej opiece Najświętszej Maryi Panny, na cześć której wdzięczni tucholanie ufundowali po zakończeniu działań wojennych srebrne wotum. Bohaterska postawa mieszkańców została zauważona na dworze królewskim. W 1661 roku królowa Ludwika Maria tak pisała w liście do stanów Prus Królewskich: „Zasłużyli na to mieszczenie nasi tucholscy stateczną swoją nieprzyjaciółom naszym resitentią, aby na swoje ciężary i spustoszenie u całej Rzeczypospolitej łaskawy respekt mieli”.

Epidemie „morowego powietrza” oraz wyniszczające przemarsze wojsk na początku XVIII wieku pogrążyły Tucholę w ubóstwie. *Oppidum olim famosum* – te słowa osiemnastowiecznego dziejopisa pomorskiego Jana Gotfryda Borka trafnie charakteryzują Tucholę końca epoki staropolskiej. Gdy



Okolice Tucholi



Panorama miasta

w 1772 roku miasto przechodziło w ręce pruskie, liczyło zaledwie 450 mieszkańców.

Wielki pożar, który wybuchł 17 maja 1781 roku, obrócił w perzynę zabudowania miejskie. Ocalało tylko kilkanaście domów. Do odbudowy użyto cegły z resztek zamku i częściowo rozebranych murów miejskich. W przenośni i dosłownie miasto wkroczyło w nowy etap swojej egzystencji. Zaczęło przybywać ludności, w tym kolonistów niemieckich, których rząd pruski zachęcał do osiedlania się systemem ulg i zapomóg. Liczba ludności wyznania ewangelickiego wzrosła na tyle, że w 1796 roku powstała w Tucholi gmina ewangelicka z własnym pastorem. Wkrótce miasto znalazło się też w orbicie działań wojennych doby napoleońskiej. Pierwsi Francuzi, 300 huzarów – wkroczyli do Tucholi w listopadzie 1806 roku, a 22 stycznia następnego przybyli tu Polacy. Miasto sporo ucierpiało z powodu świadczeń wojennych: żołnierzom francuskim dostarczano nie tylko duże ilości żywności (w tym gorzałkę i wino), ale m.in. obuwie i lekarstwa. Rozpoczęta w czerwcu 1812 roku przez Napoleona kampania przeciwko Rosji spowodowała przemarsz przez miasto i okolice ponad 100 tysięcy żołnierzy. Niedługo, bo w grudniu, niedobitki wielkiej armii wracały do ojczyzny. W 1813 roku, na fali narodowego uniesienia, pruska Tuchola wysłała na bój z Napoleonem 32 mieszczan. Koniec wielkiej wojny świętowano w Tucholi, tak jak w całej monarchii, 18 stycznia 1816 roku, a mottem miejskim uroczystości był wyjątek z psalmu 71: *Gott, Deine Gerechtigkeit ist hoch, der Du grosse Dinge tust. Gott, wer ist Dir gleich?* (Boże, wyśoko sięga Twoja sprawiedliwość, którą tak wielkich dzieł dokonałeś. Boże, któż jest równy Tobie?).

Bardzo ważnym wydarzeniem dla tucholan uprawiających rolnictwo było uwłaszczenie i separacja gruntów. Prace przygotowawcze trwały blisko 10 lat i zakończyły się podpisaniem recesu uwłaszczeniowego 30 września 1833 roku. Koniec I połowy XIX wieku obfitował w wiele innych ważnych wydarzeń: w 1831 roku szalała w Tucholi po raz pierwszy cholera, w grudniu 1837 roku zakończono budowę nowego kościoła ewangelickiego, w 1844

synagogi żydowskiej, wprowadzono nowe przepisy przeciwpożarowe oraz przepisy regulujące ruch uliczny i porządek w mieście. W tym okresie związano też pierwsze formy życia towarzysko-organizacyjnego, jak Bractwo Strzeleckie, które powstało w 1835 roku.

Władzę wykonawczą w mieście sprawował magistrat składający się z dwóch członków opłacanych: burmistrza i urzędnika kamery oraz czterech członków pełniących swoje funkcje bez wynagrodzenia. Ludność reprezentowała rada miejska, składająca się z 12 deputowanych. Oprócz tego miasto miało 2 policjantów i 2 stróżów nocnych.

W 1865 roku naliczono 219 domów mieszkalnych, 2582 obywateli, w tym 945 Żydów, 886 katolików i 751 ewangelików. Spośród urzędów królewskich w mieście funkcjonowała deputacja sądowa z 5 sędziami, urząd podatkowy, faktoria solna i ekspedycja pocztowa.

Instytucje publiczne reprezentowała prywatna lecznica, katolicka fundacja szpitalna, apteka, resursa, w której odbywały się koncerty i bale. Działał chór i kółko czytelnicze, trzy szkoły wyznaniowe: ewangelicka, katolicka i żydowska oraz cztery szkoły prywatne: dwie chrześcijańskie i dwie żydowskie.

Nie dziwi zatem fakt, że Tuchola wkrótce awansowała i ponownie stała się miastem powiatowym (w 1875 roku). Pociągnęło to za sobą powstanie nowych budowli miejskich: sądu, poczty, seminarium nauczycielskiego. Zaczęła ukazywać się lokalna gazeta. Ożywił się polski ruch narodowy. Do Towarzystwa Rolniczego Ziemi Południowo-Pomorskiej (1862 r.) i Banku Ludowego (1868) należały m.in. tak znane postacie, jak ks. Romuald Frydychowicz (1850-1932), autor wielu cenionych dzieł historycznych (w tym pierwszej monografii Tucholi), nauczyciel w pelplińskim Collegium Marianum, przez 50 lat zaszczipiający swoim uczniom umiłowanie polskiej przeszłości Pomorza, ks. Jan Jakub Klunder (1849-1927), biskup tytularny selimbryjski i sufragan chełmiński, czy Erika Zimmermann, autorka słuchowisk dla dzieci oraz sztuk dla teatru lalkowego i teatru cieni.

Symbolem Tucholi lat I wojny światowej był wielki obóz jeniecki, założony przez władze pruskie w 1914 roku.

Mógł pomieścić do 20 tys. jeńców, posiadał własną elektrownię, walutę obozową, a nawet poprzecinany był siecią ulic o własnych nazwach (Blücherstrasse, Kronprinzstrasse itd.) Po 1920 roku w obozie przetrzymywano żołnierzy Ukraińskiej Halickiej Armii, jeńców bolszewickich, a następnie internowanych narodowości rosyjskiej. Dzisiaj pozostałością po obozie jest okolicznościowy obelisk i dwa cmentarze.

W okresie międzywojennym była Tuchola średniej wielkości miastem powiatowym, liczącym w 1934 roku 5620 mieszkańców, ze słabo rozwiniętym przemysłem, reprezentowanym przez 4 tartaki i 2 cegielnie, 3 młyny, 2 młeczarnie, olejarnię, gazownię i rzeźnię. 181 samodzielnych przedstawicieli rzemiosła pracowało w 27 zawodach, do tego istniało 81 przedsiębiorstw handlowych.

Dzięki powstałemu w 1926 roku oddziałowi Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, poczęło wzrastać zainteresowanie walorami turystycznymi Tucholi i Borów Tucholskich. W 1931 roku powstało w mieście Muzeum Regionalne Borów Tucholskich z działami: prehistorycznym, etnograficznym i przemysłu ludowego, historii miasta i regionu oraz przyrodniczym. Pierwsza w Borach Tucholskich oznakowana ścieżka turystyczna prowadziła z Tucholi do uroczyska Piekielko. Wśród lokalnej prasy najpoczytniejszy był „Głos Tucholski”, a „Młynarz Gospodarczy” miał zasięg ogólnopolski.

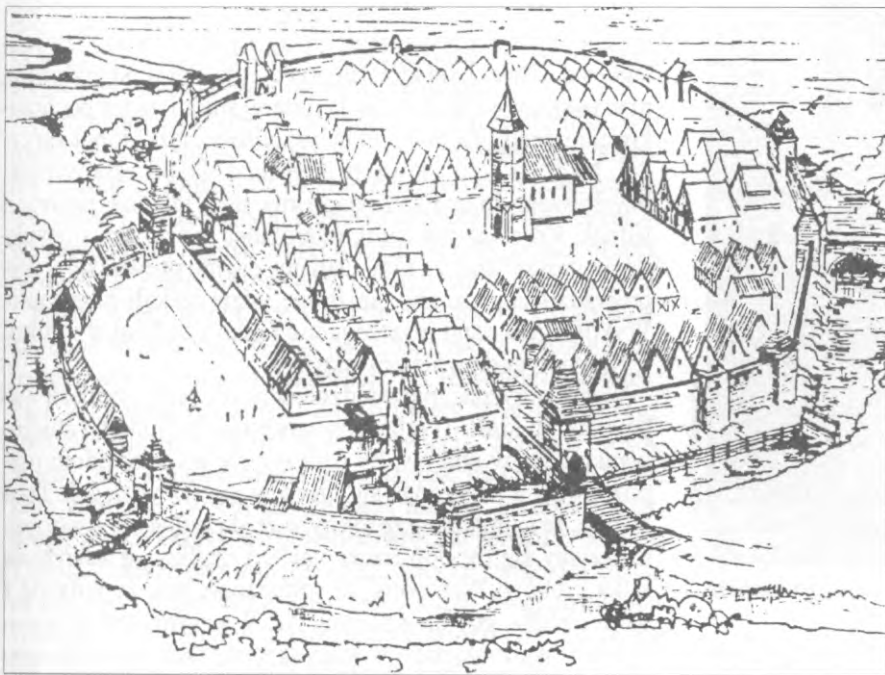
Wielu tucholan brało udział w kampanii wrześniowej, m.in. w szeregach batalionu Obrony Narodowej „Tuchola”.

Eksterminacyjna polityka okupanta hitlerowskiego dotknęła ludność miasta już w pierwszych dniach okupacji. W masowych egzekucjach w pobliskim Rudzkim Moście zginęło kilkuset tucholan oraz mieszkańców okolicznych wsi.

Dość wcześnie, bo już na początku 1940 roku, narodził się w Tucholi ruch oporu. Działalność konspiracyjną prowadziła nawet młodzież w organizacji „Tucholska Rota”. W czwartek 15 lutego 1945 roku Tucholę zajęły wojska radzieckie, a fakt ten został później uhonorowany w Moskwie specjalnym salutem armatnim. Dla miasta rozpoczęła się nowy okres. ■

Tucholska bombardarda

Adam Paluśkiewicz



Rekonstrukcja średniowiecznej Tucholi

„Wojsko królewskie zatem ruszywszy z Koła różnymi drogami przybyło na ziemię wroga, na Pomorze, a wkroczywszy na nie pod wodzą wspomnianego kasztelana krakowskiego Mikołaja z Michałowa po przeprawieniu się w okolicy Bydgoszczy przez rzekę Brdę, w imię Boże zaczęło je pustoszyć. Maszerowało zaś wspomniane wojsko mając po lewej stronie Jasiniec i Tucholę. A kiedy przybyło pod zamek i miasto Tucholę i pustoszyło grabieżami i pożarami pobliskie wsie i wszystkie podmiejskie tereny, ze względu na pociski wyrzucane przez wielką bombardę z zamku Tucholi, nie mogło zatrzymać się w pobliżu zamku i rozbić tam obozu. Zmuszone zatem do wycofania się spod wspomnianego zamku Tucholi, rozbija oboz w pobliżu jeziora w borze oddalonym jedną milę od Tucholi. Ale i tam również, ku zdumieniu licznych, dosięgały obóz króla wyrzucane z Tucholi kamienne pociski bombardy”.

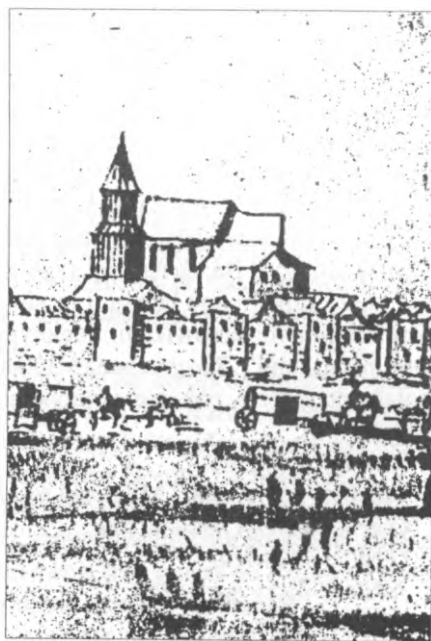
Oto długoszowski opis zajęć, jakie miały miejsce pod Tucholą w roku

1433. Stary król Władysław wyznacza Mikołaja z Michałowa na swego zastępcę na polu walki. Rozkazy były proste: wkroczyć na teren wroga (krzyżackie Pomorze), spustoszyć osady i wsie, a następnie zdobyć jakiś zamek i prowadzić wojnę zaczepną. Docierają pod zamek Tucholę (jeden z większych na Pomorzu) i tu niespodzianka. Krzyżacka załoga posiada bombardę (rodzaj katapulty), która miota „kamyczkami” na lewo i prawo nie dając szans na zbliżenie się do miasta; „kamyczkami” o wadze nawet do 50 kg. Tucholska bombardarda nie była pewnie z największych, ale jak widać wojsko poczuło respekt! Polskie oddziały po spustoszeniu okolicy, postanawiają rozbić obóz nad pobliskim jeziorem. Zapewne było to Jezioro Zamkowe, w tamtych czasach rozległe (dzisiaj bagno) i położone pośród boru, który otaczał Tucholę. Krzyżacy pozwolili rozbić wojsku obóz i dali nadzieję na spokojny odpoczynek. „Piknik” przerwały nadlatujące od strony zamkowych murów „kamyczki”. Tego było już za wiele. Wojsko rusza

na Chojnice. Kiedy i tam nic nie wskóra przez 8 tygodni, odstępkuje od oblężenia. Polak na błędach się uczy. Nasze rycerstwo sprawia sobie bombarde i rusza na Pelplin i Tczew, po których pozostają gruzy i popiół. Droga na Gdańsk stoi otworem. Po obrzuceniu miasta kamieniami z bombard odstępują od oblężenia i ruszają na powrót do Tucholi. Oto, co w swej księdze zapisał Długosz:

„W poniedziałek po św. Wawrzyńcu wojsko polskie po spożyciu wszystkiego co się znajdowało w sąsiedztwie, odjechało spod Gdańska ku ogromnej radości mieszczan. Kiedy po sześciu postojach przybyło do miasta Tucholi i chciało zatrzymać się na postój w pobliżu miasta, obrzucane raz po raz z zamku pociskami z wielkich machin, wycofało się spod miasta do miejscowości odległej prawie o pół mili i rozbiło tam obóz. Ruszywszy stamtąd, przybyło do Jasińca i tam zatrzymało się przez cztery dni. Przyjechali bowiem komturowie, rycerze i mieszczanie pruscy w celu podjęcia rozmów na temat pokoju”.

Ową miejscowością odległą o pół mili od Tucholi była prawdopodobnie Koślinka. Po krótkim czasie stwierdzono, iż nie ma chyba sensu czaić się pod tucholskim zamkiem i ruszono spod Jasińca. Wszystko skończyło się pokojem brzeskim, a szansa odbicia Pomorza przepadła. ■



Johann Rudolf Storn, Widok Tucholi, 1661 r. (fragment rysunku)

JESIEŃ LEŚNYCH LUDZI

Jacek Indelak

Bory wciągają jak narkotyki.

Uzależnienie od nich jest zazwyczaj ogromne i najczęściej nieuleczalne. Głód narkotyczny bywa dotkliwy, nasila się wraz z nadejściem wiosny, by szczyt osiągnąć jesienią.

W swej ostatniej książce „Moce tajemne, rzeczy niepojęte” tak oto napisałem:

„byliśmy na urlopie, na domiar tam, gdzie wyjątkowo nam dobrze, w środku Borów Tucholskich. Okoliczności te zwykle sprawiają, że u Jagody (mojej żony – przyp. J.I.) ujawnia się tłumiony na co dzień romantyczny rys jej natury, przestaje się wciąż mieć na baczności, ustępuje nieco ze swego zwykłego racjonalizmu.

W lesie z radością uczestniczy z nami w pogańskich obrzędach, których stałym elementem są takie oto inwokacje:

– Lesie, lesie, co z tobą? Taki już szmat drogi przeszliśmy, a ledwie dno koszyków wypełnione! Pogniewałeś się na nas, czy co?

– Dziękujemy ci, lesie, pamiętaj o nas do przyszłego roku, jak i my o tobie pamiętać będziemy!

Las nas zresztą darzy szczerze, pachnie jak nikomu innemu, śpiewa i gra, odsłania najpiękniejsze zakątki, wysyła nam naprzeciw zające i jeże, stada saren i danieli, tylko dziki trzyma raczej z daleka, choć potrafił już parę razy łosiem postraszyć. Ba, na największym nawet bezgrybiu, nasze kosze wypełnia po brzegi. I to nie jakąś grzybią hołotą, lecz dorodnymi borowikami, pięknymi krawcami, smakowitymi gąskami... Rozgrzebana ściółka, strutowane krzewy, połamane gałęzie, pokopane muchomory – bołą nas i gniewają”.

Rzeczy niepojęte.

Tutejszy poeta, Józef Milewski pisał:

O grudko ziemi kociewskiej,

O relikwio święta,

Jakaż to łączy nas razem

Sila niepojęta...

O Kociewiu wprawdzie pisał, ale Bory Tucholskie to po części ziemia kociewska.

O autochtonach wprawdzie pisał, ale i przybysze z innych stron Polski też mogą być borowiackimi patriotami.

Sila niepojęta...

I następny wyimek z mojej książki:

„W lesie wreszcie mamy najwierniejszego przyjaciela, którego od lat nazywamy czule Klekotkiem. Nasza przyjaźń zaczęła się przed laty, kiedy pewnego razu zabłądziliśmy w głębi boru. Zapadał już zmierzch, a my się błakaliśmy z żoną od duktu do duktu, tracąc nadzieję, że o własnych siłach wydostaniemy się z leśnej matni. Nagle gdzieś w pobliżu rozległy się dźwięki, od których przebiegły ciarki po grzbiecie, ni to poskrzypywanie żurawia u starej studni, ni też pochrząkiwanie dzika. Za moment usłyszeliśmy ciężki łopot skrzydeł. Nad naszymi głowami przeleciał wielki czarny ptak. Wystraszeni do cna zatrzymaliśmy się. Odleciał, powrócił jednak. Kołował nad nami, pokrakując raz po raz. Instynktownie ruszyliśmy za nim. Daliśmy się mu prowadzić. I wyprowadził nas na znaną nam drogę, gdzie czekało nasze auto. Wykonał nad nami jeszcze jedno kółko i zniknął w mroku.

Niewiarygodne, ale prawdziwe.

Wstyd przyznać, nie wiedzieliśmy wówczas, że nasz wybawiciel to kruk. Trzeba było następnych spotkań i studiowania atlasów ptaków, by nauczyć się go bezbłędnie rozpoznawać, a i rozeznaczyć się nieco w jego obyczajach. Dziś wiemy, że najmądrzejsze to chyba ze skrzydlatych stworzeń. Cieszymy się, że dopuszcza nas, co rzadko się zdarza, na kilka kroków. Wierzymy, że rozpoznaje nas, że wita się z nami i żegna, gdy opuszczamy las. Wierzymy też, że świadomie towarzyszy nam w leśnych spacerach, że podpowiada nam nie tylko drogę, ale nawet miejsca, gdzie najwięcej grzybów. I nieważne, czy Klekotek jest jeden, czy są to różne Klekotki, krewni i znajomi tamtego sprzed lat, tak czy inaczej, mamy w nim wiernego przyjaciela.

– Klekotku, Klekotku, gdzie jesteś! – woła moja żona, zadarłszy głowę do góry, a za moment kruk się odzywa...”

Przytaczam to na wstępie tekstu, zamówionego przez miłą memu sercu „Pomeranię”, by od razu kawę na ławę wyłożyć: o Borach Tucholskich nie potrafię pisać inaczej jak z pokorą i miłością.

Ktoś może powie, że to żarliwość neofity, który rozkochał się w Borach nie w dzieciństwie, nie w młodości nawet, lecz w wieku dojrzałym. Posądzając mnie o nuworyszostwo, nie będzie miał racji.

– Ty byłąs najbardziej szczęśliwy, gdybyś mógł wejść do lasu, zamknąć za sobą furtkę na klucz i nigdy już nie wrócić – powiedziała kiedyś moja redakcyjna koleżanka. Złośliwie, ale trafnie. Kochamy (żona, nasi synowie i ja) las bardzo i od zawsze, a on nam odwzajemnia to uczucie. Las bowiem, jak zgodnie powiadamy, ma... duszę.

Bory Tucholskie są dla nas dzisiaj kwintesencją lasu, ucieleśnieniem (a raczej – ulesieniem) naszych dawnych tęsknot i marzeń, a zarazem wyjątkowo żyzną glebą dla marzeń nowych. Bory też coraz bardziej umacniają nas w podejrzeniu, że w istocie to jesteśmy... leśnymi ludźmi.

Przez ćwierć wieku urlopy letnie lub jesienne spędzaliśmy na Wyspie Sobieszewskiej, tam też bobrowaliśmy po lasach. Odbywaliśmy też regularne wycieczki do lasów centralnej Polski. Phi, co to za lasy – ktoś powie. I tym razem będzie miał stuprocentową rację. Cóż to bowiem za lasy w

promieniu, powiedzmy, kilkudziesięciu kilometrów od Łodzi? Otarliśmy się wprawdzie parokroć o większe kompleksy leśne, mieliśmy jednak dla nich zbyt wielki respekt, podszyty – co tu ukrywać – strachem, by ciągnęło nas w puszczańskie oczerety. Zagubić się w nich takim mieszcuchom, to jak amen w pacierzu. Toteż lat parę opieraliśmy się namowom mej szwagierki Danki, by choć raz jeden jedyny wybrać się na grzyby do prawdziwego lasu. Danką jeździła na grzyby do Tlenia. Pewnego lata pozwoliliśmy jej zabrać w Bory naszego młodszego syna, Miłosa. I wpadliśmy jak śliwki w kompot. Tleń urosł do rangi rodzinnej legendy, której wyzwanie i my w końcu musieliśmy podjąć.

Pewnej późnej jesieni, w drugiej połowie października, wyruszyliśmy z żoną na nasze pierwsze w Borach grzybobranie. Dodać tu muszę, że zbieranie grzybów, to obok ciekawej lektury i słonecznych kąpiel, największa wypoczynkowa pasja mojej Jagusi, której oddaje się przy każdej okazji, od dziecka. Pojechaliśmy więc na jeden weekend do Tlenia.

Późny wieczór, ponury, wietrzny i dżdżysty. Droga ciężka, choć ruch nie tak wielki jak dziś, a nasza fiesta nie ma jeszcze zbyt wielkiej konkurencji. Za Kowalem wypadek. Pod Włocławkiem korek. Za Toruniem tarasująca drogę stłuczka. Następna na moście w Świeciu. Narasta ulewa. Wiem, że u końca Świecia mam skręcić na Osie. W lewo, koło kapliczki. Wiem też, że dalej ma być jeszcze gorzej, droga wąska i kręta, karkołomna wręcz u zjazdu z Osia do Tlenia. Z duszą na ramieniu zjeżdżamy ze świeckiej kostki na dziurawy asfalt. W Łaskowicach – ciach, długi postój pod szlabanem. Niespełna czterdzieści kilometrów ciągnie się jak wieczność. Wieczność mroczna, mokra, śliska. I ta serpentyna nad Wdą u dojazdu do Tlenia. Zwalniam do prędkości rowerzysty, w świetle reflektorów groźnie polśniewa balustrada. Za nią pewnie przepaść. Jak nie przepaść, to przepastna rzeka, na jedno wychodzi. Horror. Tleń śpi, ni żywej duszy. Co gorsze, pensjonat – ostatnie domostwo u wyjazdu ze wsi – zamknięty na cztery spusty. Udaje nam się jednak zdobyć klucze i rozlokować w przygotowanym dla nas pokoju. Bez komentarzy idziemy spać, nieludzko zmęczeni. Nie z powodu tej wyprawy, lecz dlatego, że zebraliśmy się na nią – jak zwykle – resztkami sił. Marzył nam się przyjemny odpoczynek, miłe wagary od życia i pracy, tymczasem... Bez komentarzy, miny jednak rzadkie.

Wbrew porzekadłu, ranek wcale nie mądrzejszy od wieczora. A już na pewno nie piękniejszy. Ponuro, zimno, deszcz. Uporu ci jednak u nas pod dostatkiem, i w pracy, i w życiu, to i na grzybobraniu. Na ramię kosz i w drogę. Trzymamy się wciąż instrukcji Danki: wyjść za Tleń w stronę Łążka, kawałek szosą, potem skręcić w pierwszy po prawej dukt, a raczej na szutrową drogę, wiodącą na stare lotnisko w głębi lasu. W tym rejonie najwięcej podobno grzybów (wtedy, nie dziś – to se ne vrati!). Idziemy szutrem. Kosze coraz cięższe, wiklina namaka. Długo tak jeszcze? Schodzimy z drogi w las. I szok, parę ledwie metrów od duktu – pełno grzybów. Przepiękne podgrzybki. Ciemne lśniąco kapelusze, zgrupowane w wielkie stada. Najpiękniejszy podgatunek, przez miejscowych zwany „czarnymi łebkami”. Wabia, kuszą, w las wciągają.

Ani się obejrzelśmy, kosze pełne. Ani się obejrzelśmy... pobiłdziliśmy. Serio.



Fot. Adam Paluskiewicz

Duch Lasu

Błąkami się jak te sieroty. Długo. Od duktu do duktu, od ścieżki do ścieżki. Kręcimy się w kółko? Znikąd pomocy. W mrocznym lesie, w strugach deszczu. Kosze ważą po sto kilo, kalosze pełne wody, kumkają jak zbzikowane żaby. Rozpacz...

Ktoś, kto choć raz w życiu zagubił się w lesie, zrozumie.

Ktoś, kto zna te strony, pęknie ze śmiechu, gdy dopowiem, że krążyliśmy przez cały czas wokół leśniczówki Czarna Woda. Od niej do szosy w prostej linii siedemset metrów, do naszego pensjonatu, na przełaj, niespełna kilometr.

Nie sposób więc było nie odnaleźć drogi powrotnej. Odnaleźliśmy. Wypłoszeni nie na żarty, pełni jeszcze większej pokory (może o to Borom chodziło, skoro mają duszę?) dla puszczańskiego ogromu, dotarliśmy na ostatnich nogach do pensjonatu. A w godzinę czy dwie później, jakże by inaczej, wróciliśmy do lasu. Pilnując duktołów i skrzyżowań, tropiąc znaki rozpoznawcze, zbieraliśmy grzyby do zmroku. Następnego dnia – *da capo*. Wróciliśmy do naszego domu z tarczą. Takich zbiorów – *quantum et qualitas* – moja żona nie miała od dzieciństwa.

Rodzinie przyznaliśmy się do kompromitującej wpadki. Teraz zaś przyznaję się do niej publicznie, chociaż wyznanie to zdziwić może znajomych, którzy uważają nas nie od dziś za wytrawnych znawców Borów Tucholskich.

Wyznaję to wszystko nie tyle zresztą ku przestrodze i uciechu czytelnika, co dla uzmysłowienia mu do końca, z jakiej perspektywy wtrącam swoje trzy grosze do rozmowy o Borach Tucholskich, podjętej przez „Pomeranie”.

Górale nazywają takich jak my ceprami. Nie wiem, czy Borowiacy posługują się analogicznym określeniem. Może

nazywają nas Hunami, którzy rokrocznie najeżdżają ich małą ojczyznę, sieją zamęt i spustoszenie, trzebią bez opamiętania leśne runo, trują poszycie, trują powietrze, wdzierają się w najodleglejsze ostępy, zostawiają góry śmieci.

Kawalkady aut ze skrzynkami na dachach i kartonami w bagażnikach, tłumy ludzi z wiadrami i reklamówkami – napawać mogą zgrozą. Niech no tylko media obwieszczają wysyp jagód lub grzybów, zaczyna się najazd. I nic to, że prawdziwych wyspów już nie ma. Nic, że w sezonie ogórkowym kaczkę dziennikarskie stają się całkiem niewybredne, żywią się nawet leśnym runem. Jak ruszy lawina, nic jej nie powstrzyma, nic już nie wyrwie ludzi z amoku. Kiedyś było inaczej, mniej samochodów, czas pracy większości rodaków bardziej unormowany, toteż w lesie całymi dniami stała cisza. Teraz nie ma różnicy, świątek, piątek, trwa zgiełk i zamęt. Chcesz odejść od niego jak najdalej, idziesz kilometrami w głąb boru, zapuszczasz się w odległe uroczysko, a tam już stoi... auto jakiegoś dzikusy, który ma za nic wszelkie zakazy, wszelkie normy.

Taki kram, jaki pan? Może trochę.

Leśniczy z Wypalanek przegania samochody z dopuszczanego do ruchu traktu między jego leśniczówką a Jeziorną, tymczasem głęboko w lesie, na wewnętrznych duktach, parkują bezczelnie auta osobowe, furgonetki, ba, nawet autokary. W jego, rzecz jasna, rewirze. I przypomina się stary dowcip o pijaku, który wprawdzie zgubił pieniądze w ciemnej bramie, szukał ich jednak pod latarnią, bo tam... jaśniej.

Na przejeździe dotąd szutrowej drodze, przecinającej las między trasą: Osie – Warlubie a szosą: Jeżewo – Lipinki, inny nadgorliwiec ustawił zeszłej jesieni znaki zakazu wjazdu. W rezultacie grzybiarze, którzy w poprzednich latach stawiali samochody na szutrze, zaczęli wjeżdżać w las, by nie rzucać się w oczy na drodze z zakazem ruchu.

Skarżę się na Hunów i ich pomagierów, mnie wypada. Tu tejszym nie przystoi, ja jednak jestem Hun, na tablicy rejestracyjnej wożę nietutejsze litery. Skarżę się, gdyż mnie to wszystko boli i gniewa. Tak widać musi być, gdy kto jeszcze Hun z ciała, a z serca już Borowiak.

Pokochać, to najpierw zrozumieć.

Zrozumieć, to przedtem poznać.

Poznać? Ba, żeby to było proste...

„Jagódce, aby po pierwsze – nie musiała sporządzać już więcej notatek, i po wtóre – by zważała na dużo wiadomości bałamutnych w tej książeczce pomieszczonych” – przewodnik turystyczny z takim oto wpisem dostała moja żona od naszego przyjaciela, wybitnego znawcy Borów Tucholskich, badacza kręgów kamiennych w Odrach, archeologa, dr. Tadeusza Grabarczyka. Postać to notabene dobrze znana Czytelnikom „Pomeranii”, z publikacji własnych i cudzych, włącznie z moim obszernym reportażem „Kamienne kręgi”, publikowanym na tych łamach w zeszłym roku (nr nr 9, 10).

Otóż to, wiadomości o Borach nie dość, że trudne do zdobycia, to na domiar często bałamutne. Bory Tucholskie nie miały nawet przez długi czas powszechnie dostępnej przyzwoitej mapy, z tym zaś, co ostatnio wydano, łatwiej zgubić się niż odnaleźć.

W „pionierskim okresie” skazani więc byliśmy na własne przede wszystkim siły. Naszą bazą wypadową stał się, rzecz jasna, Tleń, niegdyśiejsza, notowana już w średniowiecznych

annałach, osada rybacka, od blisko stu lat znany kurort, położony nad Wdą przy ujściu do niej Ryszki i Prusiny.

Nazwę tej wsi przewodniki wywodzą od... klenia, słodkowodnej ryby, acz natrafiłem również na publikację, której autor pisze: „Nazwa pochodzi od istniejącego tu źródła, zawierającego tlen i inne składniki lecznicze.”

Śmiem wątpić w obie hipotezy. Czy kleń mógł się przekształcić w tleń? Czy w gwarze kociewskiej lub borowiackiej nagłosowe „k” ma tendencję do przechodzenia w „t”? Nie i jeszcze raz nie! Co więcej, nasi dialektolodzy – z Dejną i Urbańczykiem na czele – w ogóle nie notują takiej cechy gwarowej. Ktoś więc owego klenia wysłał sobie z palca i zaraz znalazł naśladowców. Tylko po co?

Tlen w wodzie źródlanej? Domyślam się, że chodzi tu o źródło bijące nad Wdą w pięknym uroczysku, zwanym Piekłem. Zapuszczamy się tam czasem po wodę – wyjątkowo smaczną, orzeźwiającą, niegorszą od tryskającej pod Skórczem „Pomorzanek”. Czy tlen wszakże w wodzie źródlanej jest aż tak niezwykłym zjawiskiem, by opierać na nim karłowate wywody etymologiczne?

A gdyby odnieść rzeczownik „tleń” po prostu do czasownika „tleć”, w obu jego znaczeniach, czyli „palić się słabo, bez płomienia, żarzyć się, tlić” lub „rozpadać się, niszczyć wskutek starości lub działania czynników rozkładających”, a więc również „butwieć, gnić, próchnieć”? „Tleń” oznaczałby wówczas „to, co tli się (w pierwszym znaczeniu), tleje (w drugim znaczeniu) lub zetlało (w znaczeniach obu)”.

Słowo „tleń”, dodam, nieobecne we współczesnej polszczyźnie, występowało w przeszłości nie tylko w naszym języku, ale i w innych językach słowiańskich.

Sięgam po słynny „Tolkowyj słowar” Władimira Dala, gdzie „tleń” objaśniony jest jako „wszystko, co tłące, gnijące lub zetlałe; rdza, zgnilizna, popiół, proch”, a także „wszystko, co marne, nietrwałe, przemijające, powszednie, ziemskie, cielesne, materialne”, a również „wszystko, co podlega rozkładowi, co jest doczesne i śmiertelne”.

Jakie to piękne, a zarazem proste. Tleń znaczy tleń. Tylko tyle i aż tyle. Skąd zaś wzięła się ta nazwa i w którym znaczeniu tego barwnego słowa, to odrębne zagadnienie.

Wiemy, że Bory Tucholskie były w przeszłości domeną smolarzy i węglarzy, których rzemiosło zasadzało się na umiejętnym podsycaniu i tłumieniu ognia. Drzewo nie mogło płonąć, musiało się tlić. Kto wie, może i nad wsią Tleń snuły się przed wiekami dymy węglarzy, żarzyły ogniki smolarzy? Wiadomo przecież, że rybacy potrzebują smoły do uszczelniania łodzi.

To jeden tylko trop, jedna poszlaka. Wielkie jest wciąż pole do popisu dla wyobraźni, szeroki nadal obszar do dalszych poszukiwań.

Tleń ów stał się więc naszą bazą wypadową.

Mała osada pośród zielonego żywiołu. Zaczynając jego penetrację, wiedzieliśmy już, co to Bory Tucholskie. Tysiąc sto siedemdziesiąt kilometrów kwadratowych boru, ledwie sto kilometrów mniej niż Puszcza Białowieska, największy kompleks leśny na Nizinie Środkowoeuropejskiej, w połowie tylko położony na obecnym terytorium Polski. Nasze Bory więc to niemal dwa razy tyle, co polska część białowieskich lasów, to dokładnie dwa razy tyle, co Puszcza Kampinoska.



Bory

Tleń nad Wdą, w dolnym jej biegu. Nad sławetną rzeką, częściej zwaną Czarną Wodą, co wypływa z rynnowego Jeziora Wieckiego na południe od Kościerzyny i zbiera wody Niechwaszczy, Świętej Strugi, Kałębnicy, Prusiny, Ryszki, Wyrwy i Sobińskiej Strugi, by na sto sześćdziesiąt ósmym kilometrze swego biegu, pod Świeciem, połączyć się z Wisłą. Czarna Woda, która rozlewa się pod Tleniem i Starą Rzeką w czterystu hektarach zalew. Wda, która ma w swoim dorzeczu trzysta pięćdziesiąt trzy jeziora, z czego ponad pół setki większych.

Z lubością powtarzam te banały, wymieniam te nazwy, gdyż co słowo, to wspomnienie piękne, to obraz urzekający aż do zaparcia tchu. Co słowo, to zaklęcie... bo tęsknię po tobie, Czarna Wodo. Wszak wiosna przyszła, a wraz nią odezwał się głód narkotyczny.

Nic, tylko uciec do lasu.

Maria Rodziewiczówna w swoim uroczym „Lecie leśnych ludzi” pisze:

„Leśni ludzie zwykle trzymają się samotnie, dusze swe kryją, o swoim wnętrzu z nikim nie mówią, wiedząc, że to innych nie zajmuje.

W potwornym młynie ziemskim, gdzie bożyszczem jest interes, walka o zbytek i użycie wykwinu cywilizacji, obcując z innymi, mają w oczach często zgrozę lub krytyczne zdumienie, ale milczą i spełniając swe społeczne obowiązki baczą tylko, by się nie dać zgnieść, zmiażdżyć. O dusze swe nie są trwożni: tych zaraza świata nie skazi.

I tak trwają, rzadcy wśród świata i obcy mu zupełnie”.

O, tak, wejść do lasu, zamknąć za sobą furtkę na klucz i nigdy nie wrócić...

Uczyniliśmy więc z Tlenia naszą bazę wypadową, początkowo w trójkąt: Tleń – Osie – Stara Rzeką. Trochę autem, głównie na piechotę. I tak nam zostało, przeciętny dzienny przemarsz sięga i dwudziestu kilometrów. Kilometry to czasem podwójne, bo juczne, gdy wybieramy się na grzyby.

Tleń – wiadomo. Osie – baza, dla odmiany, kwatermistrzowska. W piekarni na zakęcie, u wyjazdu na Starą Rzekę, chleb, jaki nie ma sobie równych. W masarni u państwa Chmarzyńskich wędliny, jakie chciałoby się jadać przez okrągły rok. Nawet w sklepie mleczarskim, choć to bodaj GS-owski relikw, nabiał wyśmienity. W czwartki – wielki targ. Niestety, coraz mniej wiejski, coraz bardziej miejski. W ogóle Osie to nie wieś, lecz małe miasteczko, nie wiedzieć czemu bez praw miejskich. Góruje nad nim biała wieża kościoła Podwyższenia Świętego Krzyża, która wyjątkowo pięknie wygląda w słońcu, gdy nadjeżdża się ku niej od strony Warlubia. W lasach wokół Osia są grzyby, gdy są. Zjeżdżają tu nawet wycieczkowe autokary. Osie ma też swoją Łysą Górę, gdzie w noc świętojańską czarochy (czarownice) z całej okolicy urządzają sobie z szatanem dyskotekę.

(Swoją drogą, czarochy i binki, krasnoludki i kraśki, pokutujące dusze i błędne ogniki, dziwożony, przypołudnice i bożenki, zwłaszcza już borysie, złe duszki mieszkające w lesie – to borowiecka *specialite de la maison*, w którą bardzo miło wierzyć.)

Wzgórze to zwane też bywa Żydzia Górą, leży na dawnym



Mostek w Lubiewie

szlaku bursztynowym – *via mercatorum*. Tutaj podobno pej-saci handlarze czekali na kupieckie karawany, by uprzedzić konkurencję i taniej zaopatrzyć się w towary.

Przez Osie uciekał po przegranej bitwie pod Jeną w 1807 roku król Fryderyk Pruski, przechodziły też dwukrotnie – w 1807 i 1812 roku – wojska napoleońskie. Tędy bowiem prowadziła – jak przez Tleń, Starą Rzekę, Czersk – słynna Napolionka, trakt napoleoński. Na mocy rozkazu Bonapartego miejscowe dukty zostały wyprostowane, częściowo wybrukowane i poszerzone do 12 prętów. Przewodniki podają, że trakt miał szerokość około 40 metrów, tymczasem był on szerszy. Wprawdzie nie wiadomo, jaką miarą się tu posłużono, czy prętem pruskim (3,77 m), czy też koronnym (4,47 m), z prostej jednak arytmetyki wynika, że trakt miał szerokość co najmniej 45 metrów, jeśli nie ponad 53. Skąd ta rozbieżność? Proste, Napolionka pozarastała po bokach różnymi samosiejkami.

Nie ma też zgody co do nazwy Osia. Jedni wywodzą ją od połamanych osi w powozie pewnego wielmoży, co utkwiał w lesie pod wsią, inni od tego, że tabor napoleoński grzązł po osie w tutejszych piachach. Jeśli nazwa Osie pochodzi wprost od osi, to co zrobić z nazwami pobliskich – Osieka i Osiecznej? „Osiek” znaczy to samo, co „pasięka”. Dało to asumpt jednemu z autorów, by nazwę owej słynnej wsi połączyć z... bartnictwem. Faktem jest, że pszczelarstwo było przed wiekami jedną z borowiackich specjalności, „pasięka” jednak w tamtych czasach znaczyła „miejsce, gdzie las posieczono”. Tyle samo znaczył „osiek”. Ot, nie ma lek-

ko. By jeszcze bardziej sprawę skomplikować, zwrócę uwagę (za „Słownikiem etymologicznym języka polskiego” Aleksandra Bruecknera), że „oś” to prasłowno (praind. aks, aksza), oznaczające „coś ostrego, spiczastego”, od którego wywodzi się wiele rodzin wyrazów: „ość, oścień, ostry, ostroga, ostrysz, ostrzęgi, ostrzew”, a nawet „ostrokół”.

Osiek i Osieczna.

Szlaga i Szlachta – dwie inne miejscowości na borowieckim szlaku. Ich nazwy mają nie tylko ten sam niemiecki pień: „slahan, schlagen”, ale mogą nawet oznaczać to samo, gdyż „szlaga” to w jednym znaczeniu – „kafar, taran” (od niem. „Schlage”), w drugim jednak – zgrubienie od „szlachta” (porównaj: „szlagon”). Kto chce, może mi wierzyć, potwierdzenia w przewodnikach nie znajdzie, te nie tylko wobec Szlagi zdają się być bezradne.

Od pseudonaukowych wywodów wolę jednak legendy...

Jest taka, co łączy Napoleona z Osiekiem.

Piszę „Osiek” i czuję słodki zapach miodu, i słyszę buczenie pszczół w koronie wielkiej lipy, co rośnie w sercu wsi pod neogotyckim kościołem św. Rocha. Widzę jego masywny mur, wzniesiony z czerwonej cegły i polnych kamieni. Krótki stąd spacer i już przed oczyma rozpościerają się niebieskie wody jeziora Kałębie, największego w Borach (458 ha), słusznie więc nazywanego Morzem Kociewskim. W jego to otchłani spoczywać ma jedna z kas uciekającej spod Moskwy armii napoleońskiej. Jedną więc kasę zatopiono w Kałębiu, drugą zakopano w lesie koło leśniczówki Karsznia. Kas napoleońskich wszakże musiało być więcej, skoro kolejnej pilnuje w przyrzecznych bagnach koło Osowa Leśnego sam diabeł, pali nad nią do dziś ogniki. Inną jeszcze kasę zakopać mieli Francuzi w Lesie Szpęgawskim pod Starogardem Gdańskim. Skarby tutejsze niekoniecznie muszą być francuskie, gdyż również i Szwedzi podczas potopu zatopili złoto w jeziorze Kałębie.

Osiek, Osieczna, Ocypel.

W pobliżu tej ostatniej osady jest Jezioro Święte, z którego wypływa Święta Struga, a wokół nich – legend bez liku. Jezioro pojawiło się na miejscu zatopionej wsi, nocami niosą się nad wodą ludzkie zawodzenia i bicie dzwonów, gdyż woda zalała równocześnie miejscowy kościół. Potępięcze też jęki wydawać mają duchy Krzyżaków, potopionych w jeziorze przez miejscowych smolarzy i węglarzy. Piękne za to śpiewy niosą się po całej okolicy w noc świętojańską, kiedy to zjawy cudnych dziewic myją włosy na pobliskim mostku. I wreszcie – *last not least* – legenda o śpiącym na dnie jeziora wojsku, które obudzi się do walki, gdy Ojczyzna znajdzie się w potrzebie. Sen to, niestety, bardzo mocny.

Są w Borach legendy ogólnie dostępne, bywają i prywatne. My też mamy swoje bajki. Proszę bardzo, opowiem, żaden sekret.

Wchodzimy z żoną w las, gdzie zwykliśmy zbierać podgrzybki, a tam tabun Hunów ugania się z wiadrami. Markotni ruszamy duktem, mijamy jedno skrzyżowanie, potem drugie. Daleko za nami zostają dzikie wrzaski, trzask łamanych gałęzi, warkot samochodów. Skręcamy między drzewa, tu już jednak ani śladu podgrzybków. Zapuszczamy się jeszcze dalej. Ot, miły spacer. Bez żadnej nadziei schodzimy do małej kotlinki, porośniętej młodą brzezina. Jak tu pięknie. I nagle zamieramy. Nie, niemożliwe, kotlinka wprost

usiana borowikami i krawcami. Kozłarki mają kapelusze wielkie jak talerze, prawdziwki – jak spodki. Stoją tu od wielu dni, czekają na nas. Zamykam dziś oczy i widzę kolorowy dywan z dorodnych grzybów.

Kotlinkę tę nazwaliśmy „Bajką”, a jako że jeszcze parokroć przytrafiły nam się takie leśne cuda, zaczęliśmy bajki numerować: „Bajka I”, „Bajka II”, „Bajka III”.

Na której półce stoją nasze bajki? O, nie, w życiu, to już sekret!

Lepiej powróćmy do pionierskiego trójkąta. Z Tlenia do Osia, z Osia – Napolionką – przez Radańską do Starej Rzezi. Cud natury. Bory Tucholskie stoją na sandrze, piasku i żwirze, rozwalcowanym na płasko przez wędrujący lodowiec, stąd w przewadze są tutaj słabe gleby żytńio-ziemniaczne. Morena denna przeważa, zdarzają się jednak pozostałości moreny czołowej lub bocznej, urozmaicające płaski teren, dodające krajobrazowi niewyobrażalnej okras. Tak jest właśnie pod Starą Rzeką, gdzie Czarna Woda ma jeden z najpiękniejszych przełomów.

Warto było pokonać fatalną drogę, pełną dziur i wybojów, która jak na ironię kończy się kawałkiem asfaltu. Asfalt wlewa się na most, za mostem od nowa – straszne wykroty. Niezbadane są wyroki naszych drogowców. Warto jednak było, Stara Rzeką jest jednym z piękniejszych zakątków w Borach...

Pytam staruszkę, napotkaną w Starej Rzece, gdzie, jej zdaniem, najwięcej jest grzybów. Starowinka po chwili namysłu odpowiada:

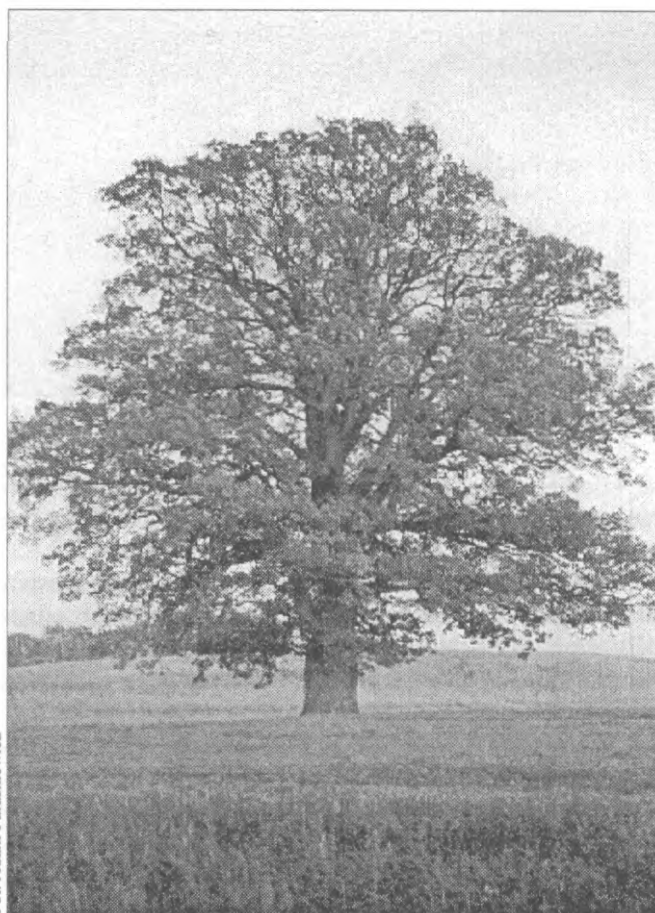
– Najwięcej to, panie, nie ma nigdzie, a jeśli już rosną, to przy drogach!

Słowo daję, autentyczne.

Stara Rzeką ma, trudno się dziwić, zagorzałych miłośników. Należy do nich mój kolega po piórze, wcześniej przyjaciel ze studenckiej ławy, Andrzej Sapkowski. Onże, popularny twórca jeszcze popularniejszego Wiedźmina. Wypoczywa często na starorzecznym „ranczo” swego znajomego. I tak oto świat fantazji łączy się tutaj z krainą fantasy. W Borach wszystko jest możliwe: jakby mało było czaroch, binków i borysiów, to im jeszcze wiedźminy w sukurs przychodzi.

W Starej Rzece za pierwszego bodaj pobytu zastał nas jesienny zmierzch. Ktoś z miejscowych podpowiedział drogę na skróty do Tlenia. Głupio podpowiedział, bądź ja coś pokreśliłem, tak czy inaczej przeżyliśmy chwilę grozy.

Najpierw duktem przez las, mroczny, tajemniczy. Duktem wspinającym się na strome wzniesienie. Osiągamy jego grzbiet i nagle dukt się urywa. Zatrzymuję auto, wysiadam. Idę na skraj wzgórza. Dukt jest, ale jakby spadał w przepaść. Zejść pewnie trudno, cóż dopiero mówić o jeździe. Wycofujemy się. Szukam innej drogi. Jest, mniej stroma. Opada łagodnie na dno parowu i się... kończy. W reflektorach auta stado zdziwionych saren. Stoją sobie, ani myślą uciekać. Nad głowami pohukiwanie, poskrzekiwanie nocnego ptactwa. Wokół poszum koron i skrzypienie pni. Księżyc pojawia się i znika za upiornymi obłokami, przetaczającymi się szybko po niebie... I jak tu Borów nie kochać?... Zawracamy do duktu, który nam się nagle urywał. Powoli, sprzęgło i hamulec, staczam dzielną fiestę po urwisku. Auto zdaje się pływać w piasku, a tu na domiar zakręt jeden, drugi... Uff, poziom się



Fot. Adam Palusiewicz

Dąb „Oś Świata”

wyrównuje i już jesteśmy na drewnianej kładce przez rzekę. Wtaczamy się w końcu na leśny dukt, który ma nas wyprowadzić do Tlenia. Wyprowadza, ale na drogę usypaną białym żwirem. Chwała Bogu, znamy już ją, to szutrówka, która prowadzi na stare lotnisko, ta więc, od której parę kroków zgubiliśmy się za pierwszego w Borach pobytu.

Rzecz jasna, to ja pokreśliłem. Utwierdza mnie w tym przekonaniu sztabowa mapa. Uzbrojeni w nią zjeżdżamy do Tlenia kolejnym razem. Mamy zresztą ze sobą nie jedną mapę, lecz kilka brytów z groźnymi napisami „tajne” lub „poufne”. Zdobyliśmy już przedtem „setki”, te zaś to „dwudziestki piątki”, gdzie centymetrowi mapy odpowiada w rzeczywistości dwieście pięćdziesiąt metrów, oznaczone są zaś na niej nie tylko drobne leśne dukty, ale i pojedyncze zabudowania czy bardziej znaczące punkty orientacyjne w terenie. Słowem, żyć, nie umierać, tym bardziej, że moja Jagoda znakomicie czyta mapę, błyskawicznie odnajduje na niej współrzędne z topograficznych słupków. Bory już nie takie straszne, odkrywają przed nami kartograficzne tajemnice, ośmielają do coraz dalszych wypraw. Bez obaw zapuszczamy się w coraz to nowe rejony, zostawiamy spokojnie samochód przy dopuszczonym do ruchu trakcie i dawaj, w las, gdzie nogi doniosą. Wiemy już teraz, że wcześniej czy później, niemniej na pewno wrócimy tam, skąd wyruszyliśmy.

Mapy – prawdziwe, nie te, co się wydaje, by zmylić Hunów – pozwalają nam na przecieranie nowych szlaków. Odkrywamy dopuszczony do ruchu turystyczny trakt: Zazdrość – Stara Rzeką – Pohulanka – Kasparus – Błędno, ciągnący



Zaskroniec

się kilometrami nad Wdą. Przejezdny wówczas bez problemów, dziś tak rozryty przez obładowane drzewem ciężarówkami, że samochodu szkoda.

Leśniczówka o frywolnej nazwie Pohulanka, której gospodarz musi mieć świętą cierpliwość wobec masowych najazdów grzybiarzy. Ściągają tu co sezon, przeżywając coraz większe rozczarowania, gdyż grzyby w tej okolicy wyraźnie zanikają.

Kasparus nad Świętą Strugą. Malownicza wioska z pięknym ceglany kościołem na tak zwanym pruskim murze. Kościół góruje nad całą okolicą. Wioska mała, a ma swoje „dzielnice”. Część przy drodze do Szłagi miejscowi nazywają Kalwaryjką, centrum zaś ze skrzyżowaniem dróg – Kozim Rynkiem. Osada, nie jedyna zresztą w Borach, zdaje się tkwić w miłym dla oka przybysza letargu, choć w przeszłości przeżywała okresy dużego ożywienia. Największe chyba przypada na okres międzywojenny, kiedy to Kasparus skupiał drwali zatrudnionych do trzebień lasu zarażonego przez sówkę chojnowkę. Plaga ta przyniosła straszne zniszczenia właśnie w rejonie Kasparusa, Błędna i Suchobrzeźnicy, a także wsi Wda i Ocypel. W ostatnich latach pojawiło się podobne zagrożenie w postaci brudnicy mniszki, znamy ją wszyscy aż nadto dobrze, są rejonu lasu, gdzie podnoszą się pod nogami wielkie roje tych owadów, przypominających wyglądem małe ćmy lub duże mole.

Kasparus to również piękna karta z odleglejszej przeszłości. Słynny strajk szkolny w roku 1907. Kierownik tutejszej szkoły Schrotter i nauczyciel Bressler znęcali się nad uczniami, grozili im bronią palną, co doprowadziło do bijatyki między nimi, wspomaganymi przez nadleśniczego i żandarmerię, a rodzicami dzieci. Przeciwno czterdziestu sześciu rodzicom władze zaborcze prowadziły śledztwo, które dla ponad połowy zakończyło się karami więzienia i grzywnien tak wysokich, że rujnujących całe rodziny na parę pokoleń.

Jeden z przywódców strajku, Jakub Andrearczyk, leży na cmentarzu w Szlachcie. Na cmentarzu kasparuskim odnaleźć można grób innego Andrearczyka, Józefa, partyzanta z tutejszego „Gryfa Pomorskiego”. Poznałem niedawno jeszcze jednego Andrearczyka, Zygmunta, geodetę ze Śliwic. Nie omieszkam go zapytać przy następnym spotkaniu, czy aby nie jest spokrewniony z Jakubem i Józefem...

27 października 1944 roku pod pobliskim Błędem rozegrała się największa w Borach Tucholskich partyzancka bitwa. 700 żandarmerii, żołnierzy Wehrmachtu i Jagdkomman-

da urządziło obławę na nieporównanie mniejszą grupę partyzantów Armii Krajowej, „Gryfa Pomorskiego” i spadochroniarzy LWP. Po zacieklej walce, mimo znacznych strat własnych, polskim partyzantom udało się wyrwać z okrążenia.

Krwawe dzieje tej pięknej ziemi.

Już od zarania. Krzyżacy, Szwedzi, Prusacy. Pod zaborem od 1772 roku do roku 1920, gdy rejony te wyzwalała „błękitna armia” gen. Józefa Hallera. Wielowiekowe zmagania z wrogiem, powstania i bunty, walka o polskość. I chwila wytchnienia w międzywojniu. Okrutny hitlerowski odwet za przywiązanie do polskości i sowiecka zemsta za uległość wobec niemieckiego okupanta. Stąd szły transporty na miejsca straceń i do obozów koncentracyjnych, stąd też wywożono eszelonami na Syberię.

Tragiczna przeszłość.

Bory Tucholskie – jedno z największych skupisk polskiej partyzantki (niemal w całości podporządkowanej rządowi londyńskiemu), której akcje zbrojne zostały krwawo stłumione ostatecznie dopiero... w 1948 roku. I Bory Tucholskie, gdzie masowe żniwo przyniosła instrukcja gauleitera Fostera o przymusowym wpisywaniu autochtonów na volkslistę. Kiedy dziś się czyta, że ponad dziewięćdziesiąt procent mieszkańców takiego Czerska podpisało volkslistę, kiedy się uprzytomni, że pozostali zginęli lub znaleźli ocalenie w lesie, człowieka zgroza zbiera.

Biedni Borowiacy...

Porzućmy jednak smutne myśli, wszak wciąż jesteśmy w Błędnie, a więc o krok od raj. Niespełna dwa kilometry na północ od wsi mieści się uroczysko oficjalnie zwane Krzymym Kolem, od lat jednak nazywane tutaj Paradyżem, czyli rajem. Tutaj właśnie Czarna Woda, że posłużę się młodzieżowym slangiem, wycina nieprawdopodobny numer. Tworzy mianowicie dwie pętli, rozdzielone parometrowym ledwie przesmykiem ładu. A w pętlach – wyspa o promieniu dwustu metrów.

Ot, proszę, ile można zawdzięczać mapom.

Mapa odpowiedziała nam kolejną trasę: Osie – Leśny Dwór – Brzęki – Dębowiec – Stara Rzeką. Ta również dopuszczona dla ruchu turystycznego, lecz jak większość tutejszych tras turystycznych tak kiepsko znakowana, że bez prawdziwej mapy lepiej się na nią nie zapuszczać.

Leśniczówka Orli Dwór. W jej pobliżu rozciąga się długie na dziesięć kilometrów rynnowe jezioro Miedzno, rezerwat ptactwa błotnego i wodnego. Widzieliśmy tu, jak w piosence, orla cień. Nie wiadomo, czy był to rybołów czy bielik, w rezerwacie występują oba gatunki. Machały nad nami skrzydłami żurawie i czarne bociany, do brzegu podpływały łabędzie i cyranki... Nad podziw śmiałe, nie płochliwe, gdyż zazwyczaj cisza tu, pustka kompletna, cudne odludzie. Na szczęście, Hunowie rzadko tu docierają, chyba że zbłądzą, grzybów na lekarstwo, a na „takie tam różne” to wygodniej w zoologu albo w telewizorze popatrzeć.

Pod Orlim Dworem oniemieliśmy pewnego dnia z zachwytem. Wiodąca do niego droga przeciera się w jednym miejscu przez wysokie pagórki, tworząc coś na kształt małego wąwozu ze zboczami w dorodnych paprociach. I właśnie tamtego dnia ujrzeliśmy, jak paprocie płoną.

Tutaj i tylko tutaj, w Borach, ujawnia się w całej okazałości talent najgenialniejszej malarki świata – złotej polskiej

jesieni. Cóż ona potrafi nawyczyniać w następnym na tej trasie rezerwacie, jeszcze do niedawna – Szczerkowskim, przemianowanym ostatnio na Brzęki. Mroczne uroczysko pod gęstym dachem liściastych koron. Płaska podłoga wyłożona dywanem z butwiejącego listowia. A w górze – cała paleta barw. Buki i dęby, trochę jodeł, nade wszystko zaś chluba rezerwatu – skandynawska brekinia jarzab, egzotyczna krewniaczka naszej pospolitej jarzębiny.

Skąd nowa nazwa rezerwatu? Kiedyś pewnie przewodnik podadza, że brekinia, to inaczej – brzek.

Na naszej mapie nie ma jeszcze Brzęków. Sztabówka jest po prostu stara, dlatego pewnie została odtajniona. Po raz pierwszy zresztą na przestrzeni ostatniego półwiecza „tajne łamane przez poufne” trafiło do rąk przeciętnego obywatela. Radość z tej „zdobyczy demokracji” nie trwała jednak długo. Rychło jakaś Ważna Zupacka Mentalność powróciła do przekonania, że lepiej będzie, gdy obywatel pozostanie ciemny jak tabaka w rogu... Idziemy kolejnego roku z mapą w las, a tu nagle numery na niej przestają się pokrywać z numeracją topograficznych słupków. Zostały przemalowane na nowe. Na rozkaz WZM latają po lesie ludzie z kubelkami, by odebrać obywatelowi to, co mu się jak psu zupa należy. I nieważne, że szpiegowski satelita jest w stanie policzyć nawet włosy na głowie WZM, ważne, by obywatel na powrót znał mores. Szczęściem, udało nam się Ważną Zupacką Mentalność przechytrzyć: zanim zdążyła anulować nasze mapy, zdążyliśmy je maksymalnie spożytkować. Teraz WZM chyba już wie, co może ze swoimi przemalowanymi słupkami zrobić? Może je sobie...hm...

Niejedynie to rozczarowanie, które musieliśmy w Borach przeżyć. Było ich więcej, a to totalne zakazy wstępu do la-

su podczas suszy, to znów skażenie wielkich połaci owadobójczymi opryskami. Długo też nie mogliśmy przyjąć do wiadomości okrutnej prawdy, że jesteśmy w wielkim błędzie, wierząc za większością Hunów, że gdzie jak gdzie, ale w Borach grzyby zawsze się pojawiają. Otóż, nie zawsze. A jeśli już, to coraz mniej. I dobrze by było, żeby wszystkie Huny o tym wiedziały, przestałyby może wreszcie latać po lesie z obłędem w oczach. Nie ma, to nie ma, fora ze dwora! Śladowe ilości niech zostaną dla leśnych ludzi.

(Wiem, przemawia przeze mnie egoizm, powiadają jednak, że człowiek, który nie potrafi samego siebie miłować, nie jest zdolny pokochać nikogo. Poza tym, moje to Bory, muszę o nie dbać!).

Kolejna nasza trasa: Osie – Borsukowo – Lipinki – Jaszczerek...

Stop. Dość tego dobrego.

Mógłbym tak przecieć: *da capo al capogire*... Od początku do końca, aż do zawrotu głowy. Człowiek na głodzie tak ma. Za oknem przecieć, spomiędzy betonu i asfaltu, nieśmiało wygląda już wiosna. Głód narasta. Kiedy tylko czas (i kasa, noclegi coraz droższe) pozwoli, uciekniemy znów w Bory. Tam, gdzie nam najlepiej. Tam, gdzie dojrzewa śmiałe marzenie. Jeszcze moment i przeobrazi się w zamiar. Narkoman potrafi śnić na jawie. Ziści się więc może nasza prywatna bajka o własnym domku w Borach Tucholskich. Jest już nawet takie wymarzone miejsce – w otulinie Jeziora Okonińskiego...

Rodziewiczówna przecieć powiada:

„W baśni tkwi cała mądrość pierwobytu, i trzeba baśń w życie wprowadzić... Kto baśń zrozumie i żyć wedle niej będzie, ten posiadał kwiat paproci”.



Fot. B. Urbanowski

Bory

Ks. Franciszek Kamecki

Borowiackie językowanie

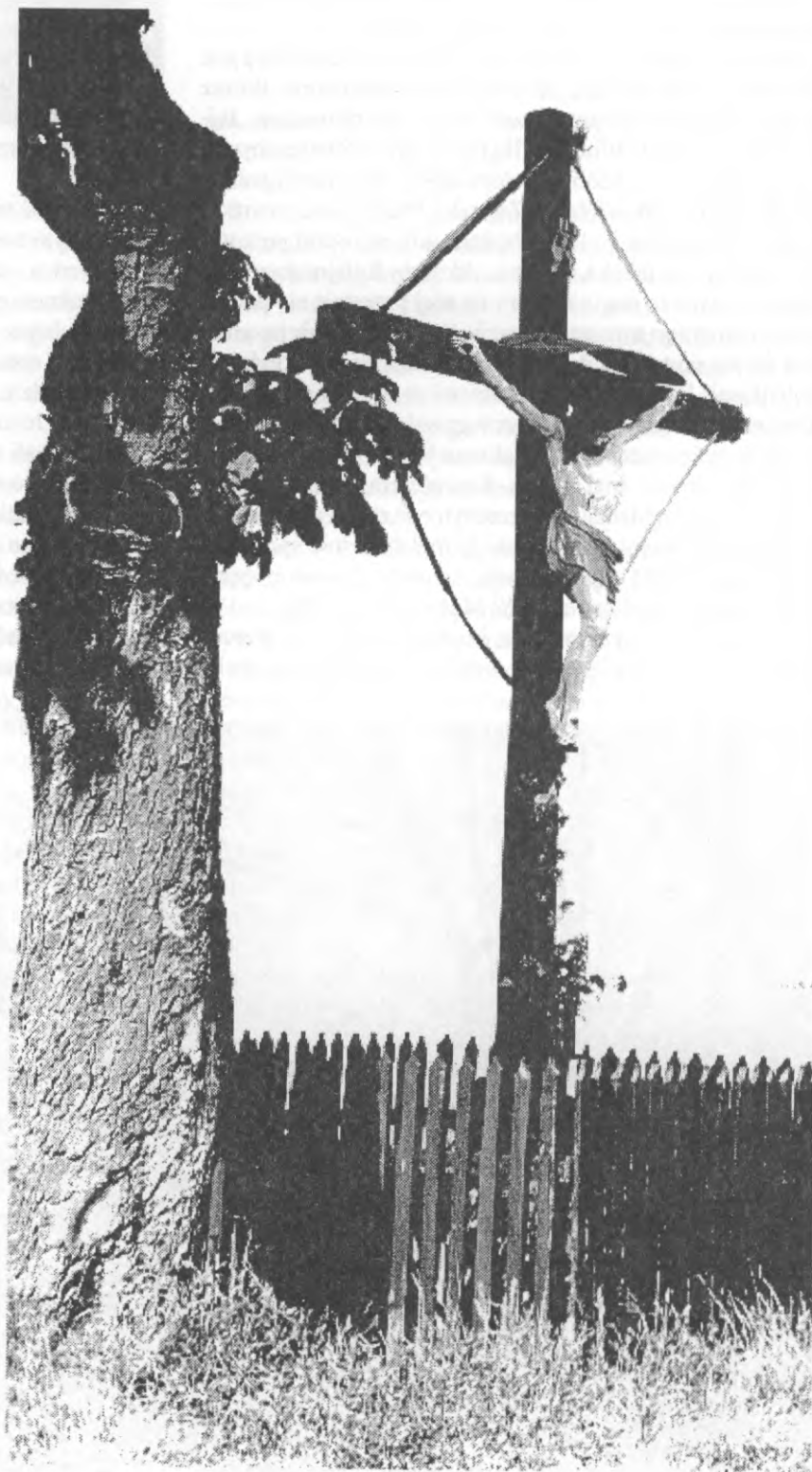
Listopadowe kazanie

Wasze sznary zamknieta wnet
kulatą zabiją wieko
dostanieta em jeden
a stara ze starym em dwa
bo jak razem ti i po śmierci
bokiem jeden przy drugim

Kopidolkowi nie zardzewieje szypa
oj wrzuca was do kuli
potem Pan Bóg nawet wasz parch zedrze
żebyśta jeno waszej zawziętości
nie ukryli gdzie pod skórą
lepiej durch tera wybacza jta sobie
brat bratu baba babie
gzub gzubowi
i sąsiad niech nie marszczy
swojej wojny pod ognistymi oczami

Rozmowy

Babcia wciskała nam banialuki
o bocianie i dzieciach
o sierotce Marysi o smoku
który za jeziorem zieje ogniem
o kurduplach którzy Boga się nie boją
o wiedźmie na miotle z dużymi kłakami
o strychołku którym ostrzy się
kosę przed każdą śmiercią
bo śmierć jest biała i w długim płaszczu
ukrywa końce i nitki wszystkich ludzi
wystarczy uciąć i lecimy w cztery strony świata



Fot. Dariusz Piasek

Malować dobrze można wszędzie

Niedziela

W niedzielę zawsze do kościoła
a potem kuchni musiały być
i kartofle sos mięso i puding
i wuj Janek i ciotka Marynka
Anusa wuj Pauś
głupia Lesiczka i ten za wsią Osrany
i Śmieszek bo śmiesz
i niedobra Pucza i święty Nigdy
i Bonifacy pies i kot Salomon
i moje kurki kolorowe na podwórku
i garłacze na dachu
i samolot na kiju ponad pompą
i dwa sroczki za rogami domu
zwykły i dla gości
i wszystkie nasze codzienne sprawy
chłopy grali w skata baby chichały
jak w krótkich portkach
podbijałem kluczę
i mierzyłem krokami odległość
i wtedy jeszcze nie wiedziałem
ile kilometrów jest na koniec świata

Wspomnienie

Szkoda że rozwerków nie ma
dreszmaszyna zardzewiała
klonika wisi w barze na ścianie
w zajezdni piąte koło od woza
i kosa i kopalka jak muzeum
szymłów nie ma
nie ma postronków ani kip
ani żadnej drewnianej skrzyni
z rzeźbionymi łabędziami
ani żadnej rzeczy która jego jest



Zenon Korytowski

Tuchola, chociaż jest czternastotysięcznym miasteczkiem, może pochwalić się sporą liczbą artystów. Najbardziej znany i ceniony jest Zenon Korytowski. Artysta ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, a od 1962 roku mieszka i tworzy w Tucholi. Przez te wszystkie lata był również nauczycielem wychowania plastycznego. Miał wiele wystaw w Polsce i za granicą, najwięcej w Niemczech, ale również we Francji.

Zapytany, czy nie brakuje mu życia kulturalnego dużych ośrodków, odpowiada: – *Malować dobrze można wszę-*

dzie. Duże środowisko daje możliwość kontaktu z wielką sztuką, a w środowisku małego miasteczka jest się od niej oddalonym. Nie znaczy to jednak, że nie można tak ułożyć sobie życia, by znaleźć czas na malowanie. Może moja pasja malowania przyczyniła się do tego, że wielu ludzi w Tucholi zaczęło malować. Kiedy w 1962 roku tu przyjechałem, nikt nie malował. Wiem, jak trudno jest artyście żyć w małym miasteczku. Trzeba wielkich wyrzeczeń, by wyjść poza środowisko, poza granice małego miasta.

I chyba rozumienie tej bariery było przyczyną, że zaczął pomagać młodszemu kolegom – plastynom. Pierwszą, zorganizowaną grupą plastyczną był założony w 1983 roku Klub Nauczycieli Malujących. Patronat Borowiackiego Towarzystwa Kulturalnego i pomoc finansowa ZNP pozwoliły na coroczną organizację plenerów malarских. Przyjeżdżali na niego malujący nauczyciele z innych miast, zdarzali się goście z zagranicy. Plenery odbywały się najczęściej w Białej koło Tucholi, ale również w Jaszowcu i Jastarni. Ostatni odbył się w 1988 roku.

W tym czasie zorganizował również wiele wystaw prac przedstawiających piękno Borów Tucholskich, wykonanych przez artystów profesjonalnych. Dzięki temu udało się w Tucholi stworzyć dosyć pokaźny zbiór sztuki, składający się z 40 obrazów. Niestety, nie mają one stałego miejsca wystaw, lecz są zdeponowane w Tucholskim Domu Kultury. Zenon Korytowski ubolewa, że brakuje miejskiej galerii, w której mogłyby znaleźć swoje miejsce zbiory miasta, ale także różne wystawy czasowe.

W 1992 r. utworzył kolejną grupę plastyczną – Grupę Twórczą 92. Oprócz nauczycieli, byli w niej również profesjonaliści. Niektórzy z członków mieli swoje indywidualne wystawy m.in. w Tucholi, Grudziądzu, Chojnicach, Szubinie, Nakle. Nawiązywali też bliską współpracę z partnerskim miastem Tucholi, Olching w Niemczech. Ku zadowoleniu artystów niemieckich i polskich, zorganizowano pięć wspólnych plenerów, każdy zakończony wystawą. Przez 10 lat corocznie krzątał się wokół plenerów studentów UMK w Toruniu. W 1995 roku odbyła się w Tucholi wystawa prac profesorów, którzy prowadzili te plenery: Borysewskiego, Ziomek, Wolskiego. Ostatnio utworzył Grupę Nova 97, którą tworzą artyści profesjonalni mieszkający w Tucholi lub związani z miastem. Pierwszą ich wystawę zorganizował Tucholski Park Krajozrazowy i Borowiackie Towarzystwo Kultury. 6 lutego br. swoje prace pokazało ośmiu artystów: Klaudiusz Abramski, Grażyna Litwionek-Martul, Leszek Służewski, Agata Urbańska, Liłina Wałęza, Justyna Więckiewicz i Halina Witkowska.

Hanna Szulwic

„Tygodnik Tucholski”

Do stworzenia lokalnego tygodnika, obejmującego zasięgiem obszar byłego powiatu tucholskiego, nie trzeba było nas namawiać.

Od dawna odczuwaliśmy dotkliwy brak pisma informującego i podejmującego lokalne problemy, pisma, w którym każdy może znaleźć coś interesującego dla siebie.

Zanim wydaliśmy pierwszy numer, spotkaliśmy się parę razy, by omówić charakter czasopisma, podzielić się pracą, ustalić najrozsądniejsze szczegóły, a przede wszystkim wymyślić tytuł.

Pomysłodawcą całego przedsięwzięcia był Mariusz Gawlik, który skupił wokół siebie ludzi – zapaleńców.

Pierwszy numer „Tygodnika Tucholskiego”, o nakładzie 4000 egzemplarzy, ukazał się 7 lutego 1992 roku i był bezpłatny. Niektórzy wrócili nam krótki żywot; redagowanie tygodnika bez ludzi na etatach, pracujących gratis, wydawało się niemożliwe. Ukazał się powyżej 6 numerów – mówili. Udowodniliśmy, że można inaczej. Jakiś niewytłumaczalny entuzjazm był naszą mocą napędową. Posypały się teksty, przybywało ludzi chętnych do współpracy. Zresztą od początku nasze łamy były otwarte dla każdego. Nie zamierzaliśmy redagować pisma politycznego ani ideologicznego, co nie znaczy, że miało być ono apolityczne czy bezideowe. „Tygodnik” miał zawierać dużo lokalnych informacji, lecz nie tylko. Tęskniliśmy za normalnością. Chcieliśmy stworzyć taki tygodnik, ja-

ki sami chcielibyśmy czytać. I chyba nam się udało, skoro w ciągu 6 lat wydaliśmy już 319 numerów.

Początki, jak wszędzie, były trudne. Do wszystkiego dochodziliśmy małymi kroczkami. Nie mieliśmy swojego lokalu. Raz w tygodniu spotykaliśmy się w wynajętej salce w Urzędzie Miasta i Gminy. Tam też pełniliśmy dyżury redakcyjne. Teksty pisaliśmy w swoich domach. Na kolegiach redakcyjnych czytaliśmy te nasze teksty i decydowaliśmy o ich publikacji. Zespół redakcyjny tworzyło kilkanaście osób. Nikt z nas nie był dziennikarzem z wykształcenia. Podpatrywaliśmy jednak pracę dziennikarzy profesjonalnych i uczyliśmy się na własnych błędach. Braliśmy też udział w warsztatach dziennikarskich i pilnie studiowaliśmy prawo prasowe.

Większość informacji pozyskujemy sami. Na bieżąco śledzimy poczynania władz samorządowych, pracę urzędów i zakładów pracy. Często o różnych sprawach informują nas czytelnicy, a organizatorzy imprez sami zabiegają o to, aby w „Tygodniku” ukazała się informacja o ich działalności.

Zawsze niezależny

„Tygodnik Tucholski” jest pismem samofinansującym się. Środki na jego utrzymanie były i są uzyskiwane z dwóch źródeł: ze sprzedaży oraz reklam i ogłoszeń. Niezależność ekonomiczną założyliśmy już w momencie je-

Gazeta Lokalna Borów Tucholskich

Tygodnik
Tucholski

nr 15 (319) 16 kwietnia 1998 roku

Ciekryn Czerak Gostyeyn Kęsowo Lubiewo Śliwice Tuchola

cena 1,50 zł

9 771234 631001

PROGRAM

tv

Dodatkowe studzienki



Skończą przed latem

W marcu bieżącego roku skończono prace przy budowie...

...

go powstania. Nie korzystało ono nigdy z jakichkolwiek dotacji władz lokalnych lub podmiotów gospodarczych.

Od samego początku „Tygodnik” miał też własny system kolportażu – przede wszystkim osoby redagujące rozwoziły go do punktów sprzedaży prywatnymi samochodami (obecnie jest 130 punktów).

Pismo było i jest własnością prywatną – najpierw Mariusza Gawlika, potem spółki MARGRAF. Skład redakcji zmieniał się dość często. Jednak kilka osób pracuje od samego początku.

Po roku działalności właściciela było już stać na wynajęcie małego lokalu – siedziby redakcji i biura ogłoszeń. Pojawił się też redakcyjny telefon, komputer, pierwsi pracownicy etatowi, dostaliśmy dyktafony – zaczynało być normalnie. Wkrótce przenieśliśmy się do większego lokalu, ale i ten okazał się za mały. Obecnie mamy 3 pokoje i 4-osobowe kolegium redakcyjne: Jadwiga Ginter, Izabela Gmala (sekretarz redakcji), Adam Paluśkiewicz i Hanna Szulwic (redaktor naczelny). Ponadto z „Tygodnikiem” współpracuje kilkanaście osób.

Najważniejszym dniem w redakcji jest wtorek, kiedy zamykamy numer. Pracujemy do późnych godzin nocnych. Tak się szczęśliwie składa, że artykułów mamy zawsze więcej, niż może się zmieścić w jednym numerze. Toteż z czasopisma 8-stronicowego na początku, staliśmy się niebawem 10-, później 12-, 14-stronicową gazetą, aż doszliśmy do 16 stron.

Gazeta lokalna Borów Tucholskich

Ważnym momentem dla naszej gazety, która zawsze chciała być gazetą lokalną Borów Tucholskich, było objęcie swoim zasięgiem gminy Czersk. Docieramy więc dziś do gmin: Cerkyn, Gostycyn, Kęsowo, Lubiewo, Tuchola, Śliwice i gminy Czersk.

Nakład pisma zmieniał się co jakiś czas, na co niewątpliwie wpływ miała przede wszystkim liczba zwrotów. Dziś utrzymuje się w przedziale 4500-4600 egzemplarzy. Zwrotów jest niewiele i nie przekraczają granicy normy.

Staraliśmy się też utrzymać cenę „Tygodnika” na umiarkowanym, a treść na najwyższym poziomie.

Hanna Bronke

WDECKI PARK KRAJOBRAZOWY

Ludwik I. Lipnicki



Fot. Dariusz Piasek

Park Krajobrazowy to obszar wybitnie wyróżniający się spośród innych pięknem krajobrazu. A krajobraz ten tworzy przede wszystkim rzeźba terenu. We Wdeckim Parku Krajobrazowym, w jednym z najpiękniejszych fragmentów Borów Tucholskich, tworzą ją Wda, wijąca się niezwykle malowniczo w swojej dolinie, by potem rozlać się szeroko w Zalew Żur-ski, sfalowany obszar sandrowy porośnięty lasem, śródleśne niecki wypełnione wodami jezior, malownicza wieś Stara Rzeka... Krajobraz to także żywa przyroda: lasy z piennymi sosnami, brzoza-mi i jałowcami, wiosennie rozświegotane

wszelakim ptactwem, mniejsze i większe zwierzęta, przybrzeżne szuwały – miejsca lęgowe i sypialnie ptactwa wodnego, uginające się pod nogami zdradliwe trzęsawiska wabiące żurawiami i rosiczkami na kobiercach torfowców... Przyroda to także cała lista niezwykle cennych dla nauki gatunków żywych organizmów, gdzie indziej już dawno wymarłych lub rzadkich, a tu żyjących bezpiecznie. To wszystko i jeszcze wiele innych ukrytych skarbów przyrody było podstawą utworzenia naszego parku – Wdeckiego Parku Krajobrazowego.

Park krajobrazowy to także ludzie. Rodzima ludność należy do dwóch grup



Zalew Wdy koło Tlenia

etnicznych: na zachód od Wdy – Borowiacy Tucholscy (Borusy), na wschód – Kociewiacy.

To również zabytki kultury materialnej. A te zachowały się tu stosunkowo licznie. Są to przede wszystkim chałupy borowiackie i kociewskie o konstrukcji sumikowo-łatkowej lub zrębowej. Chaty są podcieniowe, dwudzielne i kolonijne, usytuowane szczytem lub kalenicą do dróg. Przy drogach spotyka się kapliczki, krzyże i figury nasłupowe. Zabytkowe chałupy można spotkać m.in. w Drzycimiu, Łążku, Osiu, Miedźnie, Brzezinach i Laskach. Interesujące są również całe zespoły wiejskie (Osie, Brzeziny, Laski, Miedzno), zespoły folwarczne (Wery, Gródek, Brzemiona), cmentarze i inne obiekty.

Osią Wdeckiego Parku Krajobrazowego jest Wda, inaczej Czarna Woda. Meandrując między wysokimi brzegami, porośniętymi sędziwymi drzewami, to znów leniwie płynąc doliną wśród łąk i następnie rozlewając się w Zalew Żurski o przebogatej linii brzegowej – swoją czystością, malowniczością i pięknem urzeka. Bogata jest również przyroda ożywiona rzeki i jej otoczenia.

Prawie 60 proc. powierzchni Wdeckiego Parku Krajobrazowego zajmują

lasy. Są to w zdecydowanej większości zbiorowiska borowe, głównie subkontynentalny bór świeży. Niewielką domieszkę do dominującej sosny stanowi brzoza brodawkowata. W niektórych miejscach fragmentarycznie rozwija się warstwa podszytu z jałowcem, kruszyną i jarzębiną. Z reguły bardzo dobrze rozwinięta jest warstwa runa, którą tworzą m.in.: borówka czarna, borówka brusznica, wrzos oraz gruszyczki, konwalia majowa, kokoryczka lekarska, widłak jałowcowaty i spleśzczony. Bogata jest także warstwa mszysta. Bór bagienny wykształca się dość często w otoczeniu mszarnych torfowisk na obrzeżach zarastających jezior. Warstwę drzew tworzy sosna z domieszką brzozy omszonej, w podszycie występuje kruszyna, a w runie bagno zwyczajne, welnianka pochwowata oraz widłak jałowcowaty. Powszechnie występują mchy torfowe. Bór chrobotkowy zajmuje stosunkowo niewielkie powierzchnie. Charakterystyczną jego cechą jest dominacja w runie porostów – chrobotków, przy stosunkowo mniejszym udziale roślin zielnych.

Lasy liściaste wykształcają się przede wszystkim w dolinach rzek oraz na zboczach i wyniesieniach skarp nadwo-

dnych. Niektóre ich fragmenty – np. na stromych zboczach nad Wdą z licznymi pomnikowymi okazami dębów, lip i innych gatunków drzew, z trudnymi do przebrnięcia powalonymi pniami, z bogactwem gatunków roślin i zwierząt – swoim wyglądem i nastrojem przypominają stare ostępy puszczańskie. Są wśród nich, kiedyś rozpowszechnione, a dziś występujące już tylko na niewielkich powierzchniach, grądy: subkontynentalny i zboczowy. Bogaty gatunkowo drzewostan tworzą dęby szypułkowe, graby, lipy drobnolistne, klony zwyczajne, jawory, osiki, wiązły górskie i brekinie. W podszycie, oprócz podrostu drzew, rosną: leszczyna, trzmielina brodawkowata i zwyczajna, suchodrzew, dereń świdwa. W bogatym runie występuje m.in. lilia złotogłów, wawrzynek wilczełyko, podkolan biały, listera jajowata i inne chronione gatunki roślin.

W obniżeniach przy strumieniach i rzekach, np. nad Ryszką, Sobińską Strugą i Wdą, wykształcają się lasy łąkowe: łąg jesionowo-olszowy z dominującą olchą czarną oraz bogatym w gatunki innych roślin podszytem i runem. Na terenach jeszcze bardziej podmokłych, głównie na zarastających obni-



Rezerwat Dury

zeniach śródleśnych oraz w sąsiedztwie pasa trzcin i oczeretów nad innymi zbiornikami wodnymi rozwijają się olchy o charakterystycznej kępkowo-dolinkowej budowie. W drzewostanie panuje olcha czarna, a domieszkę czasami stanowi brzoza omszona.

Dąbrowy zachowały się na niewielkich powierzchniach. Ich podstawowym gatunkiem jest dąb bezszypułkowy. W świetlistej dąbrowie domieszkę stanowi dąb szypułkowy, a w kwaśnej buk.

Spśród całej gamy zbiorowisk nieleśnych najwięcej osobliwości przyrodniczych kryją torfowiska; niektóre z nich, np. Dury, objęte są ochroną rezerwatową.

Wśród wielu interesujących gatunków Wdeckiego Parku Krajobrazowego pozostałości szaty roślinnej schyłku okresu lodowcowego są rozpowszechnione szeroko na terenie całych Borów Tucholskich: borówka bagienna, bagno zwyczajne i mącznica lekarska oraz relikty (przeżytki) polodowcowe, m.in.: trzcinnik prosty, żurawina drobnolistna, fiołek torfowy oraz kilka gatunków mszaków. Gatunki atlantyckie reprezentuje kłoc wiechowata, przygielka brunatna, szczotlicha si-

wa, chroszcz nagołodygowy i wąkrota zwyczajna; kontynentalne gatunki leśno-stepowe – pluskwica europejska; przyśródziemnomorskie – jarzab brekinia, którego największe skupienie znajduje się w rezerwacie Brzęki.

Wiele spośród wymienionych roślin jest objętych ochroną prawną, np. cis pospolity (największe na Niżu Środkowoeuropejskim skupienie starych drzew znajduje się w rezerwacie Cisy Staropolskie w otulinie Wdeckiego Parku Krajobrazowego), rosiczki (wszystkie krajowe gatunki), storczykowate, widłaki.

Interesującą grupę organizmów stanowią porosty – organizmy o bardzo wysokiej wrażliwości i szybkiej reakcji na niekorzystne warunki środowiska. Wśród ich ponad 200 dotychczas stwierdzonych gatunków znajdują się taksony nie notowane na innych stanowiskach w Borach Tucholskich lub nawet na całym Pomorzu.

Zróżnicowanie siedlisk, bogactwo i zmienność zbiorowisk roślinnych stosunkowo liczne sieci cieków wodnych oraz jeziora sprzyjają wielu gatunkom zwierząt. Nieco podgrzana woda w sztucznych zbiornikach (zrzuty z elektrowni) nie zamarza bądź spowolnia

zamarzanie nawet podczas silnych mrozów, sprzyja zimowaniu wielu gatunków ptaków. Dotychczas doliczono się 13 gatunków płazów, w tym m.in. chronione: salamandra plamista, traszka grzebieniasta, grzebiuszka ziemna; 5 gatunków gadów (wszystkie chronione); 149 gatunków ptaków, m.in. kszczyk, brodziec, krwawodzioba, pliszka żółta, błotniak stawowy, bąk (zdecydowana większość objęta ochroną prawną); 42 gatunki ssaków (w tym chronione) m.in. bobry, a także jenoty. Z ryb obok wielu pospolitych gatunków w czystych wodach Wdy żyje pstrąg potokowy i lipień.

Tereny obecnego Wdeckiego Parku Krajobrazowego i jego otuliny, dzięki swoim wybitnym wartościom, wpisały się w historię ochrony rezerwatowej w Polsce. Już w 1827 roku objęto ochroną uroczysko z cisami w Wierchlesie. Jest to najstarszy chroniony obiekt na terenie Polski, a w 1895 roku Conventz postulował objęcie ochroną skupiska jarzębu brekini koło Szczerkowa.

Dotychczas w granicach Wdeckiego Parku Krajobrazowego utworzono 4 rezerваты: Brzęki im. Zygmunta Czubińskiego, Dury, Jezioro Miedzno i Jezioro Ciche.

Brzęki w Szczerkowie o pow. 102,21 ha to największe w Polsce skupisko jarzębu brekini (brzęku). Jest to swoista wyspa lasu liściastego wśród zespołów borowych, w którym obok około 300-letnich brząków rosną około 250-letnie dęby szypułkowe, wiekowe lipy drobnolistne, klony, jawory, wiązy i inne drzewa. Podszyt i runo jest bardzo bogate i typowe dla lasu grądowego. Na korze starych drzew liściastych żyją interesujące gatunki porostów – relikty puszczańskich.

Dury o pow. 12,59 ha to cztery dystroficzne jeziora wraz z otaczającymi je torfowiskami. Jest to jedno z nielicznych stanowisk wszystkich trzech krajowych rosiczek: okrągłolistnej, długolistnej i pośredniej. Osobliwościami florystycznymi są również: żurawina drobnolistna, bagnica torfowa, grzybienie północne i narecznica grzebieniasta. Wielką atrakcją są zbiorowiska mszarne, w tym bardzo rzadki w kraju mszar przygielkowy z przygielką białą.

Jezioro Miedzno. Na jego obszarze 86,1 ha, znajduje się jezioro Miedzno wraz z otaczającymi je bagnami i lasem. Rezerwat został utworzony w celu ochrony bogatych stanowisk, zarówno pod względem składu gatunkowego jak i liczebności poszczególnych populacji, ptactwa wodnego i błotnego, m.in.: żurawi, łabędzi, bocianów czarnych oraz rzadkich gatunków ptaków drapieżnych.

Jezioro Ciche o pow. 37,96 ha obejmuje same jezioro oraz jego otoczenie. Tutaj chroniona jest roślinność wodna, bagienna oraz fragment łąki subkontynentalnego. Na szczególną uwagę zasługują: zespół lilii wodnych pokrywający niemal całą powierzchnię lustra wody, coraz rzadziej spotykane turzycowisko z turzycą sztywną oraz wykształcający się wokół niewielkiego dystroficznego jeziora zespół mszaru kępkowego z torfowcem magellańskim. Niezwykle cenne są też wawrzynek wilczełyko, listera jajowata oraz wymierające – bagnica torfowa, turzycza bagienna i in.

Projektuje się utworzenie dalszych rezerwatów: Jezioro Piaseczno, Dolina Ryszki, Dolina Wdy.

Wiele fragmentów otuliny lub stosunkowo bliskiego sąsiedztwa parku zostało objętych ochroną m.in. rezerwat: Ci-

sy Staropolskie im. Leona Wyczółkowskiego i Jelenia Góra oraz Krzywe Koło, Zdrojno i Czapli Wierch.

Głównym zbiornikiem wodnym na terenie parku jest utworzony w wyniku spiętrzenia wód Wdy Zalew Żurski, zwany też Jeziorem Żurskim. Otoczony w dużej części stromo wznoszącymi się brzegami porośniętymi lasami liściastymi, ciągnie się na długości prawie 11 km, a powierzchnia lustra wody wynosi około 440 ha. Drugi co do wielkości, o pow. 92 ha, jest – również sztuczny – Zbiornik Gródek. Spośród jezior naturalnych najbardziej interesujące to: Piaseczno, Miedzno, Ciche, Duży i Mały Trzebusz oraz liczne jeziora dystroficzne, np. Dury.

Walory Wdeckiego Parku Krajobrazowego można poznać wędrując ścieżkami dydaktycznymi oraz trasami wycieczkowymi. Oto niektóre z nich: Trasa Radańska (Osie – Radańska – Osie): cała gama zbiorowisk roślinnych (głównie leśnych łąkowych, torfowiskowych i bagiennych) oraz typowe dla nich gatunki roślin.

Jezioro Mukrz (Tleń – Lniano – jez. Mukrz – Tleń): roślinność pól uprawnych, muraw piaszkowych, zbiorowisk szuwarowych, bagiennych i borowych, w tym także na siedliskach grądowych, ptactwo wodne.

Jezioro Starnie (Osie – jez. Starnie – Zalew Żurski – „Promenada Hoffmana” – Osie): biologiczna oczyszczalnia ścieków, zbiorowiska lasów liściastych (łęgi, grądy), bory, zbiorowiska łąkowe, pomnikowe drzewa, chronione gatunki roślin i zwierząt.

Jezioro Żurskie (Tleń – Zalew Żurski – Osie): rośliny prawnie chronione, zbiorowiska roślinne, pomniki przyrody.

Dolina rzeki Wdy (Tleń – stara Rzekka – Tleń): zbiorowiska leśne (grądy i in.) zbiorowiska szuwarowe, rzadkie i chronione gatunki roślin.

Rezerваты przyrody (Osie – Dury – Brzęki – Krzywe Koło – Błędno – Stara Rzekka): obiekty chronione.

Przebieg i sposób wykorzystania ścieżek dydaktycznych oraz tras wycieczkowych wraz z bogatym zestawem szczegółowych informacji przyrodniczych znajduje się w książce M. Biońskiego i L. i M. Gawronów „Osobliwości przyrody Wdeckiego Parku Krajobrazowego (Przewodnik)”. ■



Stolemowcy: Jan Łukaszewski, dyrektor Schola Cantorum Gedanensis...



... Brunon Cirocki...



... ks. Władysław Szulist

STOLEMY W SALI BIAŁEJ

Podniosła pieśnią „Zemia rodnô” Jana Trepczyka rozpoczęła się 22 kwietnia uroczystość wręczenia Medali Stolema w Sali Białej Ratusza Głównomiejskiego w Gdańsku. Na uroczystość przybyło wielu gości, w tym laureci z lat poprzednich. Jak podkreślono podczas otwarcia imprezy, Stolemy przyznawane przez Klub Studencki „Pomorania” od 1967 roku, są najstarszym medalem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Stolemowa wspólnota liczy już ponad sto osób.

Medalami za 1997 rok zostali uhonorowani: ks. Władysław Szulist z Lipusza, badacz Polonii kaszubskiej, Brunon Cirocki z Chmielna, działacz kaszubski, współtwórca konkursu recytatorskiego „Rodnô Mòwa”, gdański chór Schola Cantorum Gedanensis pod dyrekcją Jana Łukaszewskiego, wykonawca kolęd kaszubskich „Gòdowé spiéwé” nagranych w 1997 roku na płycie kompaktowej.

Do grona stolemowców nagrodzonych zaprosiła Felicja Baska-Borzyszkowska, ubiegłoroczna laureatka medalu. Sylwetki laureatów przedstawili: Adam Bigus, Monika Weltrowska i Krzysztof Wirkus (teksty publikujemy obok). Po akcie wręczenia Stolemów głos zabrali laureaci. Ks. W. Szulist wyznał, że medal jest dla niego zobowiązaniem do dalszej intensywnej pracy dla kaszubszczyzny, niezależnie od „pogody”, której wie-

lokrotnie brakowało i pewnie nieraz dla niej zabraknie. B. Cirocki przyjął wyróżnienie jako znak akceptacji jego wieloletniej działalności, zarówno ze strony „Pomoranców”, jak i licznie obecnych na uroczystości przedstawicieli gminy Chmielno. J. Łukaszewski dziękując za laury wyraził nadzieję, że telewizja wyemituje w okresie najbliższych świąt Bożego Narodzenia kolędy kaszubskie w ich wykonaniu nagrane w Video Studio Gdańsk. – Będzie to jednak zależało od pogody – nawiązał dowcipnie do wypowiedzi poprzednika. – Czy przed świętami spadnie śnieg.

Laureaci wysłuchali gratulacji od pierwszego stolemowca i byłego prezesa Zrzeszenia Kaszubskiego 86-letniego Aleksandra Arendta, członka Prezydium ZG ZKP Szczepana Lewny, prezesa oddziału gdańskiego Zrzeszenia Jerzego Sampa. Gratulacje nadeszły także od dyrekcji Kaszubskiego Liceum Ogólnokształcącego z Brus, senatora Edmunda Wittbrodta i posła Jana Kulasa.

Na zakończenie oficjalnej części spotkania z koncertem wystąpił chór Schola Cantorum Gedanensis. Zaśpiewał kolędę „Co przëniese Nowi Rok” oraz pieśni Andrzeja Hakenberga, Henryka Mikołaja Góreckiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Podczas spotkania towarzyskiego w kawiarni Palowa śpiewał kaszubski zespół dziecięcy Garecznica z Borzestowa. s.j.

Bożena Szymańska

Cëdówny zwãk kaszëbsczich kòladów

Pòlschi chór kameralny Schola Cantorum Gedanensis pòwstòł w 1978 rokù, a jegò ùsòdcą bëł òsoblëwi chòrzista Ireneusz Łukaszewski. Òd 1983 rokù dirigentem i dyrektorem artystycznym je Jón Łukaszewski.

Schola w swòjim dotnëchczasowym istnieniu pòsòdò baro szeroczi reperuar mùzyczi dówny i dzysdniowi. W 1997 rokù òsta nagrònò plita kompaktowò z kòlådama kaszëbsczima w òpracowaniu Edwar-da Pałasza i Ireneusza Łukaszewskiego. Plita ùkazywò bógactwò folkloru mùzycznégò Kaszëb i Pòmòrzégò.

To co fascënëje i je apartnotą kòlådów kaszëbsczich, sedzy przed wszetczim w swòjszi i w nie nalòżònëch nigdzie jindze dzélach i zającach codniowégò żécégò Kaszëbów, jakò rëbòków i lëdzy mòrza, gòspòdarzi i lesnëch. Je w nëch kòlådach òsoblëwi zwãk żécégò familëji, znający redotã i kòmùdã rëbòcczégò dnia, ceszący sã wspólnotą i bógactwem pòsòdaniò dzecy, a téż kòżdim rodzinnym swiãtem.

Jesmë dbë, że to przecëdówné wëkònanié przez Scholã Cantorum Gedanensis kòlådów, nëch perełków lëdowy mùzyczi, zachãcy wszetczych do uczeniò sã i pòznòwaniò kùlturë i lëteraturë Kaszëb i Pòmòrzégò, najrodny zemi, pòzwóny tarczëzną. Z leżnotë dwadzescelecégò istnieniò i dzejaniò Scholë Cantorum Gedanensis żëczimë ji dalszi brzadowi robòtë i wiele bëlnégò. ■

Przëcyganié do kaszëbiznë

Wasta Bruno Cyrocczi ùrodzył sã w 1942 roku w òkòlim Chmielna na Kaszëbach. Dzysdnia mieszkò w Bòrzesztowie. Jak sòm pòwiôdò, snòzi rodný swòji zemi, nemù lubòtnymu mòlowi, òddòwò co dnia mëslë, dziejanié, stopkùjąc pò stegnach kaszëbsczi niwë.

Ùkòzywò sã nama wezdrzatk pròwdzëwégò dziejòrza Zrzeszeniò Kaszëbskò-Pòmòrsczégò, do chtërnégò nòlezi od 1972 rokù i òd wiele lat je nòleznikã Zarządu Głównégò. Pò rôz trzeci òstòł wëbróny na prezesa partu Zrzeszeniò w Chmielnie. Part chmielińsczi i jegò przëdnik sã inicjatorama imprezów lokalnëch, co przëczëniwò sã do rozkòscérzaniò kaszëbsczi kùlturë. Nòlepi ò tim swiòdczi dokòz i prowadzenié ju dwadzësta sòdmy rôz Konkùrsë Recytatorsczégò Prozë i Pòezje Kaszëbsczi „Rodnò Mòwa”. Naj wërózniony, jakno jeden z ùtwòrców negò kònkùrsë doprowadzył do jegò zòczątkù w Szkòle Pòdstawowi w Bòrzesztowie.

Sã mòle, gdzie wëptiwò dziejowi dëch. W Bòrzesztowie twòrzã go pòwiòstka ò spiacym wòjskù w gòrze Garecznicë i żëwò pamiãc ò dwùch kaszëbszczich dziejòrzach: Frãcyszku Krãcczim, gdzie przed szkòłą stoi jegò pòmnik i Frãcyszku Trédrze, chtërnégò miono mò ta szkòła.

W 1994 rokù òsta wëdònò antologiò tekstów kaszëbszczich „Domòcé słowo zwëczné” dlò recytatorów pò kaszëbskù. Wasta Bruno Cyrocczi bëł kòordynatorã tegò wëdòwkù. Do te je jednym ze współwëdòwców biuletinu partu chmielińsczégò ZKP.

Dostòł ju wiele òdznaczeniów, midzë jinyma Krziż Zasłudzi zloti klasë, Medal Jana Karnowsczégò za robòtã

przë dwigani pòmnika Frãcyszka Krãcczégò. W 1995 rokù òdebròł Znakã Pieczãc Swiãtopelka Wiòldzégò. Krom tegò je znònym dziejòrzã samòrządowim, radnym gminë Chmielno, delegatã na Sejmik Samòrządowi Wojewòdztwa Gduńszcégò.

Przënòlegò pòdsztrëchnãc, że ta wielolatnò spòlëcznò robòta rozpòła dëcha wastë Cyrocczégò, a swòją pòstacëją pòkazëje co nòwòrtniëszì w człowiekù. Pòmòrańcowie przëznajãc mù Medal Stolema żëczã, abë nigdë nie zafelowało mu redotë z rozskaceniò i przëcyganiò coròz wicy lëdzy do kaszëbiznë. ■

Krzysztof Wirkus

Midzë Kòscołã a Amériką

W XIX stalace bëła rozpòczãtò piãknò tradicëja „pelplińsczi szkòłë” ksãzi-historików, jaczi na co dzëń łączëlë pasterskã robòtã z badérowanim pòmòrsczi historie. Stanisław Kujot, Paweł Czaplewsczi, Władysław Łëga, Antoni Liedke, to pierwszë ònòwëbitniëszë pòstacëje, wierné w pòwòłaniu kapłãńsczim ò badérowanim dziejów. Jich pòsobnikã gwës je dzysdniowi laureat stolemówégò medalu ks. Władysław Szulist.

Laureat lata szkòłowë spãdzył w Wejrowie jakò kònwiktor Collegium Leonium (1950-52) ò téz w pelplińsczim Collegium Marianum (1952-54). W pelplińsczim czãdziej zbudzëlë sã jegò zamiłowania ò historicznë zainteresowania. W cyklu wspomnieniów pòd mionã „Związk z Pòmòrziem” publikòwònym w „Pòmëranii” napiszë pò latach: „Mòje zainteresowania Kaszëbama sã òd X

klasë, czedë to w latach 52-54 ùczil mie łącznë ò grecki Stefan Bieszk”.

Stefan Bieszk, ks. Frãcyszek Manthey, a pòtemù na studiach seminarijnëch w pelplińsczi Alma Mater ks. Frãcyszek Jank, ks. Józef Grochòwsczi ò ks. Bernad Zëchta, to òsobë, jaczim na pòczątkù swòji kapłãńsczi a kaszëbsczi drodżi wiele zawdżacziwò. Mòcni w sprawë regionalnë ks. Szulist zaangażowòł sã w latach 1958-59, czedë bëł królã Klubu Sztudérów Kaszëbów w Pelplinie. Program dziejaniégò tegò karna szczerowòł na samòksztalcenié. Òd twòrził tradicëje wëglòszaniégò referatów z lëteraturë ò jãzëka kaszëbsczégò, historie Pòmòrzcégò zapoczątkòwóné w 1908 roku przez twòrcã ti òrganizacëji, Jóna Karnowsczégò.

Jakò wikari ò proboszcz, a terëska na rencë w Lëpùszu, realizëje swòje pasje badawczë. Rëzując badérowòł terenë jãz sztrëch diecezjów nordowi Pòlszczi. Pròca ks. Szulista je wielotematowò. Je autorã mònografii ò cëchónkòwëch ùsòdków historie niechtërnëch miastów ò wsów, artikulów archiwòznawczëch, òpisów drogów hańdlowëch ò kòmunikacyjnëch Pòmòrzo, sylwetków wëbitnëch lëdzy. Wszëtkò to òznòczò sã apartnã wòrtnotã. Utwòrca przedstòwiò sã jakò rzetelny historik, kòzi fakt zdròdłowi kònfrontëje z lëteraturã.

Òd 70. lat wiele ùwòdżi pòswiãcywòł Kaszëbom żëjącym w Europie ò Nordowi Americë. Bëł wëjachóny w naukowé rëzë do Kanadë ò Sztòtów Americzi, Londinu, Pariża, Zurichu, do Niemców. Szukòł materialów pò archiwach, bibliotekach, muzeach ò ksãżnicach. W 1992 rokù ùkòza sã jegò bëlnò mònografia „Kaszëbi kanadijsczi”. Biblografiò artikulów ò ksãżków ks. W. Szulista rosce nieprzerwano òd 1957 rokù. W òstatnëch latach wëdòł cziles ksãżków, mò ju òpòwiesc autobiograficznò „Z zemi òjców”. W kròtczim czasy ùkòze sã jegò nònowszi dokòz „Przeszłòc dzysdniowégò òkòlégò pelplińsczi diecezji do 1772”.

Medal Stolema je pòdzãkòwaniem za twòrczi wkłòd w doròbk badérowaniò nowòzìtnëch ò nònowszëch dziejów Kòscoła pòmòrsczégò ò historii Kaszëbów. ■

Redakcja miesięcznika „Pomerania” i Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku ogłaszają trzecią edycję konkursu „Lato na Kaszubach i Pomorzu”. Organizatorzy, podobnie jak w latach poprzednich, oczekują prac ukazujących różne formy wypoczynku, z opisami miejsc i lokalnych społeczności na Kaszubach i Pomorzu. Szczególnie preferowane będą teksty zawierające refleksje o zachodzących zmianach społeczno-gospodarczych we wsiach i miasteczkach, przejawach miejscowej kultury, obyczajowości i tradycji.

Prace mogą mieć formę wspomnień, reportażu, szkicu czy felietonu i nie powinny przekraczać 12 stron maszynopisu. Autorzy najciekawszych prac otrzymają nagrody pieniężne w wysokości: 800, 600, 400 złotych oraz dwa wyróżnienia po 300 złotych: za najlepszy tekst o tematyce morskiej oraz za pracę wyróżniającą się walorami literackimi.

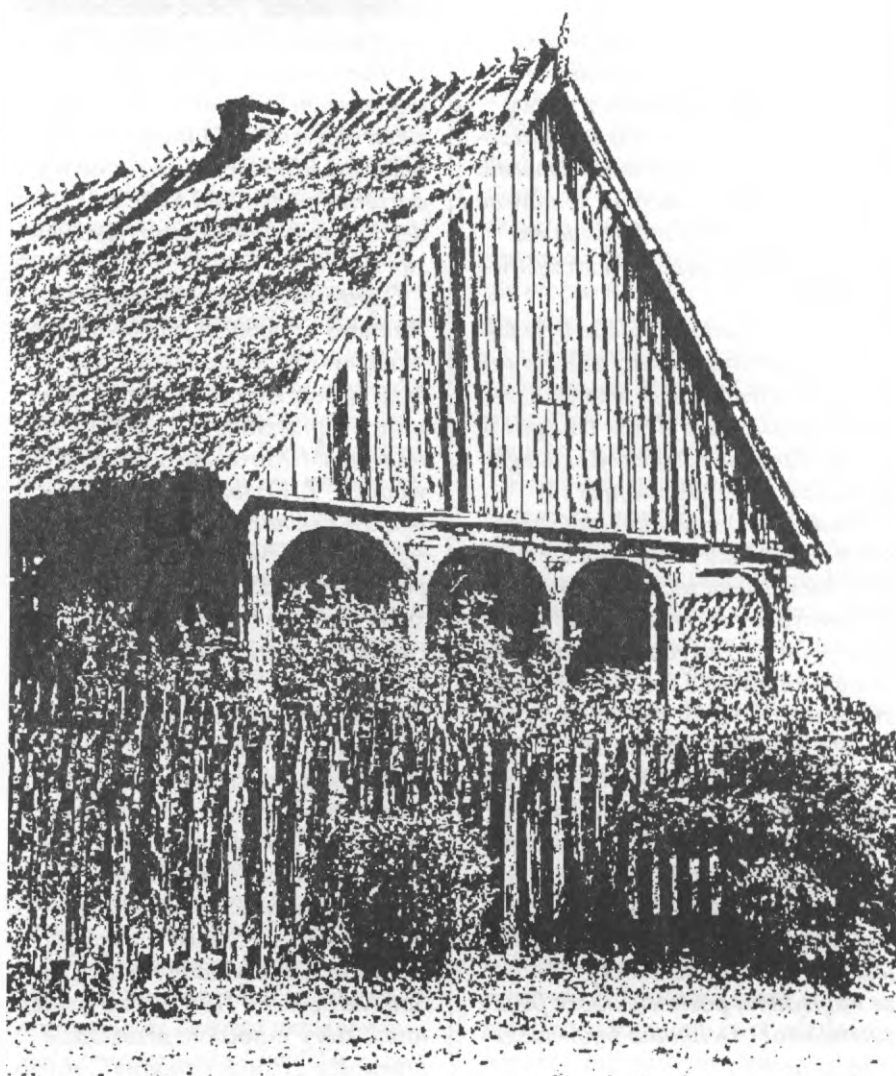
Teksty nagrodzone, jak i zakwalifikowane do druku zostaną opublikowane na łamach „Pomeranii”. Za wydrukowane prace wszystkim autorom przysługiwać będą honoraria.

Termin składania prac: do 30 października 1998 roku. Prace należy nadsyłać pod adresem: „Pomerania”, ul. Straganiarska 21/22, 80-837 Gdańsk, z dopiskiem „Lato na Kaszubach i Pomorzu”. Każdy tekst powinien zawierać imię i nazwisko oraz dokładny adres autora.

Redakcja

Lato na Kaszubach i Pomorzu

III konkurs



Płonące muzea

Erwin Kruk

Wybitna twórczość Siegfrieda Lenza, autora „Muzeum ziemi ojczyстей”, nie wzbudza w naszym regionie należnego jej zainteresowania. A przecież zarówno życie, jak i piśarstwo Lenza, zaczęły się od mazurskich krajobrazów. Pisarz urodził się w Elku w 1926 roku w rodzinie urzędnika celnego. Już jego pierwsze utwory przybliżały postaci, które były częścią tego krajobrazu, a życiowe ich troski i przewagi – dla nich istotne, choć mało skomplikowane – kreowały świat nie tyle odległy od realnych problemów, ile wyniesiony w obręb świata idyllicznego. Utrwalił go pisarz w tomie „So zärtlich war Suleyken”, który ogłosił drukiem w 1955 roku. Niczym nie wyróżniająca się wioska Sulejki, położona między Elkiem a Oleckiem, przynajmniej z nazwy istniejąca realnie, przedstawiona została przez pisarza z takim humorem i dobrotliwym uśmiechem, iż zdawać się mogło, że gdzie indziej nie ma piękniejszego miejsca ani szczęśliwszych ludzi.

Wysnute z fantazji Sulejki były tak tkiwe, ponieważ istniały poza czasem i poza tragicznym doświadczeniem kataklizmu. Tylko w ten sposób mogły stanowić zakątek wszelkiego bezpieczeństwa. Składający się z dwudziestu opowiadań tom sprawił, że Lenz jako pisarz stał się popularny w Niemczech, a łączne nakłady szybko przekroczyły milion egzemplarzy. Ten rodzaj humoru, jaki zaprezentował Lenz, miał zresztą swoje wcześniejsze tradycje i źródła, choćby w twórczości literackiej Fritza i Richarda Skowronnków, których młodość upłynęła w Szybie koło Elku. Trudno jednak snuć porównania tamtego piśarstwa w polskim przekładzie nie znanego, z tomem opowiadań Lenza, który, jeśli go dzień jest przywołania, to choćby ze względu na posłowie, które pisarz zatytułował „Delikatna informacja o Mazurach”:

„Na południu Prus Wschodnich między torfowiskami i piaszczystą pustacią, pośród jezior i sosnowych lasów żyliśmy my, Mazurzy – mieszanina składająca się z żywiołu pruskiego i polskiego, brandenburskiego, salzburskiego i ruskiego. Moja rodzinna kraina leżała, jakby to powiedzieć, na tyłach historii”.

Polski przekład tych opowiadań ukazał się późno, bo w 1988 roku, pod tytułem „Słodkie Sulejki”. Poprzedziły to inne tomy pisarza, problemowo bogatsze i nie stroniące od pytań o teraźniejszość własnego kraju, a więc i o przezwyciężenie niemieckiej przeszłości, która w życiu jednostek i narodu domagała się moralnego osądu. Takim najdoniołszym utworem o tej problematyce i o ziemi ojczystej pisarza jest „Heimatismuseum” (1978), czyli „Muzeum ziemi ojczystej”. To w tym dziele autor przedstawił, że tragiczne wydarzenia nie omijają także tych ludzi, którzy żyli dotąd „na tyłach historii”.

Gdyby nie ta mazurska saga i jej rezonans czytelniczy, nie byłoby potrzeby wskazywania na to, co tę książkę poprzedza. A przecież, jak teraz się przypomina – między innymi w tomie „Stracone ojczyzny – nowi obcy” („Verlorene Heimaten – neunen Fremden”, Dortmund 1995) – już w 1960 roku Siegfried Lenz podjął pierwszą poważną próbę zmierzenia się z problematyką ziemi rodzinnej. Napisał wówczas niewielkie opowiadanie, które ze względu na sposób ujęcia tematu oraz treściową jego zawartość okazało się swego rodzaju zapowiedzią „Muzeum ziemi ojczystej”. Opowiadanie nosi tytuł „Schwierige Trauer – Eine Grabrede nach Henry Smolka”, czyli „Ciężki smutek. Mowa nad grobem Henry’ego Smolki”, znajduje się w tomie opowiadań Lenza „Der Spielverderber” (1965). Nad tytułem, który w polskim przekładzie brzmiałby „Psujący zabawę”, warto

się zatrzymać. Od tego momentu bowiem piśarstwo Lenza wkroczyło na drogę rozliczeń moralnych, a czytelnikom, których pozyskał humoreskami o Sulejkach, poczęło „psuć zabawę”.

Gdy w opowiadaniu „Ciężki smutek” żywioł wody i ziemi oczyszcza przeszłość Łukowca, to w powieści „Muzeum ziemi ojczystej” oczyszczenie przeszłości – przeszłości tego samego Łukowca, w którym rozpoznajemy miasto rodzinne pisarza – następuje przez ogień. „Muzeum ziemi ojczystej” to książka będąca swoistą odyseją, jedną z tych, których dwudziesty wiek dostarczył tak wiele. Jest ogniwem homeryckiego łańcucha – catena homeri, obecnego w historii światowej literatury, gdzie tak wielkie znaczenia, jak w historii Odyseusza wracającego do swej małej Itaki, mają ciągle topos wygnania i powrotu. Katastrofa już się dokonała, ale powrót wciąż trwa.

W Polsce książkę Siegfrieda Lenza „Muzeum ziemi ojczystej” zapowiadano w prasie w 1980 roku, a obszerne jej fragmenty opublikowała „Literatura na świecie”. Na naszym rynku wydawniczym ukazała się jednak dopiero jedenaście lat później. Żadna z książek Lenza, przynajmniej z tych, które zamierzono przełożyć, nie odbyła tak uciążliwej drogi, by spotkać się wreszcie z polskim czytelnikiem.

„Muzeum ziemi ojczystej” Lenza ukazuje przedwojennych Mazurów żyjących w Prusach Wschodnich, a ściślej mówiąc: życie małego miasteczka na wschodnich krańcach Mazur, zakończone pewnego mroźnego styczniowego dnia w 1945 roku exodusem jego mieszkańców. Jest to zatem dzieło o ziemi rodzinnej, ale też dzieło o tej ziemi, która dla tych, co przeżyli wielką ucieczkę i wydostali się na zbawczy lecz obcy brzeg, stała się ziemią utraconą. Powieściowy Łukowiec daje się bez trudu rozpoznać jako mazurski Elk

– miasto, w którym Lenz się urodził i spędził młodość.

Podpalenie muzeum, zniszczenie pamiątek przeszłości, nawet jeśli jest to gest symboliczny – budzi sprzeciw. Nie przekreśla wszakże miłości do stron ojczystych. One bowiem są tkliwą ojczyzną wzruszeń i pamięci, i idą za człowiekiem, który musiał je opuścić. Ich brak uwiera, niczym „niewidoczny ciężar”. Powieść Lenza obejmuje trwającą ponad pół wieku historię mazurskiej rodziny, związanej od pokoleń z Łukowcem i jego okolicami. Jest sagą mazurskiego rodu, w której zawarta zostaje kronika miasta, sięgająca w głąb aż po wiek dziewiętnasty, nagle przerywana w wojenną zimę 1945 roku, kiedy kolumny uciekinierów, ewakuowane w pośpiechu, ruszyły w stronę zalewu. Pół Łukowca zostało pod jego kruchym lodem, pod „szarą płytą grobową”, a reszta, która ocalała, pozostająca w stanie apatii i swiego letargu, długo nie mogła zrozumieć, że świat trwa nadal i że tylko ich świat zaginął. Toteż, pragnąc zachować więź z przeszłością, mieć jej część w pobliżu, po latach odbudowali dawne muzeum ziemi ojczystej – na obcej ziemi, w Egenlund koło Szlezewiku.

Książka zaczyna się w momencie, gdy główny bohater, Zygmunt Rogalla, przebywa w szpitalu – właśnie po podpaleniu muzeum w Egenlund, które powstało z jego inicjatywy i którego tworzenie dostarczyło mu przedtem wiele radości. W trakcie piętnastu spotkań z przyjacielem córki (a jest to zarazem piętnaście rozdziałów tej książki), poparzony i obandażowany Rogalla wyjaśnia, że podpalenie nie było przypadkowe. A zdając sobie wszelako sprawę, że motywy jego decyzji mogą być niezrozumiałe, opowiada o dziejach swego rodu, o zdarzeniach i ludziach, związanych zarówno z nim samym, jak i z organizatorem prywatnego muzeum w Łukowcu, wujem Adamem, „niezależ-

nym etnografem, nawiedzonym kretem ryjącym w naszej mazurskiej przeszłości”. To Adam, nawiedzony kret, rozbudził w młodym chłopcu zainteresowanie sztuką ludową Mazur i zostawił mu dorobek swego życia. Ale nim to się stało, jako uczeń poznał sztukę tkania kobierców u najznakomitszej tkaczki Sonji Turk, „znającej tajemnice produkcji farb roślinnych, wzory i techniki podwójnego splotu i wiązania”.

Zygmunt Rogalla, mistrz tkacki, snuje słowami mazurski kobierzec, barwny, przetykany groteską i tragiczmem, ale też pelen podwójnych splotów i wiązań, raz widzianych z bliska, innym razem z oddali, ale zawsze frapujących. W ten sposób przybliżył nam niezwykłość życia zwyczajnych ludzi. Widać to wśród muzealnych drobiazgów, z których każdy ma swoją historię czy choćby legendę. Za nimi ukrywają się dawna przeszłość i zdarzenia: monety wskazują na wędrówki ludów i podboje, wykopaliska odsłaniają ślady życia Prusów i ożywiają wspomnienia jaćwieskich legend, sztuka ludowa zaś, przyjęta już za własną, odsłania zarówno wędrówkę motywów i sprzętów, jak i nawarstwianie się różnych tradycji. Do tego bogactwa należą także autentyczne nazwy wsi, jezior, wzgórz. Nawet słowo „kadyk” które Mazurzy przejęli z języka pruskiego na określenie jałowca. Dawniej, w latach młodości bohatera sagi, w „żywych obrazach” przypominających legendy i dzieje Mazur, było w nich też miejsce dla pierwszego osadnika z Mazowsza. Później ideologowie chcieli decydować, co może być przeszłością, a co nią być nie powinno. Notabene, owe „Żywe obrazy” trafiły do powieści jako pogłos wydarzeń autentycznych, jakie w latach 1923/24 rozegrały się w Elku i są częścią historii tego miasta. Otóż nauczyciel elckiego gimnazjum Ernst Beissert przygotowywał i prezentował widowiska, przy-

pominające o wielu warstwach miejscowej kultury. Na scenie rozbrzmiewał obok języka niemieckiego i polski, i gwara mazurska. Już wtedy ta demonstracja wzbudziła zastrzeżenia władz i nauczyciel, organizator tych widowisk został przeniesiony karnie na wyspę Sylt.

Podczas wojny na przemoc odpowiadano przemocą, nową tragedią ludzi i utratą ziemi ojczystej. Po tragicznych doświadczeniach, po utracie ziemi ojczystej wydawało się, że zagubione strachy nie zapanują nad bólem i miłością, ani nad potrzebą zachowania wszystkiego, czym dawnych mieszkańców Łukowca obdaruwało życie – bez okrawania i ukrywania czegośkolwiek, także z lat poprzedzających exodus. Niestety, cienie się nie rozpraszają. Jak w latach trzydziestych, znów niektórzy przeszłość poczęli przykrawać i korygować, jakby sądzili, że prawdę można zataić. Dlatego też, motywując swoją decyzję, Zygmunt Rogalla mówi: (...) przeszłość należy do nas wszystkich, nie można jej dzielić, wygładzać, to wszystko się przecież ze sobą zrasta (...), a kto próbuje rozdzielić rzeczy i dowody, któreśmy odziedziczyli, kto chce sobie sprawić czysty rodowód, ten wie, że musi użyć przemocy”.

Siegfried Lenz ukazując losy i przeżycia swoich bohaterów, podejmuje problem odpowiedzialności moralnej, a także psychicznych barier i obciążeń, które utrudniają porozumienie. Przedstawiając odrębność Mazurów, ich obyczaje czy sploty wydarzeń, które miały wpływ na ich losy, pisarz posługuje się całą gamą barw. Tak tkliwy był Łukowiec, kiedy był radością. A potem zszarzał z przerażenia i zamilkł. Całą powieść można odczytywać jako protest przeciwko przemocy. Jest zarazem „Muzeum ziemi ojczystej” wyznaniem miłości wobec stron ojczystych. Tej miłości, która życiu przywraca utracony sens, ale która nie chce być zaślepieniem.

Bohater Lenza odrzuca miłe złudzenia, że dawny Łukowiec był jedynie oazą szczęśliwości. Również zło zaczęło się już tam i dzieliło ludzi. Dzielili ich stosunek do tradycji i do czasów, które nadchodziły. Mazurskość stawiała się podejrzana. Pamięć o całym, a więc wielowarstwowym – nie tylko niemieckim – dziedzictwie chroniła podejrzana odrębność. Na to niektórzy Mazurzy z Łukowca byli przygotowani. To w ich imieniu bohater książki powiada: „kto sądzi, że będzie się niemal stale usprawiedliwiać, ten jest wcześniej skazany na wyrobienie sobie pamięci”. I jego miłość do stron rodzinnych, o której mówi ze szpitalnego łóżka – już po podpaleniu utworzonego w Egenlund muzeum – motywowana jest inaczej, aniżeli tych, którzy sentymenty i resentymenty ludzi pragną wykorzystywać dla swych celów. Bo czymże miało być muzeum i jego ocalałe zbiory? Całym Łukowcem, całym minionym i zgubionym ich światem!

W tym kontekście niezmiernie wagi nabiera pytanie, przed którym trudno uciec i którego uniknąć nie sposób, a mianowicie: „Czy ból po stracie jest dziedziczny?” Pisarz pokazuje, że młodzież tylko przez chwilę, na czas otwarcia imprez, podtrzymuje złudzenia starszych ludzi. Zaraz ucieka od przebieranek i kostiumów, a muzealne eksponaty, które starsi traktują jako świętość, spostonowane zostają w beztroskiej zabawie disco. Jedynie tym, których mazurski los wyrzucił jak rozbitków na obcy brzeg, trudno pozbyć się tęsknoty za ziemią utraconą. To nie gest rozpacz bohatera – to czas sprawia, że bywają podpalane i że wciąż płoną muzea, a odchodzący zabierają pamięć ze sobą. Dopóki żyją, niosą te obrazy jak „niewidoczny ciężar” i zostają przy tym, czym doświadczył ich los. Toteż myśl o tym, by na obcej ziemi otworzyć Nowy Łukowiec, szybko rozprysła się i stała się nową udręką. Szybko bowiem minęła radość, przez wygnańców z Mazur przyjęta niczym linka ratunkowa, kiedy wspomnieniom z Łukowca ofiarowali dach nad głową.

(listopad 1997)

Piotr Stalmaszczyk

SZKOCJA

jej historia i języki



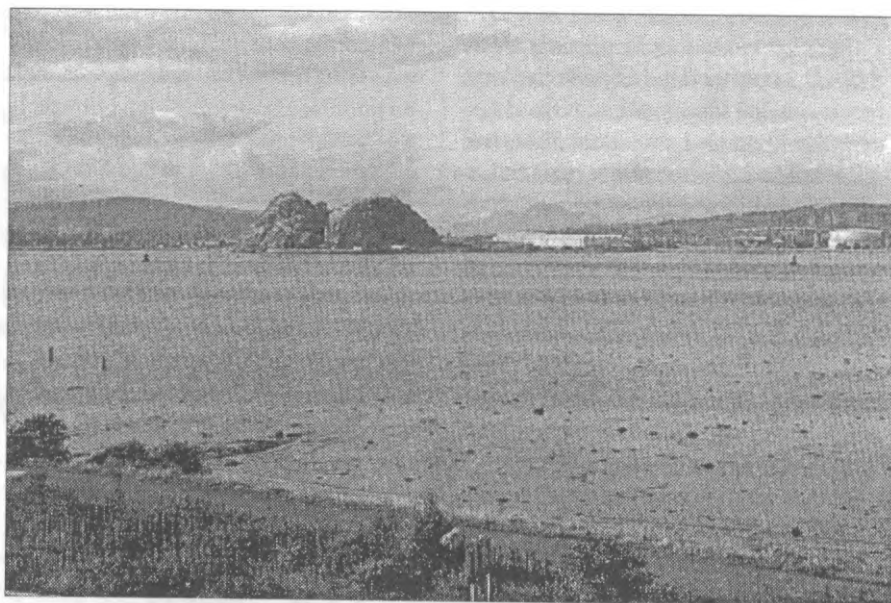
Ruiny średniowiecznego domostwa na kłifach Szelandów

W ubiegłym roku w „Pomeranii” (nr 10) opublikowaliśmy informację Piotra Stalmaszczyka o ukazaniu się pierwszego numeru czasopisma historycznego „Caim” w języku Scots, którym posługują się mieszkańcy nizinnej Szkocji. Problematyka językowa i narodowościowa wydała się nam na tyle interesująca, że zwróciliśmy się do autora o szerszą jej prezentację. Niniejszy szkic Piotra Stalmaszczyka, pracownika naukowego Uniwersytetu Łódzkiego, nie tylko ciekawia, ale także pozwala lepiej zrozumieć etniczne i językowe zagadnienia kaszubszczyzny.

We wrześniu 1997 roku przeszło 70 proc. mieszkańców Szkocji opowiedziało się w referendum za powołaniem do życia osobnego szkockiego parlamentu. Pierwsze wybory do tego parlamentu odbędą się w 1999 roku, a pierwsza sesja rozpocznie się w 2000 roku. Spośród 129 posłów zostanie wyłoniony rząd Szkocji, na którego czele stanie „pierwszy minister” (bez tytułu premiera). Parlament będzie zajmował się głównie edukacją, ochroną środowiska, sportem i turystyką, polityką mieszkaniową, ale także systemem prawnym i problemami bezpieczeństwa, jednakże bez prawa ogłoszenia niepodległości Szkocji, gdyż o tym w dalszym ciągu decyduje parlament w Westminster, władza zwierzchnia całej Wielkiej Brytanii. Politycznymi zwolennikami powołania odrębnego parlamentu Szkocji była rządząca Partia Pracy (laburzyści), opozycyjna Partia Liberalno-Demokratyczna i, co oczywiste, Szkocka Partia Narodowa, opowiadająca się za całkowitą niepodległością kraju. Zdecydowanym przeciwnikiem była rządząca jeszcze do niedawna i bardzo w Szkocji niepopularna Partia Konserwatywna.

Wynik referendum najdobitniej świadczy o, wynikającej w dużej mierze z historii, odrębności Szkocji, jej kultury, tradycji, szkolnictwa, w pewnym stopniu nawet systemu prawa, a także języka. Współczesna Szkocja jest bowiem krajem nie tylko angielskojęzycznym (słynny „angielski ze szkockim akcentem”), ale również ojczyzną języka związanego ze Szkocją nizinną, zwanego *Scots* (czyli szkockiego) i, zupełnie odrębnego, celtyckiego języka górzyskiej Szkocji i zachodnich wysp – *Gaidhlig* (czyli gaelickiego).

Według spisu przeprowadzonego w 1991 roku, wśród przeszło 5 mln ogólnej liczby mieszkańców Szkocji, językiem gaelickim posługuje się ok. 65 tysięcy osób, przeważnie na zachodnich wyspach (Hebrydach), na wyżynach i w górach (tereny te zwane są *Gaidhealtachd*), ale również w większych ośrodkach miejskich (głównie Glasgow, czyli gaelickim *Galschu*). W okresie historycznym w Szkocji zawsze współistniały, a później ścierały się ze sobą, różne języki celtyckie i germańskie, a być może również nieindoeuropejskie (tajemniczy język Pik-



Walory strategiczne Dumbarton Rock doceniano w ciągu wielu stuleci



Duffus Castle, ruiny kamiennej budowli z XIV w.



Crosskirk, typowy kościół z XII w.

tów z północno-wschodniej Szkocji). Celtycki język gaelicki pojawił się w Szkocji, w postaci staroirlandzkiego, na przełomie V i VI w., razem z irlandzkimi kolonizatorami, zwanymi *Scotti* (od nich właśnie bierze swą nazwę Szkocja). Zasiedlili oni początkowo południowo-zachodnie wybrzeża i wyspy Szkocji, zakładając – na obszarze dzisiejszego hrabstwa Argyll – królestwo Dalriada (irl. *Dal Riata*). Od roku 563, gdy przybył na nią z Irlandii święty Kolumba, maleńka wyspa Iona stała się ważnym ośrodkiem misyjnym dla Szkocji i północnej Anglii.

W tym czasie północną i północno-wschodnią Szkocję zamieszkiwała ludność piktyjska, o której wiadomo z przekazów, że zagrażała Rzymianom, a później celtyckim Brytom i germańskim Anglom, ale o której języku bardzo mało można powiedzieć. Na podstawie zachowanych inskrypcji w alfabecie ogamicznym, imion wodzów odnotowanych w źródłach starożytnych, skąpych wiadomości w kronikach wczesnośredniowiecznych spisanych po łacinie i w języku irlandzkim, a także danych toponimicznych, badacze skłonni są przyjmować istnienie dwóch języków piktyjskich: celtyckiego (pokrewnego językom brytańskim, czyli np. dzisiejszemu walijskiemu) i nieindoeuropejskiego, o nieznanym pochodzeniu.

W roku 843 król Kenneth Mac Alpin zjednoczył całą północną Szkocję, czyli Dalriadę i państwo Piktów, w

szkockie królestwo Alby. Pod rządami Malcolma II i Duncana I do królestwa szkockiego przyłączono leżące bardziej na południe tereny Lothian i Strathclyde. Na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia dominującym (ale nie jedynym) językiem północno-zachodniej Szkocji był gaelicki. Jednak już w IX w. na Szetlandach i Orkadach pojawili się wikingowie ze staronordyckim, który w postaci języka zwanego *Norn* przetrwał tam do końca XVIII w. Do tej pory w języku (zwłaszcza słownictwie) mieszkańców najbardziej na północ wysuniętych wysp Szkocji odnaleźć można ślady wpływów skandynawskich.

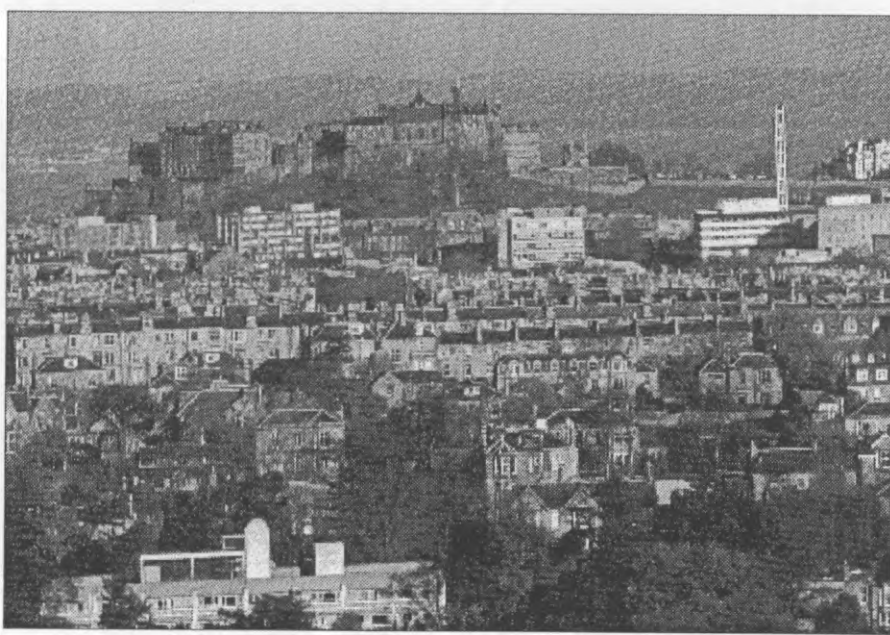
W graniczącym ze Szkocją od południa królestwie Northumbrii posługiwano się jednym z północnych dialektów staroangielskich, a w celtyckim Strathclyde wymierał kumbryjski (od nazwy całej prowincji – *Cumbrii*), język pokrewny walijskiemu, znany dziś jedynie z trzech starych terminów prawniczych w łacińskim tekście prawniczym (*Leges inter Brettos et Scotos*) z XI w.

Wikingowie pod koniec XI w. zdobyli Hebridy, gdzie panowali aż do XIII w., i skąd kolonizowali wschodnie wybrzeża Irlandii, wyspę Man oraz Islandię. Jednakże dla języka gaelickiego najbardziej niebezpieczny okazał się wpływ sąsiada z południa. Już bowiem od drugiej połowy XI w. dwór szkocki zwrócony był ku Anglii, a Mal-

colm III Canmore był ostatnim królem Szkocji, na którego dworze powszechnie posługiwano się gaelickim. Sam Malcolm w 1070 roku ożenił się z anglosaską księżniczką Małgorzatą, a dwa lata później złożył hołd Wilhelmowi Zdobywcy. Mimo iż król Anglii Ryszard I uznał w 1189 roku niepodległość Szkocji, to związki między tymi krajami stawały się coraz silniejsze, z dominującą rolą Anglii i dworu angielskiego. W roku 1286 zmarł Alexander III, ostatni władca wywodzący się ze szkockich dynastii Dalriady.

Po szkockiej rewolucji protestanckiej, reformacji (lata 1559–1560) i unii personalnej z Anglią w 1603 roku, kiedy to Jakub VI przeniósł dwór do Anglii i panował jako Jakub I, zaczęto wprowadzać wiele praw dyskryminujących ludność celtycką, jej kulturę, obyczaje i język. Ustanowione w 1609 roku na wyspie Iona statuty znacznie ograniczyły prawa i przywileje klanów, doprowadzając w konsekwencji do rozbicia tradycyjnej wspólnoty klanowej i masowych emigracji. Administracyjno-prawny koniec królestwa szkockiego nastąpił w wyniku unii z Anglią (powstanie Wielkiej Brytanii) w 1707 roku, natomiast ostateczny kres szkockiej państwowości przyniósł upadek kolejnych powstań Jakobitów (1715, 1719 i 1745 r.). W latach 1782–1853 dokonywano wysiedleń górali, czyli rdzennej ludności celtyckiej, a tereny należące do klanów oddano osadnikom z południa Szkocji. Podobnie jak w Irlandii, również w Szkocji druga połowa XIX w. to czas emigracji do Ameryki Północnej (wspólnota gaelickojęzyczna w Nowej Szkocji w Kanadzie jeszcze w latach 60. obecnego wieku liczyła ponad 2 tys. osób), Australii i Nowej Zelandii.

Gaelicki już w średniowieczu utracił status języka narodowego. Jego późniejsza historia jest pasmem geograficznego i społecznego upadku. W ciągu ostatnich dziesięcioleci liczba osób mówiących językiem gaelickim spadła z ok. 250 tysięcy na początku obecnego wieku (ok. 5 proc. ówczesnej populacji Szkocji) do nieco powyżej 60 tysięcy w latach 90. (mniej niż 1,5 proc. mieszkańców Szkocji), przy czym spis z 1901 roku zarejestrował 28 tysięcy osób mówiących tylko po gaelicku, natomiast od końca lat siedemdziesiątych



Edynburg, dawny fort Brytów – *Din Eidyn*. Fotografie z katalogu „Invaders of Scotland”

gaelickich monoglotów już się nie odnotowuje. Wielu gaelickich Szkotów wierzy, że nowy parlament uchwali prawa korzystne dla języka gaelickiego. Należy jednak zaznaczyć, że już teraz, nadrabiając wielowiekowe zaległości, publikuje się dobre i nowoczesne podręczniki do tego języka. W kilkudziesięciu szkołach podstawowych naukę prowadzi się w języku gaelickim, a na wyspie Skye jest kolegium Sabhal Mòr Ostaig, zapewniające kształcenie zawodowe w języku gaelickim. Gaelicki obecny jest również w radiu i szkockiej telewizji.

Drugim rdzennym językiem Szkocji jest *Scots*, czyli szkocki. Po roku 1300 znaczną część terenów nizinnych (*Lowlands*) zamieszkiwała ludność szkockojęzyczna, a gaelickim posługiwali się coraz częściej tylko mieszkańcy zachodnich wysp i gór (*Highlands*). Język szkocki (zwany także *Lallans*, czyli nizinny) wyodrębnił się we wczesnym średniowieczu na południu Szkocji z dialektów anglosaskich używanych w Northumbrii.

Według danych z 1996 roku językiem tym posługuje się ok. 1,5 miliona osób, czyli 30 proc. mieszkańców Szkocji. *Scots* jednakże, w przeciwieństwie do gaelickiego, nie przez wszystkich traktowany jest jako odrębny język, często określa się go raczej jako regionalną (szkocką) odmianę angielskiego, tak też w większości przypadków definiują go słowniki i encyklopedie. Takie podejście do języka stwarza duże problemy z wprowadzeniem go do szkolnictwa i środków przekazu, jednakże zwolennicy języka *Scots* zachęcani powodzeniem działań gaelickich, również bardzo się w ostatnich latach zaktywizowali.

Problemowi – język czy dialekt poświęcono lata polemik i dyskusji, jest to ciągle trudne do rozwiązania. Zainteresowani językiem szkockim znajdują ciekawe rozważania i obfitą bibliografię w zbiorze artykułów J. Derricka McClure'a „*Scots and its Literature*”, Amsterdam, 1995 czy w popularnym opracowaniu „*Zarys historii Szkocji*” Stefana Zabieglika, Gdańsk, 1993, a także w pierwszym numerze czasopisma „*Cairn*”, które już omówiłem w „*Pomeranii*” (nr 10/97). Tu tylko dodam, że jego publikacja jest ważnym wydarzeniem. ■

Ewa Rogowska

Z kaszubskiego zielnika



Fiołki

Od marca do czerwca w lasach i zaroślach spotyka się fioletowe kępki fiołków, uważanych za najmiłsze zwiastuny wiosny, co potwierdza porównanie: „Miły jak fiołek na wiosnę”. Najczęściej są to fiołki leśne (łac. *Viola silvestris* L. lub *Viola silvatica* Fr.) lub podobne do nich fiołki psie (łac. *Viola canina*), czasem, chętnie zbierane, fiołki wonne (łac. *Viola odorata*), a niekiedy – jeszcze inne gatunki, których rośnie w Polsce aż 27.

Fiołek wonny o ciemnofioletowych, silnie pachnących kwiatach wyrastających z przyziemnej rozetki delikatnie omszonych, sercowatych lub nerkowatych liści – kwitnie od marca do maja na skrajach wilgotnych lasów liściastych i mieszanych, na brzegach strumieni, w zaroślach i parkach, bywa także uprawiany w ogrodach. Jego korzeń i ziele stosowano w leczeniu ludowym jako środek wykrztuśny, moczopędny i napotny, a także na przemianę materii i reumatyzm, przy katarze i do płukania gardła. Roślinę tę często opiewano w poezji, i to zarówno w literaturze antycznej, jak i w polskiej pieśni ludowej.

Fiołek leśny kwitnie nieco później, od kwietnia do czerwca. Można go spotkać w lasach liściastych i mieszanych oraz w zaroślach. Ma rozestlaną lub podnoszącą się łodygę oraz sercowate liście, z wierzchu lekko owłosione, a jego czerwono-fioletowe kwiaty, zaopatrzone w zgiętą ku dołowi smukłą fioletową ostrogę, są bezwonne.

Fiołek psi kwitnie jeszcze później, w maju i czerwcu. Od fiołka leśnego różni się nieco kształtem liści, kwiatów oraz łodyżki, rozgałęziającej się tylko od dołu.

W języku ogólnopolskim – nie licząc zestawień nazywających poszczególne gatunki fiołków – znana jest dziś tylko jedna nazwa tej rośliny: zapożyczony z łaciny *fiołek*, ale w staropolszczyźnie poza różnymi wariantami tej nazwy (*fiołek*, *fiałki*) i zawierającymi ją zestawieniami (*fiołek marcowy*, *fiałki brunatne* i *fiołek pachnący*), używano również nazw rodzimych: *przelaszczka* oraz *podlaszczek*, *podlaszczak*, *podlaszka* (w XV w.); w XVII w. zapisano w tym znaczeniu też wyraz *skopki*. W gwarach polskich występowały przede wszystkim różne odmiany fonetyczne nazwy *fiołek*, m.in. *fijolek*, *fijalka*, *chwoielek*, *chwijalek*, a nawet *chwilka*, ale nazywano też *fiołek podlaszczką* i *podlaszczką*.

W kaszubszczyźnie znanych jest kilka nazw fiołków. Jako nazwy fiołka wonnego zapisane zostały w różnych słownikach i słowniczkach: *proliszk* // *proliszczk*, *prolëszka*, *jaskulczé oczka* i *jaskółczy*, *ptôszé oczko*, *bratk* leśny, *fejłka marcowi kwiôtk* i *wielkanocny kwiôtk*; jako nazwy fiołka leśnego: *lesné fijółczy* i *bezwonica* oraz *dzecyjné fijółczy* i *pokutnica*, zaś jako nazwy fiołka psiego – *jaskółczé oczé*.

Nazwę *proliszk* jako dawną notuje z Wejherowskiego w swoim „*Słowniku gwar kaszubskich*” Bernard Sychta (V 171), a za nim cytuje ją „*Pomoranisches Wörterbuch*” (IV 1646), zaś nazwy *proliszczk* i *prolëszczk* podaje „*Pomoranisches Wörterbuch*” (I 660), tę pierwszą za „*Słownikiem kaszubskim z dodatkiem idyotyzmów chełmińskich i kociewskich*” Gustawa Pobłockiego (s. 72), drugą za „*Słownikiem kaszubskim porównawczym*” Leona Biskupskiego. Formę rodzaju żeńskiego *prolëszka* zna jako dawną z Pomieczyńskiej Huty, Rębu i Otałężyna Sychta (IV 171),



a za nim powtarza ją „Pomoranisches Wörterbuch” (IV 1646). Wyrazy *prolisz(cz)k* i *prolēszka* wprowadził do swego „Słownika polsko-kaszubskiego” Jan Trepczyk (I 162) jako nazwy fiołka w ogóle, w związku z czym fiołek trójbarwny, to w tym słowniku *pôchnący proliszk*, choć w słowniku Sychty gatunek ten występuje jako *pôchnące fijółczy* (od nazwy *proliszk*). Trepczyk utworzył nawet przymiotnik *proliszkowi* ‘fiołkowy’. Nazwa *prolisz(cz)ka* kontynuuje staropolską rodzimą nazwę fiołka: *przylaszczka/przelaszczka* (występująca też w postaci *podlaszczka*), utworzoną przyrostkiem *-ka* od wyrażenia przymkowego *przy lasku*, roślina ta bowiem rośnie najczęściej właśnie na skrajach lasów. Wyrazy *przelaszczka/przylaszczka* i – służyły w dawnej polszczyźnie – aż do początków XX w. – również do nazwania *przylaszczki* (łac. *Hepatica nobilis*), należącej wprawdzie nie do rodziny fiołkowatych, lecz do jaskrowatych, ale także kwitnącej wczesną wiosną drobnymi fioletowymi kwiatkami. Ostatecznie jednak w polszczyźnie ogólnej rodzimy wyraz *przylaszczka* wyspecjalizował się w nazywaniu *przylaszczki*, a jedyną nazwą fiołka pozostał zapożyczony *fiołek*. Również z mówionej kaszub-

szczyzny wyraz *proliszczk* w znaczeniu ‘fiołek’ zaczął się wycofywać – Sychta notuje go już jako dawny – proces ten został jednak częściowo zahamowany przez autorów słowników, a Trepczyk, uznawszy widocznie *proliszczk* za „bardziej kaszubski” niż *fijółczy*, uczynił go w swym słowniku głównym odpowiednikiem polskiego wyrazu fiołek.

Nazwę *jaskółcze oczka* dla fiołka wonnego podaje jako jedyną w swym „Poradniku kwiatowym” („Pomerania 4, 1975) Leon Roppel, ale może to być pomyłka powstała w wyniku błędnego zidentyfikowania kaszubskiej nazwy *pôchnące fijółczy* ‘fiołek trójbarwny’ z polską nazwą *fiołek wonny* ‘Viola odorata’. Ten sam autor w rękopiśmiennym zbiorze nazw roślin wykorzystanych przez „Pomoranisches Wörterbuch” wymienia jako nazwy fiołka wonnego wyraz *jaskółczy* (IV 1389) i wyrażenie *ptôszé oczko* (III 662). Zestawienie *jaskółcze oczo* zostało natomiast zanotowane jako nazwa fiołka psiego przez „dra K. K. Kozłowskiego”, czyli Józefa Łęgowskiego, w arykuliku „Ludowe nazwy niektórych roślin z Prus Królewskich”, wydrukowanym w „Pamiętniku Fizjograficznym” z 1885 r. Inne źródła kaszubskie takie

„jaskółcze” i – szerzej – „ptasie” nazwy przypisują raczej fiołkowi trójbarwnemu, czyli popularnym bratkom. To właśnie wielobarwne pięciopłatkowe kwiaty bratków z żółtą plamką w środku – niewielką, lecz bardzo kontrastową – przypominają twarzyczkę z jednym oczkiem, tak jak u widzianego z boku ptaka.

Nazwę *fejlka* notuje jako słowińską Friedrich Lorentz w „Pomoranisches Wörterbuch” (I 185). Jest to zapożyczenie z niemieckiej nazwy fiołka: *Veilchen*, zaadaptowane do kaszubszczyzny przyrostkiem *-ka*.

Zestawienie *bratk leśny* zawdzięczamy zbiorowi Roppla („Pomoranisches Wörterbuch”, III 1228). Zbudowane jest ono na wzór polskiego zestawienia *fiołek leśny*. Rzeczownik został tu przeniesiony z nazwy pokrewnego gatunku fiołka trójbarwnego, zaś przymiotnik informuje o miejscu występowania tej rośliny.

Zestawienia *marcowi kwiótk* i *wielkanocny kwiótk* występują w rękopiśmiennym zbiorze Roppla, z którego zostały przejęte przez Friedhelma Hinzego do kolejnych tomów „Pomoranisches Wörterbuch” (IV 1522 i III 914). Nazw tych używa również Aleksander Majkowski w powieści „Żęc i przygodę Remusa” (II), ale Lech Bądkowski w polskim przekładzie tej książki tłumaczy je jako *kwiatki wielkanocne* i *marcowe kwiatki*. Zestawienie *kwiótk* to być może częściowa kalka niemieckiej nazwy *März-Veilchen* (dosłownie: ‘marcowy fiołek’), ale nazwa *marcowy fiołek* znana była też w staropolszczyźnie, a związek tej rośliny z marcem tak silnie utrwalił się w świadomości naszych przodków, że *przelaszczkowym zającem* (*przelaszczka* to dawna nazwa fiołka) nazywano młodego zająca urodzonego w marcu, czyli *marczaka* (taką informację podaje „Słownik warszawski” z początków XX w.). Oba zestawienia informują zresztą o porze kwitnienia tej rośliny, mogły więc też powstać niezależnie.

Wszystkie nazwy fiołka leśnego zapisał w swoim słowniku ks. Sychta. Są to: znane w Puzdrowie *dzecyjné fijółczy* (I 260) i sporadycznie spotykana w Wejherowskim *pokutnica* (IV 121), zestawienie *leśné fijółczy* (VII 70) i wyraz *bezwonica* powtórzony też – za

Sychtą (VII 13) – przez Trepczyka. Są one przejrzyste etymologicznie.

Zestawienie *dzecyjné fjiôlcz* wskazuje na lecznicze zastosowanie tej rośliny, o czym pisze ks. Sychta: „Dzeczijné fjiôlcz dają dziecom pis, jak jich brzuszczci bolą”. Natomiast zestawienie *lesné fjiolcz* informuje o miejscu występowania tego gatunku, jest ono kalką polskiej nazwy *fiólek leśny* oraz łacińskiej *Viola silvestris*. Sam wyraz *fiolki* został natomiast zapożyczony przez polszczyznę – za pośrednictwem niemieckiej postaci *viol*, *viole* – z łacińskiej nazwy *Viola*, będącej zlatynizowaną formą zdrobnienia greckiej nazwy (*v*)*ion*. Ta ostatnia wiąże się ponoć z imieniem mitycznej kochanki Zeusa Io, która – przemieniona przez Herę w jałowicę – żywić się miała fiołkami.

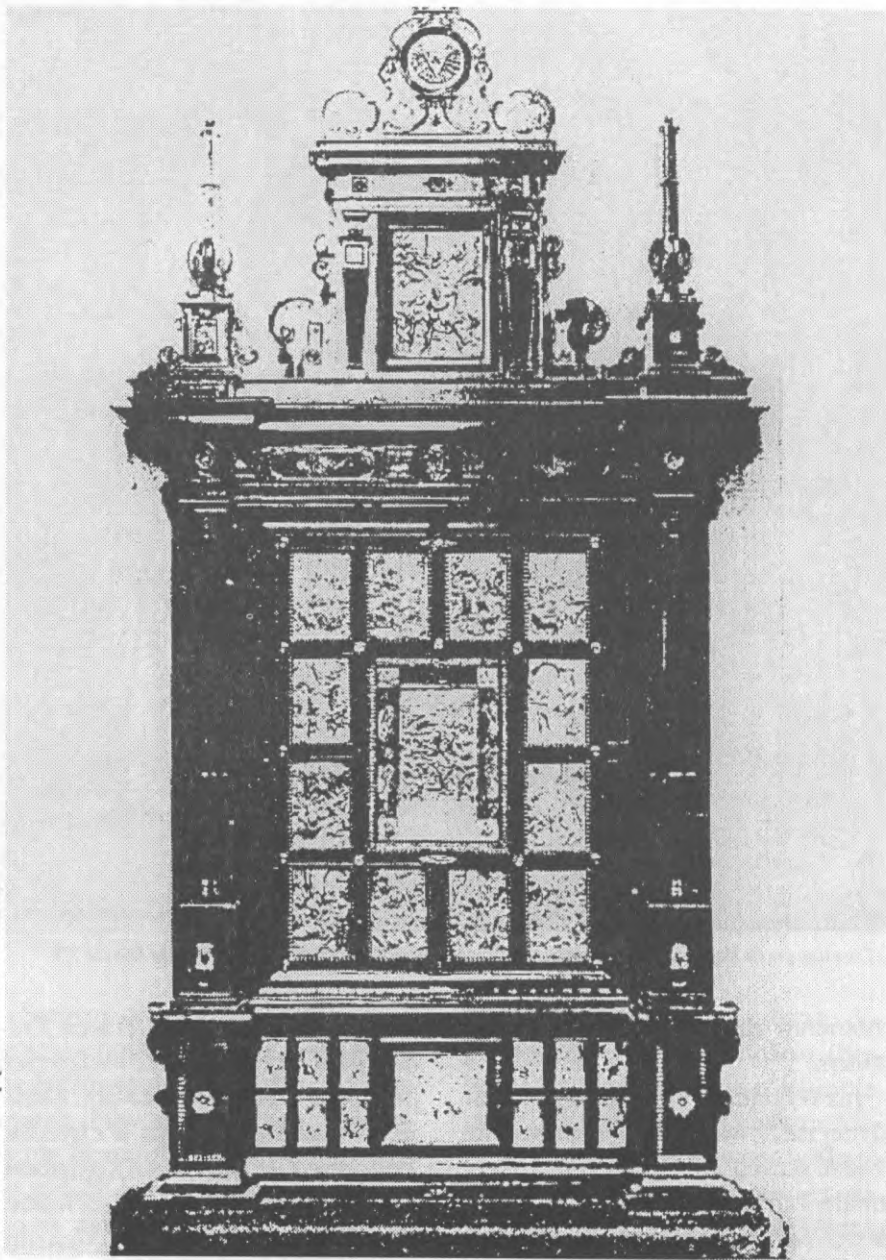
Nazwa *bezwonica* przeciwstawia ten gatunek fiołkowi wonnemu – fiołek leśny rzeczywiście nie pachnie. Utworzono ten wyraz od wyrażenia przyimkowego *bez woni* przyrostkiem *-ica*, tym samym, który posłużył również do utworzenia nazwy *pokutnica* (a także jednej z nazw przylaszczki: *przëlesnica*).

Sporadycznie spotykana w Wejherowskim *pokutnica* to nazwa metaforyczna, powstała w wyniku skojarzenia fioletowej barwy fiołków z taką samą – barwą szat liturgicznych Wielkiego Postu, dawniej też adwentu – okresów postu i pokuty. Nieco inne skojarzenia kulturowe legły u podstaw podobnie zbudowanej dawnej nazwy przylaszczki *pokórnica*, zapisanej przez Sychtę w Rębiechowie i Tokarach (IV 117); wyraz ten pierwotnie odnosił się zresztą chyba właśnie do fiołka, gdyż to on jest symbolem skromności i pokory (por. też pierwsze u Sychty znaczenie wyrazu *pokórnica*: ‘kobieta potulna, skromna, cicha’). Może jednak na powstanie tej nazwy miało wpływ przede wszystkim pewne dźwiękowe podobieństwo przymiotnika *potulny* do innej nazwy przylaszczki: *podleszczon*.

Dość duża liczba i różnorodność kaszubskich nazw fiołków (zapożyczenia, nazwy rodzime nawiązujące do właściwości fiołków wprost lub metaforycznie) dobrze świadczą zarówno o znajomości tej rośliny przez Kaszubów, jak i ich nazwotwórczej pomysłowości. ■

Jolanta Nitkowska

PEREGRYNACJE DARŁOWSKIEGO OŁTARZA



Tak wyglądał do 1945 r. srebrny ołtarz

Od dwudziestu lat osiem płyt ze srebrnego ołtarza darłowskiego jest ozdobą stałej wystawy „Sztuka dawna Pomorza od XIV do XVIII w.” w salach Muzeum Pomorza Środkowe-

go w Słupsku. Wydawać by się mogło, że wszystko już o tym wiadomo. Nic więc dziwnego, że nieoczekiwana informacja z muzealnego archiwum w Darłowie kazała się przyjrzeć



Fot. Edward Wójciewicz

„Chrystus przed Kajfaszem” Hendricka Goltziusa. Rysunek wg miedziorytu Albrechta Dürera (?)

znanemu zabytkowi trochę innym okiem.

Jak wyglądał srebrny ołtarz? Na jedynej zachowanej starej ilustracji nie widać szczegółów. Cała konstrukcja miała 3 m szerokości i 1,5 m wysokości. Jak pisze Alicja Konarska: *Na cokole – predelli znajdowała się plakieta ze sceną Chrztu w Jordanie, po bokach, w dwóch rzędach – po sześć z każdej strony, mniejsze plakiety z przedstawieniami Apostołów. Na cokole opierała się część właściwa ołtarza z umieszczoną w centrum kom-*

pozycji płytą z Holdem Trzech Króli. Wokół niej ułożono 12 mniejszych prostokątów ze scenami z Pasji: Ostatnia wieczerza, Chrystus w Ogrójcu, Pojmanie, Chrystus przed Kajfaszem, Chrystus przed Pilatem, Biczowanie, Ukrzyżowanie, Ecce Homo, Niesienie Krzyża, Cierniem koronowanie, Złożenie do grobu, Wniebowstąpienie. W zwieńczeniu przedstawiono króla Dawida, grającego na harfie.

Muzeum Książąt Pomorskich w Darłowie udostępniło mi kopię niemieckiej publikacji z ubiegłego wie-

ku, na której uwieczniono wizerunek jednego z najpiękniejszych dzieł pomorskiej sztuki złotniczej, dziś już nie istniejącego XVI-wiecznego srebrnego ołtarza z kaplicy zamkowej. Jakież było moje zdziwienie, gdy w opisie tego bezcennego zabytku przeczytałam, że pierwowzorem dla twórcy ołtarza były – sztychy Albrechta Dürera.

Albrecht Dürer przeżywa dziś wielki renesans, uznawany jest nawet za nowoczesnego i „najbardziej filmowego” malarza odrodzenia. Moda na Dürera może przysporzyć jeszcze większej sławy pomorskiemu ołtarzowi. Badaczom pozostawiam ocenę, czy niemieccy autorzy starej muzealnej notatki nie mylą się co do pierwowzoru zabytku. Tymczasem prześledzimy pokrętną drogę darłowskiego ołtarza do Słupska. Darłowianie tak ją przedstawiają: *Srebrny Ołtarz powstał na zlecenie księcia Filipa II z rodu Gryfitów. Był on prawdopodobnie przeznaczony do Kaplicy Zamkowej w Szczecinie. Księżę Filip II (1573-1618) był wielkim miłośnikiem i mecenasem sztuki, wiele podróżował i utrzymywał kontakty z wybitnymi postaciami nauki i sztuki. W roku 1600 polecił szczecińskiemu złotnikowi – Johanowi Körverowi, pochodzącemu z Brunszwiku wykonanie srebrnego ołtarza. W jego skład miało wchodzić 27 srebrnych płytek, wykonanych w płytkim odlewie (do 1,5 cm) a następnie cyzelowanych. Za wzór graficzny posłużyły prace Hendricka Goltziusa z Haarlemu (1558-1617) z przedstawieniem Pasji Chrystusa, datowane na lata 1596-98). I w tym miejscu wypada dopisać, że według archiwalnej notatki, dzieło Goltziusa nie było oryginalne, wykorzystał on za wzór „Wielką Pasję” Albrechta Dürera. Ryciny Dürera na wiele pokoleń stały się wzorcami ikonograficznymi i sięganie po nie było czymś zupełnie naturalnym. „Wielka Pasja” – to seria miedziorytnicza powstała w latach 1507-1513 i równie sławna jak „Apokalipsa” tego twórcy. Oprócz niej genialny malarz stworzył jeszcze tzw. Małą Pasję i*

Zieloną Pasję (serię rysunków). Historia sztuki porównuje dziś obrazy Dürera do „zatrzymanego kadru filmowego”, z całą jego dramaturgią, przestrzenią i relacjami między „aktorami”. Jeżeli się dobrze przyjrzeć srebrnym plaketom z ołtarza darłowskiego, odnajdzie się w nich cechy filmowego zbliżenia. Alicja Konarska, kustosz zbiorów sztuki dawnej w słupskim muzeum ustaliła, że Goltzius swój cykl graficzny – „Pasja” dedykował kardynałowi Federico Borromeo w 1598 roku. Potem rysunki Goltziusa wziął na warsztat niezwykle utalentowany złotnik Johan Körver. Ten szczeciński złotnik nie dokończył dzieła. Zmarł w 1607 roku.

Księżę Filip II, aby go uhonoroować, polecił ostatnią, nie dokończoną płytkę (z przedstawieniem Ukrzyżowania) wmurować w płytę grobową artysty, w kościele Najświętszej Marii Panny w Szczecinie. Po śmierci Körvera księżę długo nie mógł znaleźć godnego kontynuatora ołtarza. Dopiero w 1610 r., za pośrednictwem patrycjusza augsburskiego – Hainhofera, zlecił dokończenie prac złotnikom augsburskim – Krzysztofowi i Zachariaszowi Lenckerom. Również oni nie dokończyli dzieła. Ołtarz skończył nie znany bliżej złotnik. Alicja Konarska przypuszcza, że tym, który doprowadził do końca prace nad srebrnym ołtarzem mógł być augsburski złotnik i medalier – Jan de Vos. Księżę Filip II zmarł nie zobaczywszy ostatecznego kształtu ołtarza. Dziedzic jego korony – księżę Bogusław XIV, ostatni Gryfita – także nie doczekał końca dzieła. Dopiero wdowa po nim – księżna Elżbieta doprowadziła przedsięwzięcie do finału – płyty srebrne zamontowano w hebanowej obudowie z malowanymi skrzydłami i ozdobiono alabastrowymi figurami. W roku 1639 księżna Elżbieta wybudowała kaplicę na zamku w Darłowie i tam umieściła ołtarz. Siedem lat później, już po śmierci księżnej ołtarz przeniesiono do kościoła farnego. Tam znajdował się aż do wybuchu II wojny światowej.



Srebrny „Chrystus przed Kajfaszem”

Srebrny ołtarz stał w darłowskim kościele ponad 280 lat. Kiedy II wojna światowa zaczęła wkraczać na Pomorze, zabytek rozebrano. Zapakowane skrupulatnie płyty złożono w sejfach banku w Sławnie. Hebanowa rama została w darłowskim Heimat Museum. Fala szabrowników, która po wyzwoleniu przeszła przez wszystkie miejscowości ziem odzyskanych, nie ominęła Sławna. Nieznani sprawcy okradli bankowe sejfy. Wraz z nie ujawnioną ich wartością zniknęły zabytkowe srebr-

ne płyty. Osiem z nich odkryto dopiero w 1954 roku w Zamościu. Okoliczności odnalezienia są równie niejasne, jak zaginięcia. Dyrektor Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku Mieczysław Jaroszewicz powiedział mi, iż dotarły do niego wieści, że jakaś część skradzionych płyt widziana była w Danii. Kto i na czyje zlecenie je tam wywiózł – pozostanie zagadką. Strata jest prawdopodobnie bezpowrotna. W słupskim muzeum można zobaczyć osiem ocalałych płyt.

Jolanta Węglarz

FASCYNUJĄCA KASKADA

Nazwy zmieniała jak rękawiczki. Najpierw było to Kleingansen, a kiedy w 1914 roku wybudowano tu elektrownię, nazwano ją Glambockwerk. Po II wojnie najpierw ochrzczono miejsce Gąskowem, by potem zmienić je na Gałąźnię Małą, ale nazwy tej rzadko kto używa. Największa elektrownia wodna na Słupi nazywana jest Gałęźnią Małą albo nadal Gąskowem. Od niej zaczyna się system hydroenergetyczny nazwany Kaskadą, a łączący trzy, następujące po sobie, elektrownie wodne w: Gałąźni, Strzegominie i Krzyni.

Tajemniczy projektant

Elektrownie wodne na Słupi są od lat obiektem fascynacji dr Elżbiety Florek z Instytutu Geografii słupskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Szczególnym sentymentem dr Florek darzy potężną Gałąźnię i ma po temu powody. – Słupia jest fascynującą rzeką – mówi dr Florek. – Czasami przypomina rzekę górską, ale ma ona bardzo równomierny odpływ roczny, powodzie prawie się nie zdarzają. Tajemnica zjawiska tkwi w tym, że dorzecze jest w 70 proc. porośnięte lasami, które akumulują nadmiar wody. Odcinek Słupi w środkowym biegu fascynuje dziś ogromną ilością wspaniałych rozwiązań technicznych, które na początku wieku wymyślił genialny, dziś nie znany z nazwiska autor projektu elektrowni. Oryginalność koncepcji polegała m.in. na tym, że obejmowała ona od razu trzy elektrownie i widać w niej doskonałą znajomość terenu. Nie ulega wątpliwości, że konstruktor musiał współpracować z równie wybitnym geologiem i geomorfologiem. Kiedy powstała elektrownia w Gałąźni, była najnowocześniejszym i największym obiektem w Niemczech, a trudności, jakie należało pokonać przy budowie, były niebywałe.

Woda płynąca pod prąd

Jezioro Głębokie leży w rynn timer przedłużeniem jest strumień, nazywany Młynówką, który dla konstruktora stał się bardzo ważny. W środkowym biegu Słupia tworzy ok. 23-kilometrowy łuk, którego cięciwą jest rymna Jeziora Głębokiego i dolina Młynówki. Autor koncepcji postanowił odciąć cały łuk, a wody Słupi skierować do jeziora, by je następnie 6-km kanałem wprowadzić do elektrowni w Gałąźni. – Koncepcja była niezwykle odważna – mówi dr Florek. – Przez odcięcie znacznego odcinka rzeki uzyskano w miejscu usytuowania elektrowni różnicę wysokości ok. 38 m. Projektując budowę węzła hydroenergetycznego autor założył, że dla zapewnienia odpowiedniej mocy trzeba będzie wykorzystać wody Słupi i rzeki Bytowej. Stąd w koncepcji, obok bardzo trudnego do zrealizowania kanału między Jeziorom Głębokim a Gałąźnią Małą, znalazł się projekt zapory na Słupi, poniżej ujścia Bytowej. Zapora ta piętrzy wody obu rzek na ok. 6 m, czego efektem jest odwrócenie biegu Słupi na odcinku 4 km oraz wprowadzenie wód do Jeziora Głębokiego, a dalej kanałem do elektrowni. Konstruktor rozwiązał mnóstwo problemów technicznych, jakie czyhały na wykonawców projektu. Ponieważ w 1913 r. Kraftwerk Glambocksee nie uzyskała zgody na realizację całego projektu, (bowiem Rzeszy potrzebne były pieniądze na zbrojenia, a nie na inwestycje wodne), nie zbudowano wówczas zapory na Słupi u ujścia Bytowej. Zmiana projektu wymusiła konieczność zbudowania jazu – 80 m. poniżej wlotu pięćsetmetrowego kanału, którym rzeki miały się kierować do Jeziora Głębokiego. Zbudowano na nim także jaz, który miał regulować stan wody między rzeką a jeziorem oraz

prędkość nurtu. W czasie wojny został on zniszczony i nigdy go nie odbudowano. Fascynujące w tym projekcie jest wspaniałe wykorzystanie możliwości terenu. Zadbano o środowisko naturalne – przy tak potężnej budowie nie zniszczono lasów, wykorzystywano tylko jedną drogę dojazdową. W projekcie były przepławki dla ryb i wózki, którymi miano przetransportowywać spławiane drewno przez jazy. W rzeczywistości już ich nie zamontowano.

Cud techniki

O budowie elektrowni Glambockwerk władze powiatu słupskiego zdecydowały w 1909 roku i przeznaczyły na nią 2 mln marek. Spółkę zarejestrowano rok później, a pierwszym szefem zarządu był pastor Tessendorf. Udziałowcami były urzędy powiatowe w Słupsku, Sławnie, Lęborku oraz słupski magistrat. W okolicznościowym referacie z 1932 roku, napisanym z okazji jubileuszu 25-lecia elektryfikacji powiatu słupskiego, przechowywanym w archiwach Zakładu Energetycznego, przeczytałam, że rozwój „białej energetyki” zawdzięczano silnemu lobby żydowskiemu i... bankom, które dały pieniądze na pierwsze projekty. W dokumentach można wyczytać, że inwestycja możliwa była dzięki uporowi nadinżyniera Kettnera (może to właśnie on był autorem koncepcji budowy elektrowni wodnych?) i landrata słupskiego dr. Brüniniga. Czy nazwiska inżynierów Gomborna i Schrödera związane są tylko z budową elektrowni w Gałąźni, czy dotyczą kilku innych inwestycji wodnych – tego ustalić nie zdołałam. Jedno jest pewne – pierwszy prąd z Gałąźni popłynął 29 maja 1914 roku, a więc prawie w przededniu I wojny światowej. Wojna, a zwłaszcza brak na Pomorzu węgla i nafty przyspieszyły rozwój elektrowni wodnych. Gałąźnia była inwestycją sztandarową. Choć zaczęła produkcję w 1914 roku, cały projekt został zrealizowany dopiero w 1923 roku. Do dziś podziw budzą potężne rurociągi stalowe z czasów, gdy jeszcze nie znano spawania – ani jeden nit „nie puścił” przez ponad 80 lat. Rewelacji technicznych jest tu więcej. W okolicznościowym artykule zamieszczonym w 1936 roku w „Unsere Pommerland”

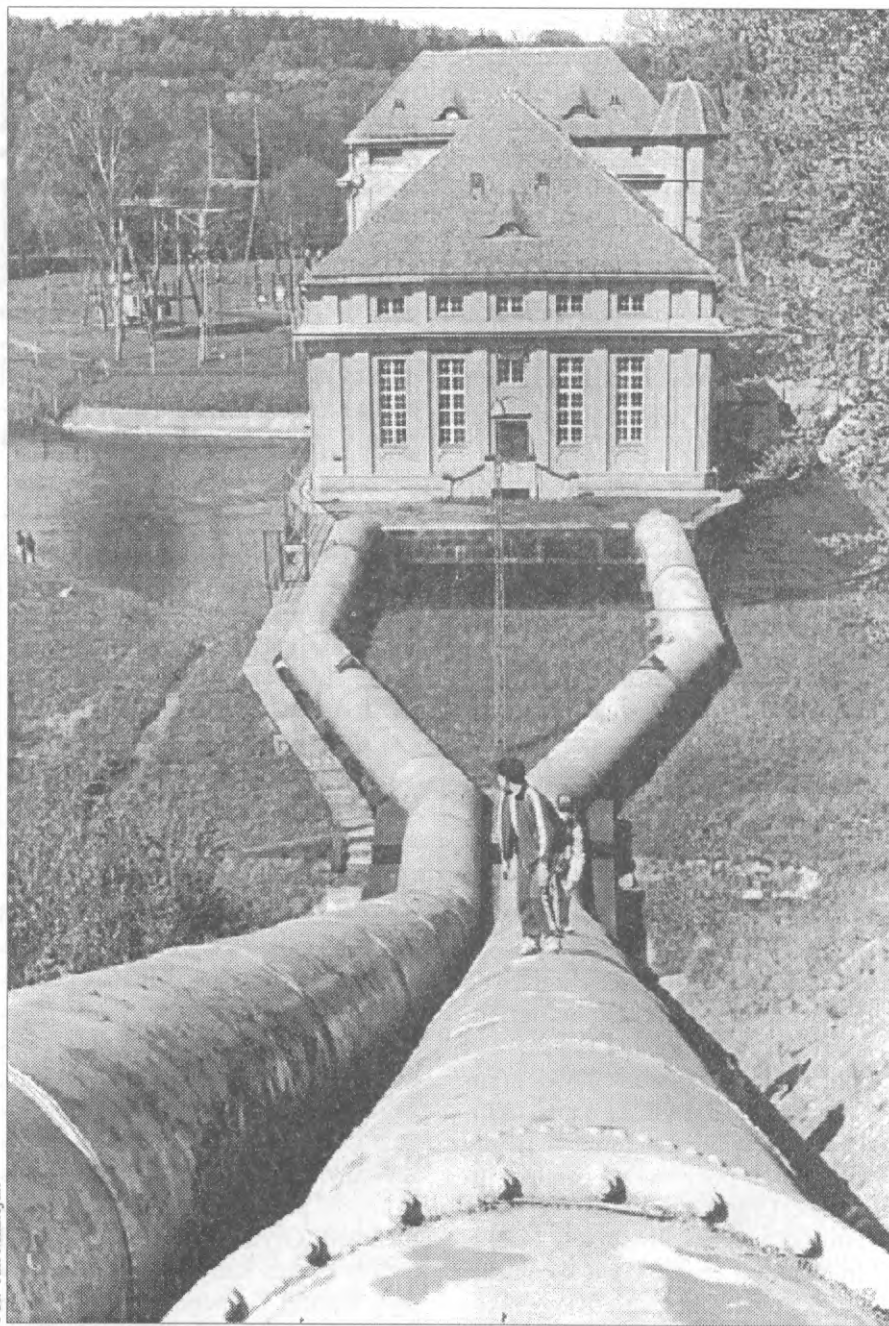
inż. Hugo Monseler zachwycił się cudem techniki, jakim był Glambockwerk: „po raz pierwszy podjęto ryzyko zastosowania ciśnieniowego rurociągu z betonu zbrojonego o długości 277 m i średnicy 1,9 m. Budowę elektrowni wykonano według projektu emerytowanego tajnego radcy Kocha z Berlina – Halensee”. Zdaniem dr Florek, kancelaria radcy berlińskiego jedynie firmowała wykonanie projektów, ale ich autorem był kto inny.

– Wielka inwestycja, jaką była w latach 20. Gałąźnia, miała jeszcze jedno ciekawe rozwiązanie – zbudowano od razu potężne, jednolite zaplecze: stajnie, budynki mieszkalne, pomieszczenia gospodarcze, a nawet boiska do gry – mówi dr Florek. Nad Jeziorem Głębokim powstała gęsta sieć ośrodków wypoczynkowych, po których dziś nie ma ani śladu! Poniżej Niepogłędzia na kanale zbudowano 7 mostów ułatwiających przejścia. W czasie wojny Rosjanie wysadzili je w powietrze. Ocalał tylko jeden. Takich szczegółów dałoby się wymienić więcej.

Latające pioruny

Elektrownia w Gałąźni zwolna obrasta historyjkami i anegdotami. Staruszką nigdy nie sprawiała kłopotów swoim pracownikom, ale przed laty zawsze straszyla ich podczas burz. Czesław Synogardzki, wieloletni pracownik elektrowni opowiadał mi, że podczas każdej burzy „piorun latał po hali”. Zdarzyło się nawet jednego razu, iż czterem kolegom kazał stanąć w narożnikach hali, bo „gdyby piorun strzelił, przynajmniej nie we wszystkich by trafił”. Elektrownia przestała „zbierać pioruny” w latach 70., kiedy zastosowano nowoczesne odgromniki. Anegdotą stały się także dziki sołtys Narlocha. Opowiedział mi o nich Edmund Hetman, który pracował w elektrowniach wodnych od 1949 roku.

– Wodę z kanału (aby go oczyścić) w latach 50. i 60. spuszczano najczęściej z soboty na niedzielę. Mieszkańcy Gałąźni przygotowywali sobie wówczas druciane kosze i wślizgi do kanału łapać leżące na dnie ryby. Kiedyś namówili na łowy sołtysa Narlocha, który był ich przeciwnikiem. Sołtys niechętnie wziął kosz i zszedł do kanału. Pech chciał, że tego dnia dziki zamierzały



Urok starej elektrowni

przepłynąć kanał, którym zawsze przepływały się z lasu na pola pegierowskie. Dziki nie wyczuły, że wody w kanale nie ma. Jak zwykle, z rozpędu wskoczyły do kanału i... znalazły się na dnie, obok oglupiałych ludzi zbierających ryby. Co młodszy zdążyli wspiąć się po 5-metrowych ścianach i zwiać. Sołtys Narloch, ponieważ był stary, nie dał racy uciec. Został na dnie z gromadą dzików. Oszałałe ze strachu zwierzęta zaczęły biegać po dnie kanału szukając wyjścia, sołtys bronił się przed nimi osłaniając się koszem na ryby. Ludzie zaalarmowali leśników, ale za-

nim ci przyszli ze strzelbami i dziki zabili, sołtys był mocno pokaleczony. Ledwo wyżył, a na wspomnienie ryb dośtawał białej gorączki.

Legendarne dęby

Gałąźnia Mała leży w jednym z najpiękniejszych miejsc Parku Krajobrazowego Dolina Słupi – wśród strumieni, pagórków, lasów i stawów. Piotr Konarski, pracownik parku i rzecznik wodnych, twierdzi, że jest to doskonałe miejsce na jednodniowe wycieczki.

Na górach Juliusza i Zamkowej odkryto ślady grodzisk wczesnośredniowiecznych. Do niedawna można było podziwiać nieduży pałac Zitzewitzów, którzy dzierżyli tę ziemię ponad 500 lat. W 1983 roku obiekt przestał istnieć, został natomiast zdziczały park, zwolna stający się lasem. Gigantyczne buki, świerki i daglezie sprawiają osobliwe wrażenie. Przy głównej alei nadal stoją dwa dęby pamiętające założyciela rodu Zitzewitzów – Jarisława (1360-1412). Nadano im legendarne imiona: Warcisława księcia pomorskiego i Sy-

donii, pięknej, tragicznej szlachcianki. Niedaleko elektrowni stanął w miejscu czas łaskawy dla nie zniszczonej przez ludzi przyrody. Trasy wycieczek zaproponowane przez Piotra Konarskiego, wśród wielu osobliwości przyrodniczych biegną także po ponad 200-letnim bruku, ułożonym z kolorowego granitu skandynawskiego. Każdy kilometr drogi przynosi zaskakujące uroki, a wszystko znajduje się tylko trzydzieści kilka kilometrów od Słupska i czeka na niespiesznego, uważnego turystę. ■

KAPLICZKA Z PUSTKOWIA LIPOWIEC

Na fotografiach w słońcu wczesnej jesieni 1997 r. utrwalała została kapliczka Matki Bożej Bolesnej, stojąca na granicy Lipowca i Borzestowskiej Huty, przy drodze Wygoda – Chmielno nad Jeziorem Raduńskim. Jak mówi wykuty w kamieniu kaszubski napis, ufundowano ją w 50. rocznicę II wojny światowej, a poświęcono pamięci ludzi Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”; zatem powstała w 1989 r.

Inicjatorem postawienia kapliczki-pomnika było Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie z Gdańska – Łączyńskiej Huty, a głównym fundatorem Gmina Chmielno i tamtejszy oddział ZKP. Miała przypominać, utrwalać pamięć o rzadko wymienianych bohaterach kaszubsko-pomorskiego ruchu oporu, także ludzi, którzy z narażeniem życia wspomagali, ukrywali i żywili członków tej najliczniejszej i najbardziej zakorzenionej w kaszubsko-pomorskiej tradycji pracy, trwania i walki – konspiracyjnej organizacji, jaką był „Gryf”.

W wygodzkiej parafii, której proboszczem od 1936 r. do śmierci w 1977 r. był niezapomniany ks. Zygmunt Poćwiardowski, działało jedno z silniejszych ogniw „Gryfa”. W zagrodzie Tempkich w Borzestowskiej Hucie –

na wybudowaniu zlokalizowany był od 1943 r. jeden z głównych bunkrów – centrów dowodzenia, do końca nie wykryty przez hitlerowców, mimo nieustannych penetracji gestapo, m.in. Hansa Kassnera vel J. Kaszubowskiego, zabójcy komendanta „Gryfa” por. Józefa Dambka. W bunkrze tym, utrzymywanym przez Tempkich, przebywali często poza Dambkiem, m.in. komendant „Gryfa” Aleksander Arendt i ostatni prezes Rady Naczelnej Augustyn Westfal. Komendantem gminnym „Gryfa” w tej okolicy był m.in. Alfons Pryczkowski, a powiatowym Brunon Bigus, kurierką i łączniczką Komendy Naczelnej Agnieszka Tempka (po wojnie Pryczkowska) obok Jadwigi z Połockich Szukalskiej, ps. Swoboda. Dzięki cichemu bohaterstwu rodziny Tempkich i innych Kaszubów znad Jeziora Raduńskiego, siedziba dowództwa „Gryfa Pomorskiego” pozostała nie wykryta przez Niemców do końca wojny.

Chcieliśmy wspomnianą kapliczkę postawić przy drodze, na gruncie właśnie Tempkich. Jednakże gospodarze – synowie i córki, mieszkający na ojcowiznie – decyzję pozostawili matce. Ona pamiętając lata wojny i okrucień-

stwa hitlerowców, wbrew naszym oczekiwaniom i zainteresowaniom dzieci, powiedziała: „Nie, bo jakbądź tu Niemce jesz róż przeszędł, to bę nōs wszędzich zastrzēlēt!”. Nie pomogły żadne perswazje. Wspomnienia tragicznych doświadczeń okupacji były jeszcze kilka lat temu zbyt silne. Uszanowaliśmy tę postawę. Przyjeśliśmy jako swoiste memento. Kapliczka stanęła w sąsiedztwie ziem Tempkich, na skraju borzestowskiego lasu i pół rodziny z Lipowca. Mieszkańcy Łączyńskiej i Borzestowskiej Huty od początku mocno wsparli władze Gminy Chmielno oraz ZKP, by pomnik stał się faktem, a uroczystość jego poświęcenia przeszła do historii. Tak się stało, aktu poświęcenia 30 września 1989 r. z udziałem licznych mieszkańców, „Gryfowców” i gości dokonał ks. bp. Marian Przykucki. Po mszy św. i uroczystości gospodynie z obu Hut godnie przyjęły wówczas gości w szkole w Łączyńskiej Hucie.

Wykonawcą kapliczki jest Witold Bobrowski. Od początku zauważono, że napis na postumencie jest mało czytelny, wymagający albo pogłębienia rzeźby, albo malunku liter. Lata mijały, napisu nie poprawiono. Jedynie władze gminy po kilku latach zafundowały nie przewidziane początkowo ogrodzenie. Dopiero w ubiegłym roku zdarzyła się niespodzianka. Napis stał się czytelny dzięki spontanicznej reakcji Romana Bielaka, kiedyś członka klubu „Pomorania” i pracownika UG, potem obywatela Koszalina, a od lat znowu Gdańska, przebywającego od kilku lat częściej nad Jeziorem Raduńskim (jako posiadacz działki rekreacyjnej w Zaworach). Załączone do noworocznych życzeń fotografie kapliczki z pamiętnika, podobnie jak on sam, niech przypominają nam wszystkich ludzi „Gryfa” i dokonania na rzecz pokoju. Niech tej pamięci towarzyszy wdzięczność dla tych, którzy podobnie jak Roman Bielak czują się owych znaków pamięci współgospodarzami i opiekunami. A może inni pójdą jego śladem, zadbają o inne pomniczki – o napisy, kwiatki, choćby borzestowscy uczniowie, i ich szkolni, mający na co dzień kontakt z pomnikiem wspaniałego opiekuna kaszubsko-pomorskiej młodzieży, nie tylko gdańskich harcerzy, młodokaszuby dr. Franciszka Kręckiego z Gdańska, ale rodem z Borzestowa!?

J.B.

ZŁOTY JUBILEUSZ I WSPOMNIENIA KS. KAZIMIERZA ZWOLENKIEWICZA



1 lutego br. trzech kapłani diecezji pelplińskiej, księża kanonicy: Alfons Gajdus, Stanisław Pepliński i Kazimierz Zwolenkiewicz, obchody swojego złotego jubileuszu kapłaństwa rozpoczęli mszą świętą koncelebrowaną w bazylice katedralnej, której przewodniczył biskup diecezjalny Jan Bernard Szłaga. 50 lat temu w tej świątyni sakrament kapłaństwa przyjęło ich 15, dziś żyje pięciu; poza przywołaną trójką, ks. Bernard Pokojński (diecezja elbląska) i ks. Ludwik Chyliński (diecezja toruńska). W gronie piętnastu był m.in. ks. Józef Brunka (1917-1988), zmarły w Płużnicy i ks. Paweł Dykier (1917-1978), budowniczy kościoła św. Michała w Sopocie. Wszystkich przypomniał „Pielgrzym” w nr. 2 br. Szerzej przypominano tam – wspomnieniem ks. S. Grunta – sylwetkę zmarłego 40 dni przed złotym jubileuszem ks. radcy Józefa Gutowskiego, emeryto-

wanego proboszcza z Sumina k. Starogardu.

Ks. inf. S. Grunt w kolejnym numerze „Pielgrzyma” przypomniał drogę kapłańską swego wujka, ks. A. Gajdusa, pochodzącego z Nowej Cerkwi k. Pelplina, jego doświadczenia wojenne, przymusowe roboty w Niemczech i na Ukrainie, radziecki łagier oraz studia w Pelplinie, które przerwała okupacja hitlerowska. Po święceniach ks. A. Gajdus pracował w Lubawie, Chełmży i jako proboszcz w Rożentalu na ziemi lubawskiej, gdzie opiekował się parafią i tamtejszą wspaniałą drewnianą świątynią; dziś jako emeryt mieszka nadal w Rożentalu.

W nr. 4 „Pielgrzyma” jego redaktor naczelny Stanisław T. Pestka w tekście „Ze Szlachty” króciutko zrelacjonował życie ks. kan. S. Peplińskiego, przez 45 lat proboszcza w tej pięknej wsi na pograniczu Borów Tucholskich i Kociewia, równie tragicznie doświadczonego wojną jak ks. A. Gajdus. Jako członek TOW „Gryf Pomorski” i wiezień Stutthofu po wojnie, w 1949 r. ks. Pepliński przeszedł jeszcze raz więzienie – UB w Bydgoszczy.

Znany jest jako dumny Kaszuba, sympatyk „Pomeranii” i przede wszystkim wspaniały kapłan oddany parafii, gminie Osieczna i diecezji. Znana też jest wręcz niespotykana gdzie indziej jego i Szlachty ofiarność na rzecz KUL oraz to, iż parafia ta ma najwięcej, proporcjonalnie do mieszkańców, czytelników „Pielgrzyma”.

Wszyscy trzech kanonicy diecezji pelplińskiej przeżyli młodość w latach II Rzeczypospolitej i okupacji hitlerowskiej, a ich kapłańskie posługiwanie przypadło na powojenne półwiecze realnego socjalizmu i pierwsze lata nowej rzeczywistości. Niejednokrotnie

byli namawiani do spisania swoich wspomnień, stworzenia dokumentu dziejów własnego życia i naszego regionu. Jak dotąd uczynił to ks. K. Zwolenkiewicz.

W dniu jubileuszu, w czasie spotkania w refektarzu seminaryjnym dziękując zebranym, mógł ks. Zwolenkiewicz podarować gościom swoje „Wspomnienia”, wydane jakby na tę okazję (ale to efekt długiego czekania na druk) przez Wydawnictwo Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”. Ta niewielka objętościowo, ale bardzo interesująca i sympatyczna książka, w pełni oddaje osobowość autora, urodzonego w 1914 r. w Wymysłowie Szlacheckim w pow. Mogilno, od 1930 r., kiedy to rodzina zamieszkała w Gdyni, Pomorzanina. Ten absolwent gdyńskiego gimnazjum z 1936 r. studiował teologię w Pelplinie, a następnie w Łucku (1937-39). Wybuch wojny zastał go w Gdyni. Po roku ukrywania się został zatrzymany i skierowany na roboty przymusowe do bauera koło Bremy. Stamtąd uciekł do Gdyni Małego Kacka, gdzie pracował jako organista i katecheta; był również zaangażowany w ruch oporu. Aresztowany ponownie jesienią 1942 r., osadzony został w Stutthofie. W czasie „marszu śmierci” udało mu się zbiec i dotrzeć do Gdyni, gdzie w nietypowych okolicznościach został wójtem Orłowa. Ukończywszy studia w Pelplinie jako kapłan, m.in. administrator Gostkowa koło Torunia (1949-1959), był szykanowany przez władze PRL. Po jednym z wyroków w 1959 r. karę 6 miesięcy więzienia odbył w Toruniu i na Helu – przy budowie dróg i kanalizacji w obiektach Marynarki Wojennej. Po odzyskaniu wolności na żądanie władz musiał opuścić Gostkowo. W 1960 r. został proboszczem w Królów Lesie niedaleko Gniewu, gdzie pracował do 1988 r. W latach 1970-1996 był dyrektorem Wydziału Spraw Organistowskich w kurii biskupiej w Pelplinie i sekretarzem Studium Organistowskiego. Po 28 latach duszpasterzowania, trudów remontowania i budowania w Królów Lesie, przy jednoczesnej pracy w kurii, zamieszkał w Pelplinie, gdzie w 1996 r. przeszedł na emeryturę. Pierwsze miesiące emeryckiej wolności zaowocowały spisaniem wspomnień. Ten nowy dokument pamiętnikarstwa pomorskiego stanowi, mam

nadzieję, początek nowej serii wydawniczej „Bernardinum”. Pamiętnikarstwo pomorskie, choć w ostatnim ćwierćwieczu bardzo się wzbogaciło, wciąż jest w naszym regionie dziedziną niedostatecznie uprawianą. Nie jest to pierwsza książka wspomnieniowa wydana przez „Bernardinum”. Jednakże wydawnictwo to mogłoby podjąć się roli swoistego mecenatu nad autorami pamiętników pomorskich. Już dziś na druk oczekują rękopisy, a potencjal-

ni autorzy, mając dobry przykład ks. K. Zwolenkiewicza, mogą uznać, iż ich trudy nie pójdą na marne. Wśród potencjalnych autorów są obydwaj kursorowi koledzy ks. K. Zwolenkiewicza. Na ich memuary czekają czytelnicy i, jak wiem, czeka również Wydawnictwo „Bernardinum”, podejmujące coraz częściej trud edytorski dzieł z szeroko pojętej humanistyki, wzbogacające dziedzictwo chrześcijańskiej kultury Pomorza. **J.B.**

Bernard Konarski

W TORUNIU – „LECH”

Skąd się wziął sterowiec „Lech” w Toruniu? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się w czasie. Pierwszy lot „Lecha” odbył się nad Toruniem w sierpniu 1922 roku. Głównym pilotem był płk Bołsunowski, a towarzyszyli mu kapitan Bilek i podporucznik Burzyński. Lot na wysokości 500 metrów trwał dwie i pół godziny i wywołał ogromne zaciekawienie mieszkańców, którzy w większości nie znali takich statków powietrznych.

Od 1919 roku w Poznaniu istniała Oficerska Szkoła Aeronautyczna. Jej komendantem był płk Feliks Bołsunowski, wywodzący się z carskiej armii. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej służył jako podporucznik saperów, następnie przeszedł do wojsk balonowych. Po ukończeniu szkoły w Carskim Siole koło Petersburga, został dowódcą oddziałów balonowych w czasie I wojny światowej. Po wojnie zgłosił się do tworzącej się Armii Polskiej. W 1921 roku Oficerska Szkoła Aeronautyczna została przeniesiona do Torunia, do koszar mieszczących się przy ul. Mickiewicza. Tak zwane koszary balonowe mieściły oprócz szkoły także batalion balonowy, część kwater oficerskich i podoficerskich oraz kasyna. Około 400 metrów za nimi na dużej polanie stał hangar sterowcowy z budynkami zaplecza technicznego. W nim odbywały się zajęcia praktyczne słuchaczy szkoły. Rekrutowali się oni z ofi-

cerów innych rodzajów broni. Nauka trwała rok. Dowódcą baonu balonowego był w tym czasie mjr Jan Wolszlegier, wywodzący się z armii niemieckiej.

Na początku 1922 roku do Torunia przywieziono zapakowany w skrzyniach sterowiec ciśnieniowy firmy Zodiac o pojemności 3150 m sześć., zakupiony z demobilu francuskiego. Zbudowany w latach 1917-1918, do końca I wojny światowej służył do konwojowania transportów morskich przez Morze Śródziemne, między Tulonem a portami Afryki Północnej. Uzbrojony w kilka bomb osłaniał statki transportowe przed atakami okrętów podwodnych.

Sterowiec sprowadzono, ale z braku pieniędzy zrezygnowano z francuskiego instruktora. Plany i instrukcje sterowca, któremu nadano nazwę Lech, były w języku francuskim. Komendantem „Lecha” mianowano kapitana Sławomira Bilka, a do załogi włączono podporucznika Zbigniewa Burzyńskiego, znającego język francuski. Zabrano się do montażu. Po kilku miesiącach sterowiec był gotowy do lotu. Jego długość wynosiła 50 metrów. Gondola mogła pomieścić sześć osób, w tym trzech członków załogi (dwóch pilotów i jednego mechanika). Dwa silniki po 80 KM chłodzone powietrzem, pozwalały rozwinąć prędkość około 60 km na godzinę, a zasięg lotu wynosił 6

godzin. Po próbnym locie do końca roku wykonano jeszcze 11. Na okres zimowy sterowiec został zdemontowany. Gaz z „Lecha” wykorzystano do balonów kulistych. W 1923 roku latano na „Lechu” od maja, najczęściej w nocy, między innymi wzdłuż Wisły, którą wykorzystywano dla zarzucenia kotwicy wodnej – worka brezentowego spuszczanego ze sterowca na linie. Napełniony wodą tworzył rodzaj kotwicy. Odkotwiczenie następowało po wylaniu z worka wody. W ciągu następnych sezonów letnich wykonywano też loty do portów balonowych w Winiarach i w Legionowie, skąd latano nad Poznań i Warszawę.

W 1926 roku „Lech” stał już na uwięzi, używany był jeszcze do ćwiczeń balonowych i artyleryjskich. W tym samym roku zapadła decyzja o jego skasowaniu. Z powłoki zrobiono pięć dużych namiotów, a silniki i gondolę złomowano.

Pułkownik Feliks Bołsunowski przeniesiony został na emeryturę w 1929 roku. W kilka miesięcy potem, odsunięty od pracy w umiłowanym baloniarstwie, zmarł, nie przekroczywszy pięćdziesięciu lat.

Kapitan Zbigniew Burzyński, urodzony w 1902 roku w Żulkwi, stał się z czasem sławnym pilotem balonowym. Dwukrotnie zdobył puchar Gordon Bennet – w 1933 roku z Franciszkiem Hynkiem w Chicago i w 1935 z N. Wysocim w Warszawie. W latach 1935-36 ustanowił trzy rekordy międzynarodowe, rekord wysokości – 10 853 metry na balonie „Warszawa II”. Brał udział w kampanii wrześniowej w 1939 roku. Wojnę spędził w niemieckich oflagach. W 1956 roku powrócił do sportu balonowego, w 1960 roku odbył setny lot balonem. Zmarł w 1971 roku.

Podpułkownik Jan Tadeusz Wolszlegier urodził się w 1891 roku. Był dowódcą batalionu balonowego w Poznaniu i Toruniu w latach 1919-1934, następnie w latach 1934-1939 szefem wydziału balonów w dowództwie wojsk lotniczych Ministerstwa Spraw Wojskowych. Po kampanii wrześniowej internowany do 1945 roku na Węgrzech. Po wojnie urzędnik PNZ, a następnie PGR w Koszalinie, Ostrową w Szczecińskim i Jaroszewo w dawnym pow. poznańskim. Zmarł 1959 roku w Śmiglu woj. poznańskie. ■

Rozmaitości Adama Pawlaka

Wspomnienia kresowian

W Muzeum Etnograficznym w Gdańsku Oliwie do końca sierpnia czynna będzie wystawa „Co kryły walizki »repatriantów«?”. Scenariusz wystawy przygotowała Wiktoria Blacharska, a jej aranżację Hanna Błaszowska-Gregor.

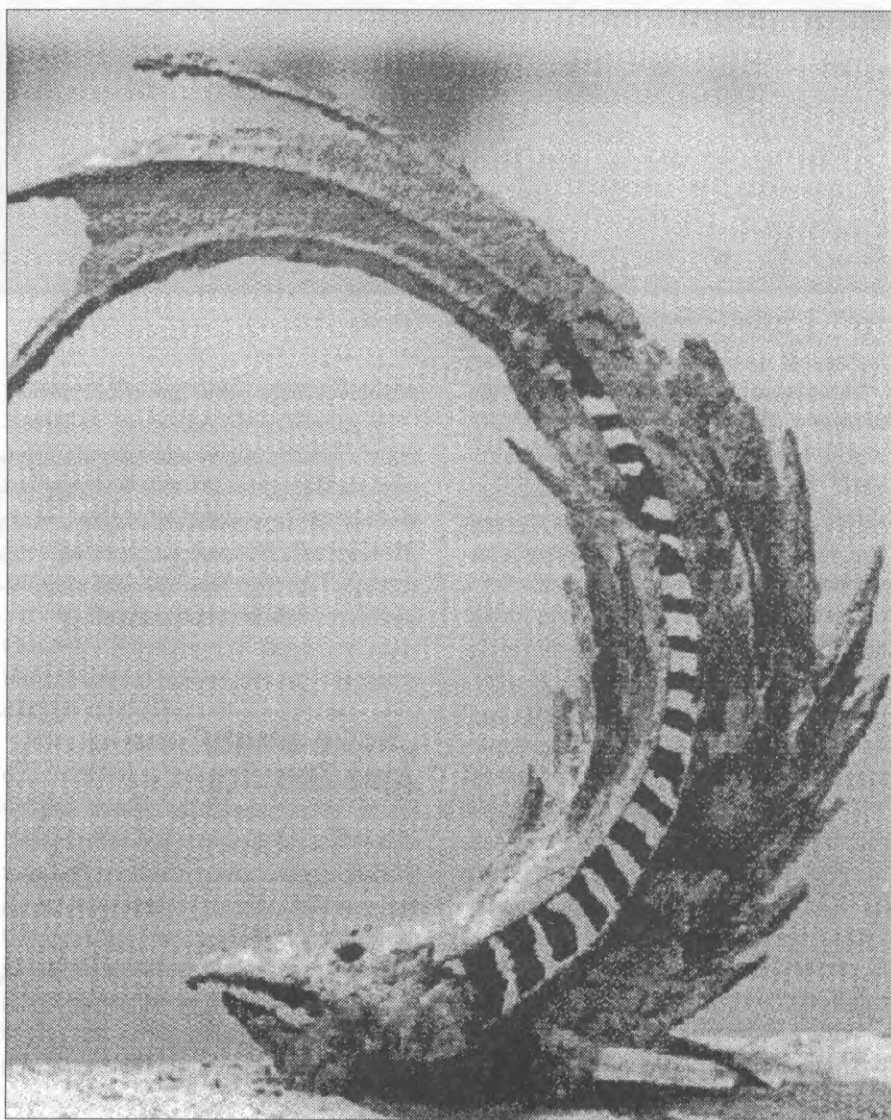
Ekspozycja składa się z autentycznych walizek, kuferków, plecaków i toreb oraz ich zawartości z czasów repatriacji.

Ożywiają one wspomnienia kresowian-Polaków, żyjących do 1945 roku za Bugiem. Wystawa nie pokazuje w pełni ich losów, a tylko fragmenty życia. Przesiedleńcy wieźli ze sobą kilimy, samowary, maszyny do szycia, żelazka, nawet makutry, manekiny, książki i mnóstwo zdjęć (portrety rodzinne, fotografie okolicznościowe i inne), czyli przedmioty niemal codziennego użytku. Zgromadzenie ich na wystawie nie nuży widza, ponieważ ekspozycja została interesująco zaaranżowana. Poza walorem dokumentacyjnym ma również pewną wartość estetyczną i, szerzej rzecz ujmując, spełnia funkcję kulturową. Jest ona ciekawym, co prawda niepełnym, obrazem obyczajów, zwyczajów, stylu życia i ról, jakie pełnili nasi rodacy na Kresach Wschodnich. Na pewno wystawa ta będzie wzruszać i przywoływać sentymentalne emocje, nawet nostalgię u osób pozbawionych rodzinnej ziemi w rezultacie decyzji podjętych w Jalcie.

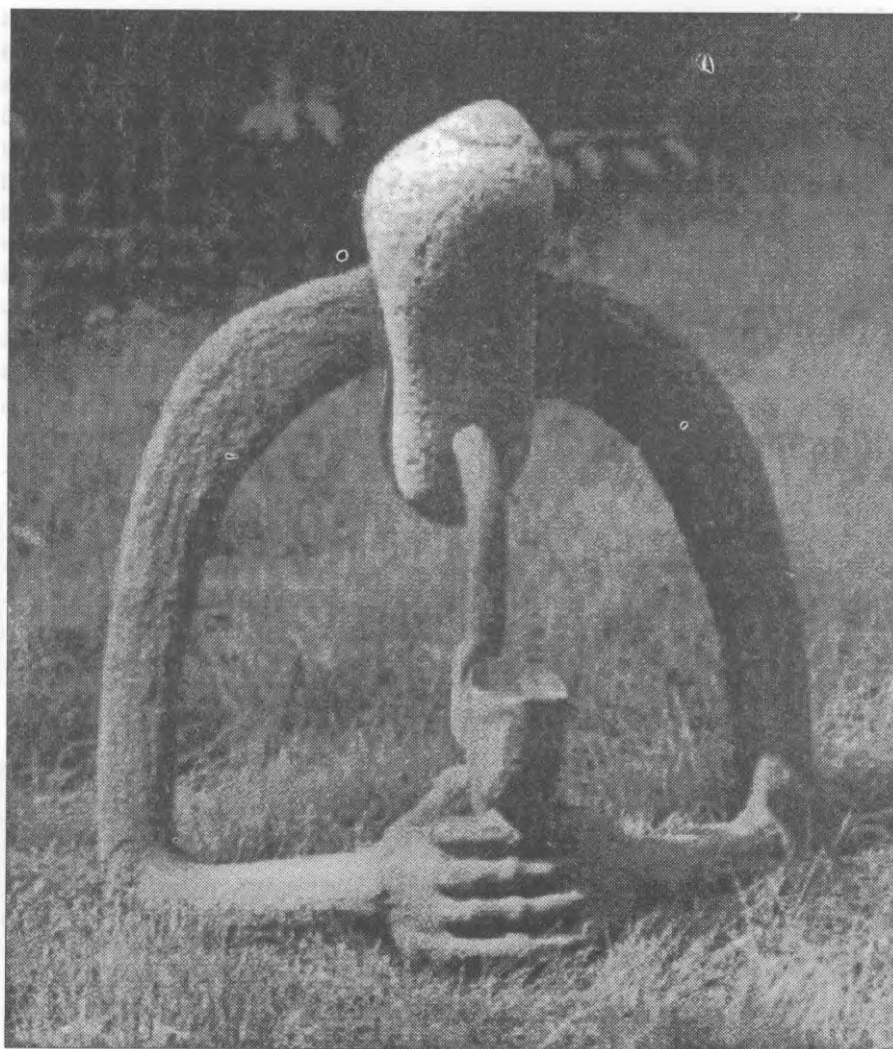
Sztuka Bolesława Chromego w Gdańsku

W kwietniu, w siedzibie galerii sztuki „Top Art” w Gdańsku otwarto wystawę rzeźby, malarstwa i rysunku Bronisława Chromego, ucznia Xawerego Dunikowskiego i profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jest to jego pierwszy pokaz indywidualny w Gdańsku. Na pierwszy rzut oka widać, że artyście nieobce są tradycyjne wartości estetyczne, to znaczy oparte na kategorii piękna. Nie oznacza to, że Bronisław Chromy proponuje odbiorcom sztukę akademicką, nie odpowiadającą współczesnym horyzontom estetycznym. Artysta tworzy dzieła, w których łatwo można dostrzec współistnienie elementów tradycji i nowej ekspresji.

Tradycja, to przede wszystkim solidna znajomość warsztatu, dbanie o rzetelność przy realizacji dzieła, szczególnie uwrażliwienie na piękno. Warto przy tym podkreślić, iż „W wypadku Bronisława Chromego można chyba założyć, że pomnażając ilość piękna wokół siebie artysta pomnaża tym samym ilość istniejącego w świecie dobra”. Powyższe zdanie, wypowiedziane przez znanego krytyka Jerzego Madejskiego, przypomina o tym, iż w twórczości Bronisława Chromego aktualna jest platońska jednia trzech wartości: piękna, dobra i prawdy. Wobec kryzysu wartości w sztuce współczesnej przyjęcie takiej postawy (i nieuleganie urokom nowatorstwa za wszelką cenę) wymaga nie tylko odwagi. Wymaga cierpliwości w poszukiwaniu istoty sztuki i w dążeniu głębiej tych treści, które są ważne w życiu artysty.



Rzeźba Bolesława Chromego



Rzeźba Bolesława Chromego. Fotografie z katalogu wystawy

Oglądając eksponowane rysunki, akwarele i rzeźby spostrzegamy klarowność ich formy i koloru, powściągliwość i pogodę. W pracach rzeźbiarskich, bardzo kameralnych, widoczna jest dbałość o piękno linii i przywiązanie wagi do tworzywa. Chromy częściej podporządkowuje własną wizję formy naturze materiału, niż działa niezależnie od naturalnych właściwości tworzywa. Można powiedzieć, że mistrz całkowicie panując nad materiałem, dopuszcza również do głosu naturę tworzywa. W ten sposób likwiduje kontrast między naturą tworzywa i własnym zamysłem twórczym. Prezentowane rzeźby są jednoznaczne i przedstawiającymi formami. Jednakże nie naśladują one wprost ziemskich stworów fauny i flory. Wydaje się też, iż autor szuka w naturze głównie natchnienia, a nie wzorców, chociaż głębokie odczuwanie jej stanów i fenomenów nie pozwala mu na całkowite wyzwolenie się z

realistycznego ujmowania kształtów.

W zakończeniu odnotuję, że Bronisław Chromy nigdy nie ulega zmienianym modom, kroczy własną drogą, pozostaje wierny własnym artystycznym ideałom, słucha swojego głosu wewnętrznego i dlatego jego styl jest niepowtarzalny i łatwo rozpoznawalny.

„Nowe obrazy” Jana Tarasina

W Galerii Pałacowej Muzeum Narodowego w Gdańsku czynna jest wystawa malarstwa wybitnego artysty Jana Tarasina. Prezentowane obrazy olejne są rezultatem twórczej pracy ostatnich lat (przeważnie z 1997 r.).

Jan Tarasin należy do najstarszych malarzy pokolenia powojennego i swoją osobowość artystyczną kształtował

pod kierunkiem takich mistrzów, jak Zbigniew Pronaszko i Wacław Taranczewski. Jego sztuka nie nawiązuje wprost do polskiej tradycji przedwojennego koloryzmu, ale pewien jej wpływ można dostrzec szczególnie we wczesnych martwych naturach, które charakteryzują się wyrafinowaną kolorystyką, a jednocześnie aluzyjnością form i warsztatową rzetelnością. Jednakże zaliczenie Tarasina do nurtu polskiego postimpresjonizmu byłoby błędem, chociażby dlatego, iż nie maluje on stosunków zachodzących między barwami, a tylko przedmioty i dynamiczne relacje między nimi. W miarę rozwoju jego twórczości formy stawały się coraz bardziej abstrakcyjne, mimo że zachowały pewne cechy fizykalnych przedmiotów. Z czasem owe „przedmioty” artysta przekształcił w znaki. Najnowsze obrazy są, w estetycznym sensie, kontynuacją malarstwa Jana Tarasina z lat sześćdziesiątych. Artysta na swoich płótnach coraz wyraźniej przedstawia grę, która toczy się między znakami reprezentującymi wyabstrahowane przedmioty. Ta gra polega głównie na pokazywaniu zmienności kierunków napięć, różnorodności kształtów i wymiarów znaków, na odpowiednim rozmieszczeniu na płaszczyźnie płótna oszczędnej gamy kolorów. Znaki stają się jakby odległym wspomnieniem przedmiotów stanowiących element większej i, w jakiś sposób, zorganizowanej całości. Wydaje się, że kompozycje Jana Tarasina mają, zgodnie z zamierzeniem autora, pokazywać współzależności występujące pomiędzy jej elementami, odzwierciedlającymi ruch i nie do końca określoną dynamikę świata. Ujawnić pewien ciąg zdarzeń – szeroki diapazon relacji, poczynając od statycznych, a kończąc na „chaotycznych”, to znaczy przypadkowych, nie w pełni określonych – oto bodaj najbardziej istotny cel jego artystycznych działań. Jan Tarasin, uważny i inteligentny obserwator natury, spostrzegł, iż najważniejszą cechą otaczającej go rzeczywistości jest dynamizm, nieskończone możliwości dokonywania różnorodnych zmian i właśnie chce oswoić z tym zjawiskiem siebie i nas.

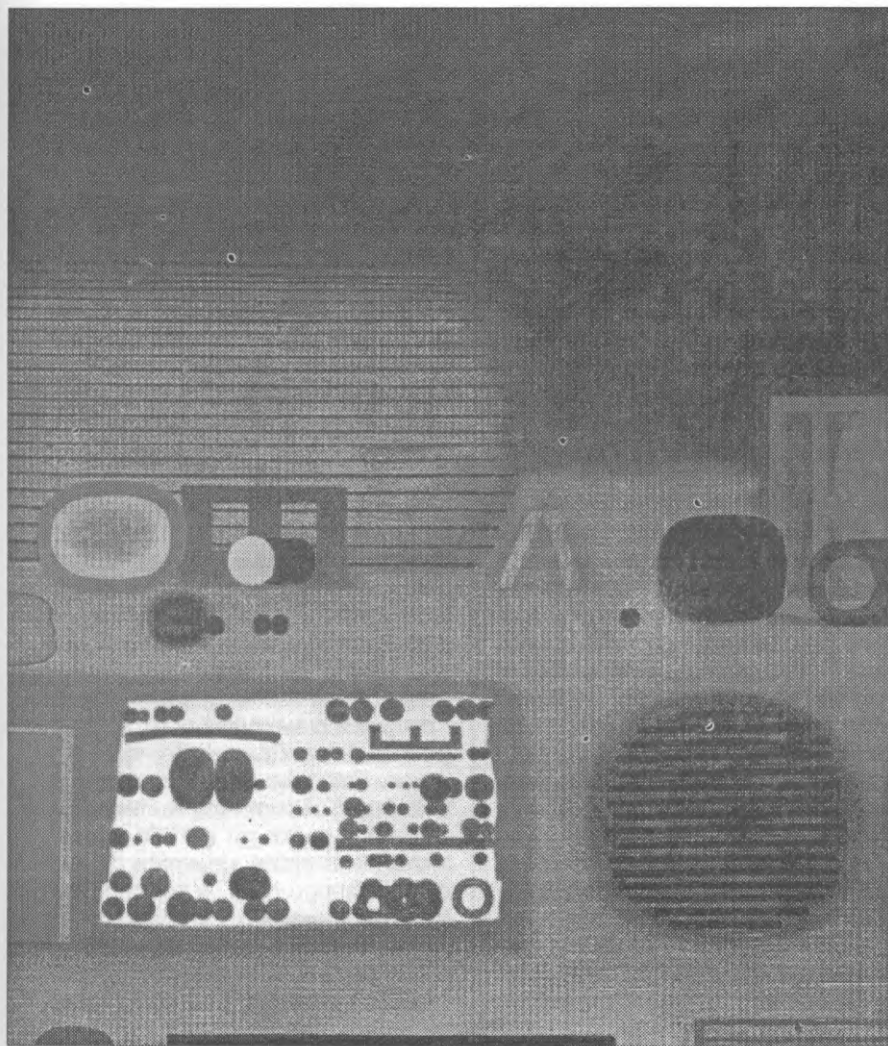
Ważną rolę w jego malarstwie odgrywa kolor. Artysta z rozmysłem nadaje barwie różne funkcje; raz pełni tylko rolę tła, innym razem jest regulatorem

EDWARD BREZA

KSIEGA NAZWISK
ZIEMI GDAŃSKIEJ

W latach 1992-1994 prof. K. Rymut, dyrektor Instytutu Języka Polskiego w Krakowie opublikował 10-tomowy „Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych”. Słownik, opracowany na podstawie peseli obywateli polskich, wykazuje występowanie konkretnych nazwisk w poszczególnych województwach według stanu z 1990 roku. Dla badań nazwisk jest to publikacja ciekawa, bo orientuje badacza, gdzie poszczególne nazwiska występują. Dawniej zmuszony był szukać takich wiadomości (z konieczności wrywkowych) w książkach telefonicznych. Z publikacji dowiemy się np., że *Wybickich* w kraju jest 15, z tego 2 w woj. ciechanowskim, a 13 w woj. poznańskim (pewno to potomkowie Józefa z majątku Manieczki w pow. śremskim), że wymarli (przynajmniej w linii męskiej) szlacheckie rodziny *Knibawskich* z *Knibawy* w Tczewskim, *Kczewskich* z *Kczewa* i *Pępowskich* z *Pępowa* w Kartuskiem, tak często występujące w źródłach historycznych.

Słownik Rymuta ma jednak także wady. Nie znalazłem w nim nazwisk: *Łajming*, *Krzoska*, tak często poświadczonych w księgach kościelnych par. *Wiele* i *Brusy*, dziś występującego w wielu wsiach pomorskich, *Laska* (w życiu spotkałem ok. 50 osób o tym nazwisku), dało ono początek wybudo-



Fragment obrazu Jana Tarasina

natężeń relacji zachodzących pomiędzy znakami, a kiedy indziej sama stanowi o nowym rodzaju oddziaływań. Można przeto powiedzieć, że sztuka Jana Tarasina podobnie jak wszechświat jest ciągle procesem rodzącym nowe zjawiska. Atoli ich istota pozostaje niezmienna.

Poza malarstwem, artysta uprawia rysunek i grafikę, jest także autorem wielu esejów o sztuce.

Wystawa pośmiertna

Pierwsza pośmiertna wystawa grafik wybitnego gdańskiego artysty – Ryszarda Stryjca została zorganizowana przez Muzeum Narodowe w Gdańsku. W Galerii Pałacowej pokazano prawie wszystkie prace graficzne wykonane

przez artystę za pomocą technik metalowych.

Wystawa jeszcze raz pokazuje, że twórczość Ryszarda Stryjca była zdecydowanie odmienna, wyrazista i niepowtarzalna, że ten artysta miał niezwykle bogatą wyobraźnię. Ryszarda Stryjca fascynował przede wszystkim Gdańsk i Kaszuby i dlatego te tematy bardzo często przewijały się w artystycznych wizjach.

Ponadto można obejrzyć wiele bardzo interesujących ekslibrisów, wykonanych zgodnie z tradycyjnymi kanonami sztuki rytowniczej, ale niemożliwych do podrobienia. Ekspresja prac Ryszarda Stryjca jest wyjątkowa nie tyle ze względu na jego temperament, ile na zawarte w nich bogactwo treściowe i wartości estetyczne. Najważniejszymi cechami przedstawionych grafik są: swoisty surrealizm, czystość estetyczna, oryginalność i kompozycyjna harmonia. ■

waniu *Laska* pod Dziemianami, notowanemu przez kataster frydrycjański z końca XVIII w., *Trzaska* (znam 4 osoby o tym nazwisku z woj. pińskiego), tak zasłużonego dla kultury polskiej w okresie międzywojennym (por. spółkę wydawniczą *Trzaska-Evert-Michalski*). Słownik nie podaje też narodowości obywateli, wśród których mogą być osoby z obywatelstwem polskim, ale pochodzenia obcego, wprowadza przy nazwiskach symbol „O”, mówiący o nazwiskach z wielu przyczyn niepełnych, rejestruje też formy sztuczne, wprowadzone przez obywateli w wyniku dokonanych zmian nazwisk.

Na tym „Słowniku” prof. Bogusław Kreja oparł głównie swoje rozważania, a przede wszystkim dobierał według niego nazwiska (według jego deklaracji ze względu na dużą częstotliwość występowania w woj. gdańskim) do objaśnień etymologicznych. Dziwi umieszczenie tyłu nazwisk od miejscowości typu *Piechowski* od *Piechowice*, *Tuszkowski* od *Tuszkowy*, *Ustarbowski* od *Ustarbowo*, skoro autor o wsiach podał tylko wrywkowe wiadomości z końca XIX w. (za „Słownikiem geograficznym Królestwa Polskiego” z lat 1880-1902, nie odnotował zaświadczeń historycznych tych nazwisk. Wystarczyło, moim zdaniem, wymienić tylko nazwiska i wsie, od których nazw one pochodzą; na osobne omówienie zasługiwały nazwiska, których związek etymologiczny z podstawową nazwą wsi zerwał się, np. *Szeleziński* od *Żelazno*, *Gojtowski* od *Godętowo* (nie uwzględnione).

We wstępie i w załączonej bibliografii wyliczył wprawdzie niektóre prace polskich antroponomastów (tj. znawców nazewnictwa osobowego), ale stopień ich wyzyskania jest niewielki. Przywołuje niekiedy najstarsze poświadczenia ze „Słownika staropolskich nazw osobowych” (Wrocław 1965-1987), nie widać trafnych objaśnień etymologicznych z prac polskich. Za to pełną garścią czerpie z opracowań niemieckich, zwłaszcza z pracy R. Zodera „Familiennamen in Ostfalen” (Heidelberg 1968), nadto z M. Gottschalda „Deutsche Namenkunde” (Berlin 1982) i popularnej książeczki pod red. H. Naumanna „Familiennamenbuch” (Leipzig 1987). Dlatego też praca roi się od objaśnień germanistycznych nawet przy nazwiskach rdzennej polskiej i kaszubskiej (o czym za chwilę).

Praca ma charakter popularny, co mogłoby być jej zaletą, gdyby prezentowała wyniki rzetelnych badań naukowych. Tymczasem poza świetną stroną edytorską, którą przypisać trzeba Wydawnictwu Uniwersyteckiemu (i dobrze przygotowanemu pod względem technicznym tekstowi) i niektóry-

mi trafnymi objaśnieniami, jak *Binerowski*, *Cejrowski*, *Szeleziński* trzeba zgłaszać do autora tylko pretensje. Zale tę pracę upatruję w jednym – publikacja ta skłonić powinna antroponomastów do monograficznego zbadania wielu podanych przez B. Kreję objaśnień nazwisk.

Jako publikacja popularna, powinna być poprzedzona wstępem, informującym czytelnika o historii nazwisk w Europie, Polsce, na Pomorzu, o sposobach określenia ludzi w okresie przednazwiskowym, o źródłach pochodzenia nazwisk: wyrazy pospolite (*Baran*, *Karaś*, *Wierzb*, *Kielbasa*, *Polewka*), imiona pełne (*Grzegorz*, *Wojciech*) i zdrobnione (*Pach* od *Paweł*, *Pioch* i *Piech* od *Piotr*), nazwy miejscowości (*Kalisz* od nazwy wsi *Kalisz*, częściej w formie dawnych przymiotników na *-ski* od nazw miejscowości typu *Borzyszkowski* z *Borzyszków*), obce (na Pomorzu głównie niemieckie – *Kreft*, *Narloch*, *Schulz(e)*). Wpadało szczegółowo opracować sposoby niemieczenia nazwisk polskich i pomorskich, wtedy uznane za niemieckie okazałyby się rdzennie polskie czy kaszubskie. Zabrakło podsumowania, gdy tytuł sugeruje jakby monograficzne ujęcie tematu. To jednak dobrze, bo gdyby podsumować wyniki ustaleń autora, to przerażająco dużo nazwisk figurowałoby tu jako niemieckie.

Dobór nazwisk do analizy był bardzo subiektywny, choć wyznaczać go miała, zdaniem autora, częstotliwość występowania. Ale na przykład brakuje nazwiska *Radomski*, które nosi 9931 obywateli, a w woj. gdańskim – 884 (w woj. radomskim 201). Nie ma, o paradoksie! w ujęciu tzw. nazwisk gdańskich, samego nazwiska *Gdański*, notowanego w 1664 roku na Żuławach, które nosi obecnie 13 obywateli w woj. gdańskim, i to w czasie, gdy Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej wydało przygotowaną do druku przez prof. G. Labudę „Kronikę” o Grzegorza Gdańskiego, założyciela rodziny franciszkańskiej w Wejherowie. Nie ma nazwisk od miast woj. gdańskiego, np. *Puckowski* (na 91 nosicieli 80 mieszka w woj. gdańskim), *Putzig* (18 tylko w woj. gdańskim).

Autór podaje dość często, że określone nazwisko funkcjonowało jako przydomek rodzin szlacheckich, w podawaniu zaś liczby nosicieli różnych nazwisk pomija przydomki szlacheckie, a w „Słowniku” Rymuta znajdziemy np. nie tylko Borzyszkowskich, ale też formy *Szada-Borzyszkowski*, *Fiszka-Borzyszkowski*, *Wyszk-Borzyszkowski*, wśród Rekowskich także *Styp-Rekowski*, *Wantoch-Rekowski*, *Wrycz-Rekowski* i *Wrycza-Rekowski*, tak samo z przydomkami odnotowani zostali *Węsier-*

scy, *Lipińscy*, *Gliszczyńscy* i wiele innych rodzin pomorskich. Podawane więc przez autora liczby nie są adekwatne do stanu faktycznego (ściśle: podanego w „Słowniku”).

Pominięcie wielu nazwisk, zwanych przez autora pomorskimi lub gdańskimi, upoważnia do zadania pytania: po co pojawiły się w publikacji takie, z którymi autor sobie (na razie) nie poradził, jak np. *Pranczk*, *Kul(l)ing* i wiele innych? Bez źródeł historycznych (to jeden z podstawowych zarzutów, który trzeba postawić autorowi, nazwiska bowiem powstawały w określonym momencie dziejowym, zapisy historyczne ten moment rejestrują) trudno tu o jednoznaczną interpretację. Rzecz jest prosta, gdy w XVII-wiecznych źródłach (księgi metrykalne par. Tyłowo, Żarnowiec, Strzelno i inne) znajdziemy zapisy *Pręga*, *Pranga*, *Prązk*, *Prąszk*, widzimy wówczas, że podstawą nazwiska *Pranczk* i *Pranschke* oraz jego wariantów jest wyraz *pręga* ‘blizna’, *Pręzek* to forma pochodna od *Pręga*, zniemczona typowym sposobem przez odwrócenie przyrostka *-ek* (*Pręzek*, kasz. *Pranszk*) na *-ke*: *Pranschke*, *Pranczke*. Podobnie jest z nazwiskiem *Kul(l)ing*. Jeśli w inwentarzu starostwa puckiego z 1678 roku w Mrzeżynie znajdzie się stróża jazowego zapisanego *Kulig*, w księgach metrykalnych parafii północnokaszubskich *Kulik* i *Kulinck*, to widać, że chodzi tu o nazwę ptaka *kulik* (tak dziś pisaną), historycznie też *kulig*, po kasz. *kuling*, jednak ze znaczeniem ‘mewa’ (zob. słownik ks. Sychty t. II, s. 296). Rodzina *Kulingów* dała początek wybudowaniu *Kulingi* pod Łebnem w Wejherowskim.

Objaśnień etymologicznych, chybiomych, mówiąc ewangelicznie, „jest legion”. Np. nazwisko *Gulgowski* wprowadzone zostało od nazwy miejscowości Głogówko w pow. świeckim, notowanej dopiero w XVIII w., a chodzi tu o wcześniejszą formę *Gulga* (utrwaloną np. na Krajnie) od rzeczownika *gulga* ‘indyczka’, notowanego przez słownik Ramul’a (i za nim w innych słownikach); *Mrozewski* od nazwy wybudowania *Mrozy* pod Sierakowicami, gdy w rzeczywistości jest to na Pomorzu nazwisko wtórne od wcześniejszej formy *Mróz* (nazwisko takie u dwóch rodzin w osadzie notuje kataster frydrycjański z 1773 r.), podobnie *Delewski* pochodzi od nazwiska *Dyl*, *Thiel* i podobnie pisanych, wywodzących się od imion germańskich opartych na rdzeniu *diet* ‘lud’, nie od wybudowania *Delewo* pod Stężycą, notowanego dopiero przez Lorentza w 1923 roku, wcześniej bowiem osada nazywała się *Palberg* (tak określona w katastrze frydrycjańskim z 1773 r.) od dzierżawcy Chrystiana *Palberga*.

Autor przyjął błędną zasadę (nie podaną wprost, ale stosowaną w praktyce), że jeśli nazwisko brzmi tak, jak nazwa miejscowości, to pochodzi od niej, nie troszcząc się już o pochodzenie toponimu (nazwy miejscowości). Prowadzi to do błędu, określanego w logice jako *circulus vitiosus* 'błędne koło' lub *petitio principii*. Kwestię tę dla Śląska opracował prof. H. Borek (Rozprawa Komisji Językowej Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, V, 1965), a dla Pomorza E. Jakus-Borkowa (Zeszyty Naukowe WSP w Opolu. Językoznawstwo XI, 1988). Autor nie zadaje sobie trudu, jak i w wielu innych przypadkach, zapoznania się z nimi. Szczegółowe błędy z tego zakresu i innych omawiam w recenzji przygotowanej dla „Rocznika Gdańskiego” (t. 58, 1998).

Tu z obowiązku obywatelskiego (jako Polak i Pomorzanie) i służbowego (jako kierownik Zakładu Historii Języka Polskiego, Dialektologii i Onomastyki – podkreślam ten ostatni człon nazwy – w Uniwersytecie Gdańskim) pragnę przestrzec korzystających z tej książki przed błędnymi interpretacjami germanistycznymi. Te uwagi jestem winien czytelnikom „Pomeranii”, dla których od lat 60. objaśniam nazwiska pomorskie, a którzy pytają mnie, co sądzić o tej pracy.

Niezrozumiała jest predylekcja autora do objaśniania materiałem niemieckim nazwisk pomorskich, a więc polskich i kaszubskich. Większość Pomorzan (przynajmniej tych mieszkających po wsiach) jest pochodzenia miejscowego i w polskich (też kaszubskich, kociewskich, borowiackich i malborskich) wyrazach pospolitych, imionach pełnych i skrótowych, w pomorskich nazwach geograficznych, należy szukać dla nich podstawy. Gdy te materiały nie wystarczają, uciekamy się do wpływów obcych, najczęściej niemieckich, w tym dolnoniemieckich, ale też niekiedy łacińskich (np. *Balbus*, częściej *Balbuza* od łac. *balbus* 'jąkała'). Zaludniane w XVII w. wsie ludnością z Pomorza Zachodniego (określaną jako Niemcy) przez starostów kościerskich, np. Szymbark i okolice, Kaliska, Stary i Nowy Barkoczyn, Szenajda w Kościerskiem, tak samo przez kartuzów i starostów skarszewskich wsie zwane Hutami, np. Starkowa Huta, Egiertowa Huta (dziś Egiertowo), mają w większości wypadków nazwiska pochodzenia słowiańskiego, ale zniemczone (wykazują to w recenzji w „Roczniku Gdańskim”). Co słuszne jest dla Niemców, nie musi być dla Pomorza. Istnieją bowiem nazwiska homonimiczne (autor nazywa je poligenetycznymi), tzn. takie, które choć mają to samo brzmienie, to jednak pochodzą od innych podstaw.

Czytelnik odnosi często wrażenie, jakoby autor postawił sobie za zadanie sprawdzenie, czy nazwiska niemieckie, opracowane przez Zodera, są także na Pomorzu, odbiera tekst prof. Krei jako swoistą promocję pracy Zodera (niedostępnej w żadnej bibliotece naukowej w Gdańsku). Nazwisko tego badacza pojawia się w więcej niż połowie haseł. Niekiedy autor dziwi się, że omawianego nazwiska pomorskiego nie ma w pracy Zodera (i w innych opracowaniach niemieckich), np. hasła *Byczkowski* (ale kto by *Byczkowski*, zapisanego w fonetyce kaszubskiej na sposób niemiecki Bit-schkowski szukał w nazwiskach niemieckich?!) Prof. Kreja podaje hasła w postaci zniemczonej, np. *Bieszke*, *Daszke*, *Paszke*, nie rodzimej polskiej *Bieszk(e)k*, *Dasz(e)k*, *Pasz(e)k* od imion *Benedykt*, *Daniel*, *Paweł*. Mógłby jednak ktoś w obronie autora powiedzieć: przecież dla Krei podstawowym wyznacznikiem jest częstotliwość występowania nazwiska. Ależ nie! – odpowiadam, np. forma zniemczona *Paszke* w woj. gdańskim pojawia się 147 razy, rodzima *Paszek* 296, tak samo nazwisko *Litwin* – w zapisie polskim *Litwin* 571 razy, zniemczonym *Littwin* 390. Autor woli powoływać się na badaczy niemieckich, przemilcza osiągnięcia autorów polskich. Np. nazwisko *Dysarz* i całą rodzinę etymologiczną związaną z zawodem stolarza omawiał Pomorzanie (z Nowego) prof. P. Smoczyński („W służbie, nauce, szkole. Księga pamiątkowa poświęcona Prof. Drowi Z. Klemensiewiczowi”, Warszawa 1970), u Krei przywołany Zoder, pod hasłem *Daszke* wymieniony Naumann, a o imieniu *Daszek* (od *Daniel*) pisał prof. M. Kucała („Język Polski”, t. 48, 1968, s. 170) i M. Malec („Staropolskie skrócone nazwy osobowe od imion dwuczłonowych”, Wrocław 1982, s. 23, 39), pod hasłem *Wejer* znowu powołanie się na Zodera, a pisał o tym nazwisku (w „Roczniku Gdańskim”, t. 42, 1982, z. 1, s. 243-247) autor niniejszej recenzji. Przykłady można by mnożyć. W wielu wypadkach autor objaśnia nazwiska na sposób polonistyczny czy kaszubistyczny, ale nie omieszka podać, że Zoder ma zbliżone nazwisko niemieckie, por. np. hasła *Bartelik*, *Littwin*, *Samp* i wiele innych.

Same etymologie roją się od objaśnień germanistycznych, niekiedy wbrew niekwestionowanym poglądom zarówno slawistów, jak i germanistów. Mogę podać (ze względu na objętość) tylko garść przykładów. O nazwisku *Grosz* autor pisze: „to nazwisko, które jest – bezpośrednio czy pośrednio przez wyraz pospolity *grosz* – pochodzenia niemieckiego (s. 97). Tymczasem wyraz *grosz* zapożyczaliśmy od

Czechów (F. Sławski „Słownik etymologiczny języka polskiego”, t. I, Kraków 1952 – 1956, s. 352), a dla Czechów i Niemców jest tu wspólne źródło kultury europejskiej – łacińskie wyrażenie (*denarius*) *grossus*. Oczywiście nazwisko *Grosz* można wywieść od rzeczownika *grosz*, ale już zapożyczonego (od Czechów, nie Niemców), por. odpowiednio *Gulden*, *Tynf(owicz)*, nade wszystko nazwisko *Pieniążek*, ale bardziej systemowo wygląda ono na zdrobnione imię od *Grodziszław*, jak *Wrosz* od *Wrocisław*, *Gosz* od *Godziszław*, *Rasz* od *Radosław* itd.

Niemieckiego pochodzenia ma być też, według autora, nazwisko *Murński* i *Munski*. Tymczasem jest to fonetyczny wariant nazwiska *Młyński*, pochodzącego od wyrazu pospolitego *młyński* 'młynarz' lub 'człowiek jakoś z młynem związany przez zatrudnienie czy zamieszkanie'. Tak objaśniał to nazwisko w sposób przekonujący sam Kreja („Problemy polskich nazwisk typu *Rybiński*, *Dulski*” (w) V Ogólnopolska Konferencja Onomastyczna. Księga referatów pod red. K. Zierhoffera, Poznań 1988, s. 183-190), teraz widzi w nim niemieckie miejscowości *Młynny*, *Młyńsko*, co niemożliwe, bo nazwy te na Pomorzu mają późną metrykę. Kaszubi na młyn mówią inaczej – *mun* i *mujn* (zob. „Słownik” ks. Sychty t. III, s. 87), w Mirachowie notowałem także przymiotnik *muńszci*.

Zdaniem prof. Krei, niemieckiego pochodzenia ma być też nazwisko *Tusk*. Sam „Słownik” Rymuta, będący dla prof. Krei jakby Ewangelią, przeczy temu twierdzeniu. Mamy tu bowiem *Tuz* 548, z tego 22 w woj. gdańskim i 12 w śluskim, notuje też pochodne *Tuzel*, *Tuziak*, *Tuzik* oraz *Tus*, *Tusak*, *Tusek*, *Tusiak*, *Tusiek*, *Tusik*, *Tuski*; wszystkie te nazwiska wskazują jednoznacznie na to, że *Tusk* jest formą pochodną od *Tuz* (a więc *Tuzek* w kaszubskiej realizacji *Tusk*), a *Tuz* pochodzi od rzeczownika pospolitego *tuz*, znaczącego m.in. 'ktoś znaczny, dygnitarz' czy 'najwyższa karta w grze'. Wyraz *tuz* przejęliśmy oczywiście z dolnoniem. *Dus* (= górn. *Daus*), a Niemcy wzięli od franc. *Daus*, co ostatecznie wszystko z łac. *duo* (*decim*) 'dwa(naście)'.

Autor właśnie nazwiska pochodzące od zapożyczonych wyrazów pospolitych z niemieczyny traktuje jako niemieckie. Na przykład nazwisko *Wruk*, które oczywiście od kasz. *wrək*, na południu *wruk* 'brukiew' (por. pseudonim Jana Patocka – Wuj *Wrək*). Podobnie *Blok* i *Block*, do których przywołać trzeba pominie-te przez autora *Blokus*, u Rymuta wymienione 71 razy, z tego 57 w woj. gdańskim, 2 śluskim, i *Blokhaus* 3, z tego 1 w woj. elbląskim, 2 gdańskim; *Blockhaus* 25, z czego 1 w woj. el-

blaskim, 24 gdańskim. *Blockus* 20, z tego 1 w woj. elbląskim, 18 gdańskim, 1 opolskim. Oddają one dokładnie notowane w inwentarzach pomorskich XVI-XVIII w. wyrazy *blok* lub z dolnoniem. *blokhus* oraz z góroniem. *blokhaus* na oznaczenie 'budki strażniczej' (etymologicznie niejako 'dom z kłód, kłóców drzewnych'). Chodziło tu zatem o 'strażnika', a nie, jak sugeruje autor, 'człowieka ociężałego czy nieokrzesanego'. Podobnie od zapożyczonych z niemieckiego wyrazów *szrama* i *szramka* 'blizna', *szur* i *szurek* 'chłopak, wisus', *szlaga* 'słota, niepogoda' pochodzą nazwiska pomorskie *Szramka*, *Szurkowski*, *Szłaga*, *Szlagowski*. Jeśli się twierdzi, że są one pochodzenia niemieckiego, to trzeba by wykazać, że były one na Pomorzu zanim zapożyczono odpowiednio dla nich wyrazy pospolite. To samo dotyczy nazwisk od wielu imion, uznanych przez prof. Kreję za niemieckie, np. *Liedtk(i)e* i warianty można wywieść od imienia *Ludek*, czy *Lutek*, kasz. *Lůtk*, zniemczone przez odwrócenie przyrostka *-ek* na dolnoniem. *-ke*.

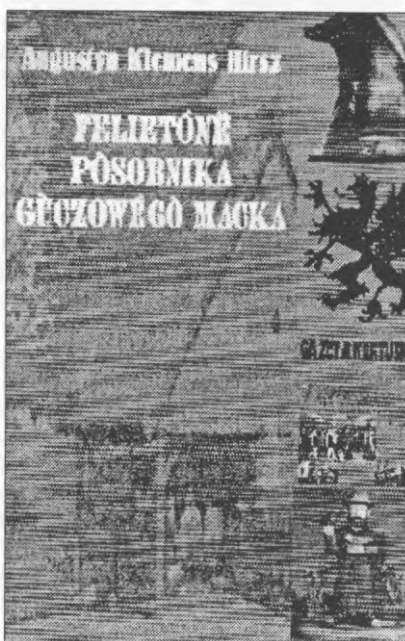
Etymologizowanie nazwisk jest rzeczą niezmiernie trudną, o wiele trudniejszą niż objaśnienia nazw topograficznych, które nadał człowiek konkretnym obiektom, one w terenie pozostają, ludzie zmieniają miejsce zamieszkania i (niekiedy) także nazwiska. Dawniej w większości byli niepiśmienni i nie wiedzieli, jak ich pisarz zapisywał w dokumentach. Dlatego i dziś mamy braci piszących się *Ziegert*, *Ziegiert*, *Cygert*, *Cygiert* i jeszcze inaczej; *Kąkol*, *Konkol*, *Konkel*, *Kunkel*. Trudności potęgują się, gdy nie uwzględnia się dokumentacji historycznej. Na przykład autor wywodzi nazwisko *Męczyk* i pochodne *Męczykowski* od *męczyć*, tymczasem od XVII w. notowane bogato na Pomorzu nazwiska *Manczyk*, *Mańczyk*, *Mańczak*, *Mańkowski*, *Manczykowski* (nie uwzględnione w „Księdze” zawdzięczają swój początek ostatecznie imieniu *Maniek* (od *Emanuel*) czy rzeczownikowi *mania* 'mańkut, leworeki'. Formy z początkowym *Mę-* pisanym też *Men-* są wtórne, powstałe w obawie przed wymową gwarową typu *gamba*.

Czas na konkluzję. Omówiona praca nie może zadowolić potrzeb szerszego czytelnika na wiarygodne objaśnienia nazwisk pomorskich. Potrzebna jest praca oparta na materiale historycznym, pozbawiona przejawów interpretacji germanistycznych, uwzględniająca bogaty dorobek antroponimii polskiej.

Bogusław Kreja, Księga nazwisk ziemi gdańskiej. Wyd. Uniwersyteckie, Gdańsk 1998

STANISŁAW JANKE

W PRZEBRANIU GŪCZOWEĞO MACKA



Pojawienie się w 1991 roku na łamach „Gazety Kartuskiej” felietonów „Pòsobnika Gŭczowėgò Macka” poruszyło środowisko twórców literatury kaszubskiej. Emerytowany kartuski nauczyciel Augustyn Klemens Hirsz odważył się bowiem nie tylko nazwać następcą nieodświeżonego kaszubskiego satyryka Aleksandra Labudy, ale także próbował naśladować jego język i sposób puentowania felietonów. Ta niewątpliwie prowokacyjna maskarada przyniosła efektowny skutek: autor został dostrzeżony. Zresztą prowokacyjny styl jest wręcz wpisany w ten gatunek publicystyki.

Augustyn Klemens Hirsz zmarł 26 listopada 1993 roku. Ostatni z jego felietonów powstał w tym samym roku i miesiącu. Chociaż sporadycznie publikował wcześniej w innych pismach, systematycznie zaczął ogłaszać felietony dopiero na dwa lata przed śmiercią. Ten jakiś instynktowny twórca „rzut na taśmę” jest ostatnio na niwie

kaszubskiej dość znamienny. Wystarczy wspomnieć takich autorów, jak ks. Franciszek Grucza, Jan Labuda i Henryk Hewelt, który słowami wiersza proroczo zapowiedział: „Nie ódińdã bez pòzegnaniõ”.

„Pòsobnik Gŭczowėgò Macka”, tak jak na felietonistę przystało, przede wszystkim swobodnie dywagował na aktualne tematy polityczne i obyczajowe, krytykując szczególnie lokalne władze Kartuz (jedynie z uznaniem pisząc o pani burmistrz Marii Kowalewskiej-Kosce). W kwestiach gospodarczych był umiarkowanym liberałem, natomiast w obyczajowych za wzór przyjmował owianą legendą sposób bycia przedwojennych Kaszubów, którzy nawet, gdy sobie popili, „zawdė rozmiełė rozėm brėkówac”.

Autor w 1978 roku ogłosił w „Przeglądzie Humanistycznym” esej „Ródwó Smėtkã i jego koncepcja w literaturze polskiej”. Przygotowywał doktorat o twórczości Aleksandra Majkowskiego, ale dysertacji nie ukończył, bo „na przeszkodzie stanęły poglądy promotora” prof. Andrzeja Bukowskiego. Augustyn Klemens Hirsz, podobnie jak twórcy z kręgu przedwojennej „Zrzeszė Kaszėbsczij” i młodzi redaktorzy „Tatczėznė” (1990-91), fascynował się stroną językową kaszubszczyzny, z upodobaniem stosując w swoich felietonach neologizmy, neosemantyzmy i archaizmy. Można odnieść wrażenie, że pisanie było dla niego swoistą zabawą w uprawę językowego ogródka. Owoce tej pracy musiały być interesujące i nietuzinkowe, skoro o języku felietonów „Pòsobnika Gŭczowėgò Macka” powstała pod kierunkiem prof. Jerzego Tredera praca magisterska Hanny Dettlaff.

Felietonista był nie tylko wnikliwym obserwatorem kaszubskiej codzienności, ale także zapalonym czytelnikiem lokalnych i regionalnych czasopism. Niejednokrotnie pośrednio lub aluzyjnie odnosił się do artykułów opublikowanych na łamach „Pomeranii”. Chociaż zgodnie z felietonową konwencją wiele spraw z problematyki kaszubskiej przedstawiał w sposób lekki i pobieżny, to jednak z głęboką znajomością piśmienicznej i kulturowej tradycji Kaszubów.

Mimo upływu lat tematyka kaszubska w felietonach zachowuje świeżość, gorzej czas obszedł się z publicystyką, która była bezpośrednią reakcją na aktualne wydarzenia. Dziś trudno zrozumieć, że te różne obrazy z pierwszych stron gazet i telewizyjnego ekranu mogły kiedyś przykuwać naszą uwagę. Dobrze się jednak stało, że wydawca zdecydował się pokazać szeroki wachlarz publicystycznych i twórczych poszukiwań Augustyna Klemensa Hirsza. Publikując ponad siedemdziesiąt gazety felietonów, zarówno wydawca,

jak i fundatorzy książki – samorząd i kilka firm z Kartuz – uchronili przed zapomnieniem tę, jakże ulotną, twórczość. Ta godna podziwu troska o utrwalanie miejscowego dziedzictwa naprawdę pozwala wierzyć w dobro płynące z małych ojczyzn.

Augustyn Klemens Hirs, Felieton
Pòsobnika Gùczowégò Macka. Oddział
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
w Kartuzach, Wydawnictwo Szos, Kar-
tuzy 1998

ROMAN MIKZYŃSKI

MATERIAŁY DO DZIEJÓW KULTURY I SZTUKI W BYDGOSZCZY

Ukazał się drugi tom „Materiałów do dziejów kultury i sztuki w Bydgoszczy i regionie”. Opracowanie zawiera kilka artykułów dotyczących obiektów architektonicznych na terenie grodu nad Brdą i w regionie, łącznie z ich historią.

Autorem pierwszego artykułu jest Lech Łbik, który pisze na temat zagadkowych rowów i wałów ziemnych na bydgoskim Czyżkówku i Osowej Górze. Autor w przekonujący sposób rozwiewa młt „okopów szwedzkich” pokutujący od lat w literaturze oraz w świadomości niektórych współczesnych badaczy przeszłości. W rzeczywistości rowy i nasypy zostały wykopane i usypane przez mieszczan bydgoskich w końcu XVI wieku jako trwałe oznaczenia granic miasta. Oba pasma wałów brały początek w miejscowości o charakterystycznej nazwie Działy. Ten sam autor w drugiej części zeszytu podważa ugruntowaną w literaturze historycznej tezę o klasztor-nym charakterze kościoła pw. św. Piotra w Kruszwicy. Zdaniem autora, gospodarzami świątyni nie byli benedyktyni, lecz kanonicy regularni. Uzasadniona wydaje się teza autora, że w Kruszwicy nie było siedziby biskupstwa kujawskiego, a tylko kapituły, biskupi kujawscy przebywali w Kruszwicy często, lecz prawdopodobnie tylko czasowo.

Piotr Winter opisuje dawne bydgoskie budynki urzędów pocztowych i z nimi związane różnego rodzaju obiekty. Najstarsze pochodzą z XVIII wieku. Na miejscu obecnego kompleksu budynków pocztowych między dzisiejszymi ulicami Jagiellońską a Stary Port już od końca XVIII wieku istniała zwarta zabudowa, gdzie m.in. znajdowały się stajnie królewskie. W 1815 roku, po ponownym zajęciu Bydgoszczy przez władze pruskie, zlokalizowano w tych pomieszczeniach królewsko-pruski urząd pocztowy. W następnym roku ustanowiono tutaj urząd Dyrekcji Poczty. Pierwszym pruskim dyrektorem został Groschke. W 1859 roku budynek zajmowany przez Dyrekcję Poczty przejął Główny Urząd Celny. Dyrekcję Poczty przeniesiono wówczas do pobliskiego budynku u zbiegu obecnych ulic Jagiellońskiej i Druckiego-Lubeckiego. W końcu lat 50. wybudowany został nowy gmach u zbiegu obecnych ulic Jagiellońskiej i Pocztowej na potrzeby nowo powstałej dyrekcji. Zlokalizowana została tutaj siedziba Wyższej Dyrekcji Poczty. Pozostałe budynki pocztowe mieściły się przy obecnych ulicach: Pomorskiej i Zygmunta Augusta 2 oraz na terenie dworca PKP – wszystkie są zachowane w dobrym stanie. W dalszym ciągu służą zgodnie ze swoim użytkowym charakterem.

Piotr Winter wspólnie z Krzysztofem Bartowskim opisali budynek Lloyd'a przy ul. Grodzkiej 17, w okresie pruskim zajmowany przez firmę Bromberger Schleppschiffahrt, po 1945 roku przejęty przez „Żeglugę Bydgoską”, a także scharakteryzowali dzieje żeglugi bydgoskiej oraz firm z nią związanych. Sam budynek w kształcie litery „L” formą dekoracji fasady i detali nawiązuje do manierizmu niderlandzkiego. Obecnie w odnowionym pałacyku znajduje się oddział Banku Rozwoju Eksportu.

Barbara Chojnacka omawia „Internat Kresowy”. Obiekt został zbudowany w 1914 roku z inicjatywy organizacji dobroczynnych działających przy Związku Niemieckich Szkół Siermięcych z przeznaczeniem na sierot. W okresie międzywojennym mieścił się tutaj Państwowy Dom Sierot, później „Internat Kresowy”. W okresie okupacji budynek zajęło gestapo, a następnie urządzono w nim wojskowy szpital. Aktualnie w budynku przy ul. Chodkiewicza 32 mieści się siedziba Oddziału Prewencji Komendy Wojewódzkiej Policji.

Agnieszka Wysocka pisze o willi Blumwego, przemysłowca bydgoskiego, przy ul. Gdańskiej. Obiekt, zdaniem autorki, nawiązuje zewnętrznymi rozwiązaniami architektonicznymi do stylu Andrei Palladia. Niedawno budynekowi przywrócono stan pierwotny.

Za wysoki poziom prac remontowych generalny konserwator, na wniosek konserwatora wojewódzkiego, przyznał wykonawcom nagrodę I stopnia. Obecnie w willi Blumwego mieści się siedziba Radia Pomorza i Kujaw.

W tomie zamieszczono też artykuły dotyczące drewnianego budownictwa sakralnego w Pieraniu oraz osady i zespołu malowanych wotów dziękczynnych w kościele parafialnym w Więcborku.

W opracowaniu poświęconym obiektom architektonicznym wyjątkiem jest artykuł Roberta Tomaszewskiego „Malowane skrzynie ludowe z Krajny Żłotowskiej”. Tom wieńczy informacja Ewy Raczynskiej-Mąkowskiej, miejskiego konserwatora zabytków o wyróżnieniach statuetką Feniksa najlepszych użytkowników obiektów zabytkowych w mieście, którą przyznaje prezydent Bydgoszczy.

Komitet redakcyjny stanowią pracownicy Pracowni Dokumentacji i Popularyzacji Zabytków Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Bydgoszczy, a redaktorem naukowym wydania jest prof. Barbara Janiszewska-Mincer.

Materiały do dziejów kultury i sztuki w Bydgoszczy i regionie. Opr. zbiorowe. Wyd. Wojewódzki Ośrodek Kultury, Bydgoszcz 1998

STANISŁAW JANKE

UKŁONY DLA KOŚCIERZYNY

Absolwenci kościerskiego Liceum Ogólnokształcącego wspominają Bronisławę Niedzielską niezwykle ciepło i z wyraźną atencją. Jako polonistka potrafiła przekazać młodym ideały humanistyczne, umiała łączyć wartości uniwersalne z regionalnymi. Teraz na emeryturze opublikowała swoje wspomnienia. W słowie wstępnym wyjaśnia, że pisała je z myślą o młodym pokoleniu, któremu chce w ten sposób przybliżyć obraz miasta z lat swego dzieciństwa i młodości.

Tytuł wspomnień – „Kłaniam Ci się, Kościerzyno”, na pierwszy rzut oka pretensjonalny – jest, okazuje się, cytatem z piosenki Agnieszki Osieckiej, napisanej z okazji sławnego turnieju miast Kartuzy – Kościerzyna w 1969 roku. Gdy słowa piosenki Osieckiej wydają się pisane z perspektywy ruchliwego turysty, który pospiesznie wita i żegna się z miastem, to wspomnienie Bronisławy Niedzielskiej czyta się jak opowieści spacerowicza, który pragnie nasycić się dobrze znajomymi widokami, ożywionymi znanymi postaciami i zdarzeniami.

Nawiązując do słów wiersza ks. Leona Heykego „Świat kaszëbsczij” B. Niedzielska wyznaje: „To także mój świat. Najbliższy sercu, jedyny, bo tu zawsze był mój dom. Pokolenia moich przodków zamieszkiwały tę ziemię, a życie ich skupiało się głównie w Kościerzynie i okolicznych wsiach”.

Rodziny autorki, zarówno ze strony matki, jak i ojca, były wielodzietne. Matka pochodziła ze środowiska chłopskiego, ojciec z robotniczego. Ich okres narzeczeństwa zbiegł się ze światem niepodległości Pomorza. Autorka pisze, że już wówczas byli niezależni i samodzielni ekonomicznie, dzięki czemu mogli założyć rodzinę, ale ciężej, mimo pewnych okresów dostatku, tak naprawdę towarzyszył im do końca życia. Niedostatku doświadczyła autorka również w młodości. Jednak nie bieda jako taka była źródłem jej gorczy i udręki, lecz upokorzenia doznane od ludzi zamożnych. Te doświadczenia, przez Bronisławę Niedzielską ledwie zamarkowane, są znamienne dla wielu Pomorzan z jej pokolenia.

We wspomnieniach odbija się także proces wyraźnego wzrastania regionalizmu kaszubskiego, zbawienny wpływ jego twórców na innych. Autorka pokochała kaszubskość nie tylko za sprawą ks. L. Heykego, który uczył ją religii w Państwowej Szkole Ćwiczeń przy Seminarium Nauczycielskim, ale także między innymi dzięki nauczycielce Gertrudzie Firlus, Ślązaczce, która pomagała odkrywać piękno kaszubskich krajobrazów, zachęcała do komponowania i malowania rodzimych wzorów do wyszywania.

Równie interesującym wątkiem, co życie rodzinne i kaszubskość, są reminiscencje związane z pragnieniem zdobywania wiedzy i wykształcenia. Gdyby nie wojna, autorka z pewnością ukończyłaby rozpoczęte studia francuskiego i łaciny na Uniwersytecie Poznańskim. Po wojnie, już jako mężatka i matka dwojga dzieci, ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Okupacja hitlerowska w jej życiu była okresem dramatycznych

doświadczeń, ale także i paru lat materialnej i zawodowej stabilizacji jako pracownicy, wraz z kilkoma innymi Polkami, niemieckiego Banku Ludowego. W tym momencie trudno oprzeć się wrażeniu, że jednak zło wojny zazwyczaj mniej dotyka kobiety. Wojna jako irracjonalne szaleństwo wywoływane i odgrywane przede wszystkim przez mężczyzn, zawiera więc jakiś racjonalny pierwiastek biologicznego przetrwania rodzaju ludzkiego.

Obraz Kościerzyny, jaki wyłania się spod pióra autorki, jest podobny do obrazu innych pomorskich miast i miasteczek obecnego stulecia. Ludzie znający się z widzenia i z licznych kontaktów osobistych, niekiedy z bardzo prywatnych spraw i plotek, dziwactw i przyzwyczajęń, tworzą osobliwe środowisko, w którym obowiązują niepisane normy obyczajowe, wyraźnie zaznaczają się granice zbiorowego poczucia godności człowieka. Siła tych środowisk zasadza się właśnie na tym, że żyje się tam nieanonimowo, że przekaz kultury, tradycji, wiary – nawet podczas kataklizmów i wojen – odbywa się w sposób harmonijny, w otoczeniu tego, co znane i już oswojone.

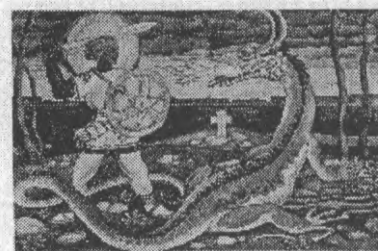
Napisane lekkim i pięknym językiem wspomnienia, ilustrowane czarno-białymi fotografiami, w zgrabnej szacie graficznej, powodują, że niełatwo się od tej lektury oderwać.

Bronisława Niedzielska, Kłaniam Ci się, Kościerzyno. Wydawnictwo Bryza, Gdańsk 1998

JÓZEF BORZYSZKOWSKI

ZESZYTY ŁUŻYCKIE

Kolejny numer tego tak bliskiego nam periodyku, wydawanego w Warszawie, a przyciągającego ludzi z różnych zakątków kraju, ma szczególnie, jubileuszowy charakter. Redakcji można



ZESZYTY ŁUŻYCKIE TOM 20

pogratulować konsekwentnej pracy i życzyć, by każdy nowy numer pisma wzbogacał dorobek dotychczasowych 20, czyli polskiej sorabistyki, a poszerzając naszą wiedzę umacniał przyjaźnie między nami i Łużyczanami, jak też dobrosąsiedzkie stosunki polsko-niemieckie.

Numer 20 „Zeszytów Łużyckich” ma po części monograficzny charakter, o czym mówi podtytuł „Tradycje ludu łużyckiego”, rozpisany szerzej jako cz. I i podstawowa zeszytu – „Zwyczaje, muzyka, przysłowia ludowe – najtrwalsze elementy kultury”. W tym podstawowym dziale tomu znajdujemy prace: Z. Kłos „Najmniejsze łużyckie ojczyzny, cz. II”, J.M. Maciejewska „Ob-rzędy ptasiego wesela”, E. Siatkowska „Łużyckie pieśni o ptasim weselu”, Dorothea Sołcina „Ptasie sztuczki”, J. Sowińska „Współczesny łużycki repertuar muzyczny”, E. Siatkowska „Kon-ne procesje na Łużycach”, I. Cechosz „O niektórych łużyckich przysłowach rodzinnych”, A. Żochowska „Wybrane przysłowia zachodniosłowiańskie”.

Lektura tych artykułów, jak sądzę, nie tylko kaszubskiemu czytelnikowi uświadamia bogactwo wspólnoty kultur społeczności serbołużyckiej i kaszubsko-pomorskiej, polskiej i słowiańskiej, a zarazem budzi radość z ich specyfiki, obecności i żywotności choćby w najskromniejszym wymiarze w świecie ogólnopolskim.

Nie tylko etnografowie, humaniści, folklorysty i regionaliści wiele z lektury „Zeszytów Łużyckich” i doświadczeń Serbołużyczan mogą się nauczyć. Gromadząc je dziś w bibliotece Domu Kaszubskiego, od lat zachęcam do szerszej lektury i szerszych kontaktów środowisk i gmin, szkół i zespołów kaszubskich z Serbołużyczanami.

Jakże radosne i znaczące było przed kilkoma laty nasze kaszubsko-łużyckie spotkanie, seminarium i wie-

czór towarzysko-spiewający daleko nad Trawą w Lubee-Travemünde w Ostsee-Akademie! Jakże ważne były spotkania, wystawy i koncerty łużyckie w Gdańsku i na Pomorzu w ramach Dni Kultury Łużyckiej w Polsce w 1994 r.! Liczy się każdy fakt, każde uczestnictwo w dwustronnych czy międzynarodowych konferencjach, tam na Łużycach w Niemczech, tu na Kaszubach w Polsce, czy na różnych zgromadzeniach i kongresach międzynarodowych. Informując o nich z reguły na łamach „Pomeranii” za mało przesyłamy informacji do innych środowisk, za mało podejmujemy nowych inicjatyw, projektów, zrażając się niekiedy zbyt szybko normalnymi trudnościami, oporami, także po drugiej stronie Odry i Nysy Łużyckiej. Naszym sojusznikiem w tych działaniach może być i jest środowisko ludzi nauki i społeczników skupionych właśnie wokół „Zeszytów Łużyckich” w Warszawie, wydających z niełatwym trudem kolejne tomy.

II dział tworzą recenzje, a wśród nich A. Kaczmarek prezentuje interesujące „Pięć wieków sorabistyki” W. Zeila („Sorabistik in Deutschland”, Bautzen 1996). Dzieło to zawiera prezentację stanu badań nad kulturą, językiem i życiem Łużyczan w ciągu pięciu wieków ich historii, jakże podobnej pod wieloma względami do historii Kaszubów i jakże trudniejszej, tragiczniejszej niejednokrotnie, niżby to mogło wydawać się tym, którzy nie chcą, nie potrafią korzystać z dorobku uczonych, a sami, choćby znikąd, wiedzą więcej i lepiej. Książka ta dokumentuje siłę własnej pracy i współpracy Serbów Łużyckich ze środowiskami międzynarodowymi, zwłaszcza reprezentantami sfer ludzi nauki, humanistyki z krajów słowiańskich i państw języka niemieckiego.

Pozostałe recenzje z tego działu prezentują interesujące publikacje dotyczące relacji: Łużyce a Jugosławianie, gospodarka a ekologia w formie „Ekonomia kontra ekologia”, czy też doniesienia o działalności organizacyjno-wydawniczej na Łużycach Wschodnich, skupionej wokół ośrodka w Buczynach-Żarach na Dolnym Śląsku.

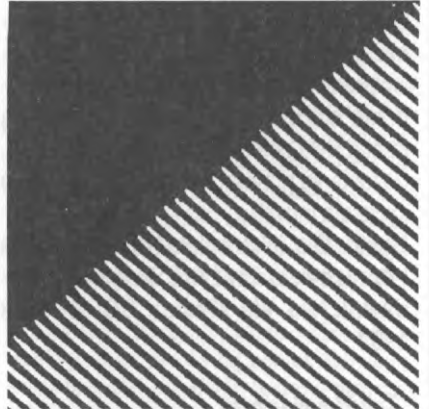
Dział III „Zeszytów Łużyckich” – czyli „Kronika” – zawiera informacje m.in. E. Siatkowskiej o intensywnym kursie języka górnołużyckiego w Warszawie (1997), J. Zieniukowej o uroczystościach i sesji 150-lecia Towarzystwa Naukowego „Maćica Serbska” w Budziszynie, J. Wójcickiego o Czwartym Walnym Zgromadzeniu Związku Łużyckich Serbów „Domowiny” w Chrościach. W „Kronice” tej z naszej tylko winy brak informacji o tym, co w zakresie spraw łużyckich działa się na Kaszubach i Pomorzu.

Dział IV „Zeszytów Łużyckich” – „Łużycanie w polskich mediach” – także od tego braku nie jest wolny, obejmując tylko Zieloną Górę, Wrocław – prasę i radio. Nie ma też kaszubskiego imienia w dziale V „Zeszytów” – „Kącik przekładów”, zawierający dwie baśnie ludowe tłumaczone z rękopisu Jana Wornara przez Martę i Władysława Sobeckich. (Brawo tłumacze!). Z większą nadzieją na potwierdzenie pokrewieństwa łużycko-kaszubskiego w „Zeszytach Łużyckich” przystąpiłem do lektury ostatniej części jubileuszowego numeru, czyli „Bibliografii zawartości numerów X-XIX”.

Niestety, problematyki kaszubsko-łużyckiej i tam wprost nie znalazłem. Niezmierzone bogactwo interesujących tekstów, dotyczących bliskich nam zagadnień i problemów, bez udziału samych Kaszubów, bez systematycznych kontaktów z Serbołużyczanami, bez naszego zaangażowania w pisanie, w informowanie o sobie i braciach Serbołużyczanach w ich i naszej historii i współczesności, sytuacji tej nie zmieni. Cieszy w owej bibliografii liczne grono autorów i bohaterów ich tekstów, postaci związanych też z Kaszubami, przede wszystkim dawnych i współczesnych, najwybitniejszych polskich językoznawców i innych sławistów. Wśród biografii i wspomnień jest tekst E. Siatkowskiej „Florian Stanisław Cenowa Cejnowa/Ceynowa (1817-1881)” (nr XII s. 39). Obok biografii Ceynowy są też inne postacie związane z Kaszubami, życiorysy wybitnych językoznawców i etnografów, choćby Augusta Mosbacha, Jana Baudouina de Courtenay, Alfonsa Parczewskiego, Kazimierza Nitscha, Adama Fischera, Tadeusza Lehra-Splawińskiego, Zdzisława Stieberta, a nawet równie bliskich nam Kaszubom Ślęzaków – Wilhelma Szewczyka i Jana Osmańczyka. Jednakże łatwo też zauważyć braki – choćby łużyckich pastorów z Kaszub i Pomorza, o których w swoich dziełach wspomina Zygmunt Szultka, czy też kaszubskich poetów – ze zmarłych Leona Roppla, a z grona żywych Alojzego Nagla. Smutno, że od czasów F. Ceynowy nikt w równej mierze nie zaistniał w dziejach Serbołużyczan i wspólnoty łużycko-kaszubskiej, co bliskie jest redakcji „Zeszytów Łużyckich”, a szczególnie profesor Ewie Siatkowskiej, pełniącej społeczną funkcję naczelnego redaktora, niezmiennie otwartej na dobro z Kaszub.

Zeszyty Łużyckie, t. 20. Red. tomu Iwona Cechosz. Wyd. Instytut Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1997

REGAŁ REGIONALNY



PAWŁA DZIANISZA

Ciechowicz – teatralny

Wolałbym nie zgodzić się z Nazarem, że teatr jest sztuką ulotną. W każdym razie nie do końca ulotną. I to wcale nie z powodu nowych technologii utrwalania słowa, obrazu i ruchu. Wystarczy przecież – jak za króla Cwieczka – zapamiętać i zaufać Gutenbergowi. Co udowadnia Jan Ciechowicz. Po „Gdańsku teatralnym” (1988) dał nam on publikację inaczej pomyślaną, napisaną różnymi piórami, pod jego redakcją, ale kolorystycznie bardziej wyrafinowaną. I ona właśnie potwierdza moje zaprzeczenie: teatr nie jest sztuką ulotną. A może nawet się nie starzeje, choć starzeją się ci, co ją powołują do życia. Także widzowie. Jak zapamiętali najlepsze przedstawienie teatru Wybrzeże z półwiecza? Jak je widzą teraz? Czy zgodzą się z ocenami autora? Co w ogóle myślą o teatrze, który – osiągnąwszy wiek męski – pragnie wciąż na nowo zapisywać się w ich pamięci? Książka jest rozdziałem historii gdańskiego teatru, ale jest zarazem zachętą do szerszych przemyśleń, do wciąż nowego odgadywania sensu wymyślanych światów.

Pół wieku teatru Wybrzeże. Przedstawienia (1946-1996). Pod redakcją Jana Ciechowicza. Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1998

Serce cudotwórczyni

Przejmującym dokumentem lekaarskiego powołania stała się książka o tragicznie zmarłej przed pięcioma laty Aleksandrze Gabrysiak, całym swym życiem nakierowanej na pomoc bliźnim „Doktor Oli”. W słowie wstępnym do książki metropolita gdański arcybiskup Tadeusz Gocłowski pisze:

„Lektura tej książki utwierdza nas w przekonaniu, że 1000 lat po męczeńskiej śmierci św. Wojciecha, w naszych czasach, po ulicach Gdańska chodzą święci”. Wspomnienia o Doktor Oli, promieniującej wewnętrznym ciepłem udzielanym hojnie każdemu otoczeniu, przypominają dotkliwą stratę. Była postacią zaiste ewangeliczną, pozostanie przykładem radości, jaką daje życie dla innych.

Doktor Ola, lekarz ciała i duszy. Zebrała i opracowała Grażyna Świątecka. Wydawnictwo Via Medica SC, Gdańsk 1997

„Tytuł” tysiącleciu

Podwójny, zeszlizowany, trochę późniejszy numer pisma literacko-artystycznego „Tytuł” poświęcony jest rocznicy zapisania nazwy Gdańsk w europejskiej świadomości. Prawie wszystko z tego grubego (340 stron) zeszytu odbija swój sens w lustrze podstawionych autorom przemysłów Stefana Chwina („Wyobrażenia i duch miejsca”) i Bogusława Żyłki („Czytanie miasta”), które – jak się wydaje – gotowi są potraktować jako wyraz i próbie zarazem stosunku do czasu dokonanego. Kawał dobrej prozy i ciekawej poezji. Czytajcie „Tytuł”. **„Tytuł”, Pismo literacko-artystyczne, nr 3-4 (27-28) 1997**

Raina wywołuje hałas

Peter Raina od wielu już lat wzbogaca nas niemieckim widzeniem Kościoła w Polsce i jego ludzi. Nowa jego książka, tym razem wydobywająca z półcienia walecznego prałata gdańskiego, wywołała na promocji rzadko spotykaną dawkę hałasu. Książka jest zbiorem odgłosów pamiętnej homilii z ubiegłego roku, ze znanymi konsekwencjami ograniczenia proboszczowskich uprawnień księdza prałata. Trudno przewidzieć, do jakiego obszaru ograniczy się ów hałas na rynku wydawniczym.

Peter Raina, Ksiądz Jankowski znów atakuje... Gdańsk 1998

Najczarniejszy grudzień

Wytrwale rzeźbi pamięć współczesnych Zbigniew Branach. Wpierw „Grudniowe wdowy czekają” (1990), potem „Tajemnica śmierci księdza Zycha” (1995), teraz „Pierwszy grudzień Jaruzelskiego”. „Napisałem tę książkę – powiedział autor – aby była holdem dla ofiar i tych, którzy zostali okaleczeni fizycznie i duchowo w czasie tragicznego Grudnia 70”. Podczas promo-

cji książki Branacha padało wiele pytań, często tych samych, jakie od lat nanizują się na olbrzymi łańcuch niedopowiedzeń i zamazywanych prawd, jakby to mogło uwolnić historię od nieuchronnego obnażenia istoty i mechanizmu grudniowej zbrodni.

Zbigniew Branach, Pierwszy grudzień Jaruzelskiego. Wyd. Agencja Reporterska CETERA, Warszawa 1998

Podróże w głąb czasu

Ogólnokształcące Liceum Jezuitów w Gdyni uczyniło konkursy historyczno-literackie swoją specjalnością. Zrodzone z zachęty i inspiracji dyrektora liceum o. Tadeusza Pawlickiego i znajdujące utalentowanego moderatora w osobie nauczyciela historii Romualda Bławata, stały się dla młodzieży szkół średnich Trójmiasta zachętą do prawdziwych podróży w głąb czasu. I taki tytuł nosi seria publikacji, która tym razem przynosi plon konkursu historyczno-literackiego, ogłoszonego z okazji 1000-lecia Gdańska pod hasłem: „Ze świętym Wojciechem w trzecie tysiąclecie”. Konkurs, któremu patronowało dostojne grono osób z prymasem Polski Józefem Glempem, przyniósł bogaty plon widzenia św. Wojciecha jako postaci towarzyszącej nam od dnia męczeńskiej śmierci prekursora nowej ewangelizacji i przykładu dla postaw nieodczuwanych we współczesnym świecie.

Ze świętym Wojciechem w trzecie tysiąclecie. Prace uczniów szkół średnich Trójmiasta nadesłane na konkurs historyczno-literacki z okazji 1000-lecia Gdańska. Wyd. Ogólnokształcące Liceum Jezuitów w Gdyni, Gdynia 1998

Dziś: bulwa; ongi: felka

Czyli o tym, jak czas kaszubskie nazwy roślin uprawnych zmieniając, nic im ze smaku, zapachu, barwy ani w ogóle wyglądu nie odbierał. Jak więc Kaszubi mówili na buraka pastewnego? Jaką fasolą była szabelbona? Co to jest żółty wrak? Książka, w której do głosu dochodzi cały ogromny kaszubski świat roślinny, jest skróconą wersją rozprawy doktorskiej, napisanej w Instytucie Filologii Polskiej UG. Publikacja przecież nie tylko dla specjalistów, językoznawców czy etnografów. Może ją czytać (lepiej: czytywać) każdy zainteresowany kaszubszczyzną regionalista. Wyniesie z lektury wiele pożytku, a i uciechy.

Ewa Rogowska, Kaszubskie nazwy roślin uprawnych. Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1998

listy

Też znałem Mionskowskich

Interesujący był artykuł J. Borzyszkowskiego, „Dwie ojczyzny Jorgena Mogensena” oraz wspomnienie J. Mogensena „Moje kaszubskie lata” (Pomerania, nr 2/97). I ja spotkałem się z bohaterami wspomnień J. Mogensena.

W lutym 1942 zostałem aresztowany. Przewożono mnie koleją z Kartuz do Gdańska do gestapo, ul. Neugarten 27. W Gdańsku na dworcu uciekłem. Pomocy i schronienia udzieliła mnie rodzina Aleksandra i Anny Mionskowskich, ul. Vorstadtischergraben 16. Oni ukrywali mnie, z małemi przerwami do grudnia 1944 r.

W maju i czerwcu 1942 odwiedził mnie u Mionskowskich Łucjan Cyłkowski, komendant „Szarych Szeregów” w Gdyni – w sprawach „Szarych Szeregów”. Jesienią 1942 Brunon Mionskowski, syn Mionskowskich, działający na terenie Tczewa i Starogardu Gd. w org. „Gryf Kaszubski” później „Gryf Pomorski” podlegający kpt. Józefowi Chylińskiemu, przysłał Mionskowskiemu meldunek przez kuzyna Tadeusza Durzyńskiego z Tczewa, że Łucjan Cyłkowski został aresztowany i uciekł. Gestapo prawdopodobnie umożliwiło mu ucieczkę, by za jego śladem wylapać ukrywających się Polaków. Mionskowscy znaleźli dla mnie inne schronienie w Gdańsku. Po pewnym czasie wróciłem do nich z powrotem. Łucjan Cyłkowski ukrywał się pod Wejherowem. W marcu 1944 został ponownie aresztowany. Gdańskie Towarzystwo Naukowe w książce „Zasłużeni Pomorzanie w latach II wojny światowej”, podaje: Łucjan Cyłkowski po aresztowaniu został przewieziony do gestapo w Gdańsku, gdzie przeszedł po raz dru-

gi ciężkie śledztwo. W czasie tortur połamano mu prawą rękę. Następnie przewieziono go do obozu koncentracyjnego Stutthof, gdzie został powieszony na szubienicy obozowej 12 lipca 1944.

Więźniowie obserwujący z ukrycia przebieg egzekucji stwierdzają, że do końca zachował postawę pełną godności.

Z rodziną śp. Łucjana Cyłkowskiego przyjaźniłem się przed 1939 r. W 1938 Cyłkowski zorganizował obóz harcerski uczniów szkoły nr 1 w Gdyni, w Mrzeżynie k. Pucka, gdzie byłem oboźnym obozu. Jednym uczestników obozu był harcerz Zygmunt Kasztelan – bohater obozu, obecnie w Gdyni – słynny lekarz na obydwu kontynentach – w Europie i Północnej Ameryce.

Jorgen Mogensen wspominał, że jego młoda siostra i jej polski mąż, Łucjan Masłocha, w walce z hitlerowskim najeźdźcą wpadli w zasadzkę 3 dni po ich ślubie, zginęli pod gradem kul gestapo.

Ich grób jest w Kopenhadze. Uznani są jako bohaterowie Danii i Polski.

Z Łucjanem Masłochą kończyłem IV Kurs Podchorążych Piechoty w 1935/36 w Grudziądzu. Łucjan uprzednio ukończył Szkołę Morską. Z nami też kończyli Grudziądz: Szukalski Werner, Makurat Kazimierz, Grabe – absolwenci gimnazjum w Wejherowie.

Żonę Łucjana Cyłkowskiego, jego córkę, Ingrid Wolf oraz Jego teściów O. G. Madsen odwiedziłem w Kopenhadze w 1958 r.

Sytuacja rodziny Aleksandra Mionskowskiego była następująca: pozbawiono ich obywatelstwa gdańskiego, odebrano rentę inwalidzką, ich wychowankowie Władysław i Amandus Gańscy członkowie klubu sportowego Gedania – zamordowani w 1940 r. w Mauthausen, Edmund Gański – w obozie pracy. Ich syn Brunon Mionskowski ukrywał się i działał w „Gryfie Kaszubskim”, później w „Gryfie Pomorskim”, na terenie Tczewa i Starogardu Gd. Franciszek uczeń 8 klasy gimnazjum Polskiego w Gdańsku – w obozie koncentracyjnym Dachau.

Blższe dane o rodzinie Mionskowskich, o ich wielkim patriotyzmie i wielkiej pomocy dla więźniów Stutthof, dla ukrywających się w Borach Tucholskich, na Kaszubach podam w moim życiorysie. Z rodziny Aleksandra Mionskowskiego żyje jedynie Franciszek. Warto z nim porozmawiać. Mieszka we Wrzeszczu.

Paweł Brzeski

KŁĘKA

Stanisław Janke laureatem nagrody literackiej Miasta Gdańska

■ Stanisław Janke, nasz kolega redakcyjny, otrzymał za swą powieść „Żółty kamień” główną nagrodę w VII edycji Konkursu Literackiego Miasta Gdańska, którą zgodnie z regulaminem konkursu, jest wydanie na koszt miasta nagrodzonej książki.

Jury konkursu, któremu przewodniczyła prof. Jadwiga Kotarska, uznało „Żółty kamień” za „interesującą próbę zmierzenia się ze złożoną prawdą naszego czasu, zwłaszcza z niezwykle ważnymi dla Polski latami osiemdziesiątymi. Podkreśliło dużą znajomość lokalnych realiów, interesujące osadzenie bohatera w społeczności kaszubskiej oraz rozmaitych środowiskach Trójmiasta”.

Staszek Janke pracuje z nami dwadzieścia lat. Czytelnicy „Pomeranii” poznali go z recenzji, reportaży, przeróżnych informacji oraz twórczości literackiej. Przypomnijmy, że jest autorem tomu poezji „Jo nie jem motelnikiem” (1984 r.), wierszy dla dzieci „Żużonka jak mrzonka. Kołysanka z marzeń” (1984 r.), powieści „Łiskawica” (1989 r.), adaptacji teatralnych, autorem tłumaczeń na język kaszubski. Na co dzień w redakcji jest naszym ekspertem od języka kaszubskiego. Co rusz na tekstach kaszubskich piszemy uwagę: Staszku, sprawdź!

Ciesząc się wraz z nim nagrodą, życzymy mu następnych tomików poetyckich i tomów prozy.

Redakcja

Mowa starków w Starzynie

■ Zapoczątkowany w Gnieździe coroczny konkurs recytatorski „Bę nie zabęc mówę starków” od paru lat nosi imię Jana Drzeżdżona i organizowany jest w miejscowo-

ściach północnych Kaszub, z którymi pisarza łączyły osobiste związki. Tegoroczny, siódmy konkurs odbył się 17 kwietnia w Starzynie, gdzie J. Drzeżdżon uczęszczał do ostatnich klas miejscowej szkoły podstawowej. Wielu mieszkańców starszego pokolenia pamięta, jak przyszły pisarz wraz z kolegą przemierzał pięciokilometrową drogę z Domatowa do Starzyna, nie bacząc na deszcz czy śnieżne zawieruchy, zimą zawsze z podręczną lampą naftową; światło lampy podczas ciemnych zimowych poranków było dla mieszkańców wsi znanym sygnałem – oto „jidą ti dwaji drėsze z Domôtowa”.

Szkoła w Starzynie, jedna z niewielu w okolicy, była placówką pełnoklasową jeszcze przed wojną. Do jej budowy przyczynił się sołtys i społecznik Władysław Konefka, zamordowany przez hitlerowców w Piaśnicy. Jego to wybrano patronem szkoły, przed rokiem nowocześnie rozbudowanej, z dużą salą gimnastyczną i wieloma przestrzennymi klasami. W jednym z pomieszczeń powstała Izba Muzealna, która dzięki zaangażowaniu nauczycieli, dzieci i rodziców została wypełniona niezliczonymi pamiątkami historycznymi, starymi przedmiotami codziennego użytku, dokumentami i fotografiami. Podczas konkursu odbyło się uroczyste otwarcie izby oraz nadanie jej imienia Jana Drzeżdżona. Aktu tego dokonała żona pisarza, Urszula Drzeżdżon. W programie imprezy były również występy artystyczne miejscowej młodzieży.

Jury konkursu, pod przewodnictwem Romualda Łukowicza, przesłuchało ponad 50 recytatorów z czterech grup wiekowych. Zgodnie z tradycją konkursu deklamatorzy poza dowolnym fragmentem utworu literatury kaszubskiej, przedstawiali własne teksty. Do wyboru mieli następujące tematy: pòmógóm nēnce (tatkówi), pówiōstci starków, mój drēch, jedzemē na gōscēnā, zeszłoroczny wiōłdzi wiater, mōja nōwikszo redosc, w lese. W poszczególnych kategoriach wiekowych trzy pierwsze miejsca zajęli: kl. I-III – Agata Dopke z Darżlubia, Alicja Maciejewska ze Starzyna, Monika Dopke z Karlikowa; kl. IV-VI – Krzysztof Piontke z Pucka, Agnieszka Lessnau z Polczyna, Hanna Ceynowa z Chłapowa; kl. VII-VIII – Dawid Zielke ze Starzyna, Ewa Serwa z Chłapowa, Magdalena Mroch z Leśniewa; w kategorii szkół ponadpodstawowych najlepsze miejsca zajęli: Izabela Piontke, Piotr Ciskowski, Romualda Białk. Nagrodę im. J. Drzeżdżana za najlepszy tekst własny otrzymała Agnieszka Lessnau, która przedstawiła gawędę o spokrewnionym z jej rodziną Józefie Ceynowie, pisarzu kaszubskim rodem z Polczyna. Nagrodę główną – Diabelskie Skrzypce, za najlepsze przygotowanie uczniów do recytacji, jury przyznało Szkole Podstawowej w Starzynie.

Starzyńska społeczność z wielkim zaangażowaniem włączyła się w organizację konkursu „Bę nie zabęc mówę starków”, powołując nawet miejscowy komitet organizacyjny. W gronie pozostałych organiza-

torów znaleźli się: Muzeum Ziemi Puckiej i Oddział Zamiejscowy Kuratorium Oświaty w Pucku oraz Gminny Ośrodek Kultury, Sportu, Turystyki i Ochrony Przeciwpowodzi gminy Puck. s.j.

Epilog Kongresu Pomorskiego na ziemi chełmińskiej

■ Imprezy organizowane przez Związek Przyjaciół Pomorza w ramach Kongresu Pomorskiego na ziemi chełmińskiej, z których szczegółowa relacja ukazała się na łamach „Pomeranii” (11-12/1997) miały swój epilog w Grudziądzu w okresie od stycznia do marca 1998 r. Wszystkie odbyły się w obchodzącym swoje 100-lecie Domu Polskim „Bazar” i cieszyły się niesłabnącym zainteresowaniem. W ramach popularnonaukowej sesji przygotowanej przez Sekcję Miłośników Ziemi Chełmińskiej Klubu „Bazar”, a zorganizowanej 20 stycznia z okazji 78 rocznicy powrotu Pomorza do Polski, przypomniano wizytę Józefa Piłsudskiego w „Bazarze”, a także rolę, jaką ta placówka odegrała w podtrzymywaniu tradycji patriotycznych. „Bazar” w latach zaborów „wszczepiał młodzieży prawdę o tym, kim jesteśmy”. Kilka dni później (24 stycznia), inaugurując obchody 80-lecia odzyskania niepodległości, odsłonięto w „Bazarze” tablicę pamiątkową poświęconą pierwszemu marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, a w części artystycznej przedstawiono montaż poetycko-muzyczny „Wróciła wolność” w wykonaniu zespołu Mozaika z SP nr 10. Zespół ten wykonał też piosenki grudziądzkich autorów, m.in. Marii Łożewskiej.

Podniosłe brzmiały pieśni legionowe w wykonaniu chóru męskiego Echo, a cała uroczystość była doskonałą lekcją historii dla biorącej w niej udział młodzieży. Niestrudzony w przypominaniu historycznych tradycji Pomorza Jerzy Szwarec wspólnie z sekcją Miłośników Ziemi Chełmińskiej zorganizował 17 lutego w Grudziądzu spotkanie z okazji 525 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. J. Szwarec zaproponował utworzenie kopernikańskiego szlaku turystycznego, łączącego Uppsala, Królewiec, Frombork, Gdańsk, Malbork, Chełmno, Grudziądz, Toruń, Kraków, Ferrare, Padwę i Bolonię. W Grudziądzu Kopernik jest szczególnie pamiętany jako autor wydanego tu „Traktatu o wartości pieniądza”. W czasie uroczystości przypomniano osiągnięcia tułtejszego Towarzystwa Miłośników Astronomii, a zwłaszcza zasługi założonego 25 lat temu planetarium, w którym zdeponowany jest m.in. obraz przedstawiający Kopernika jako ekonomistę.

17 marca w „Bazarze” odbyło się zakończenie Kongresu Pomorskiego. Był to właściwie wieczór wspomnień, podczas którego przypomniano wielu zasłużonych dla regionalizmu pomorskiego kupców grudziądzkich, zwłaszcza drogerzystów, a także podziękowań – dla „wszystkich, którzy przyczynili się do organizacji Dni Kongresowych (...) w szczególności panu Jerzemu Szwarzowi”. Przewodniczący Rady Miasta Grudziądza Roman Wardziński w liście skierowanym do organizatorów podkreślił, że „władze samorządowe doceniają szczególnie rolę promocyjną Kongresu Pomorskiego” i dziękują za „zaangażowanie się wielu znakomitych nazwisk i sponsorów w organizację Kongresu”. Wyrzucił też przekonanie, że „przyjęte w ciągu trwania Kongresu Pomorskiego ustalenia i rezolucje realizowane będą w najbliższych latach”.

SBR

Z Łęborka

Trudne czasy dla rzemiosła

■ Miejscowy Cech Rzemiosł Różnych nie ma powodu do radości. W Dzień Rzemiosła (17 kwietnia) jego przedstawiciele mówili, że rzemiosło pogrążone jest w marazmie.

W 1988 roku łęborski cech zrzeszał aż 840 zakładów. – Mówiło się wtedy o łęborskiej rzeczypospolitej rzemieślniczej – mówi Marek Wenta, sekretarz zarządu CRR. – Obecnie rzemieślnicy nie czują potrzeby zrzeszania się w cechu. Kiedyś należeli, bo kierowali się motywacją ekonomiczną – cech dystrybuował różne deficytowe surowce i towary potrzebne do prowadzenia działalności.

W roku bieżącym CRR skupia 176 zakładów z rejonu łęborskiego. Prym wiodą zakłady przemysłu motoryzacyjnego (aż 43), spożywczego (32) i drzewnego (21).

Zdaniem rzemieślników, zniesienie wymogu posiadania kwalifikacji zawodowych (tytułu mistrza) na początku lat 90. zaowocowało powstaniem tzw. dzikich warsztatów, które wyeliminowały zakłady z wieloletnią tradycją. Gwoździem do trumny, mówią, było wejście na rynek dużych firm zachodnich. W rzemieślników uderzyły też towary sprowadzane z zagranicy. Upadło wiele branż usługowych, głównie krawiectwo i szewstwo.

Cech w Łęborku powstał 28 sierpnia 1945 r. Fachowcy napływali z różnych stron kraju. Powstało wówczas 9 sekcji zawodowych: budowlana, elektryków, fryzjerów, krawców, malarzy, piekarzy, rzeźników, stolarzy i szewców. W czasach stalinowskich cech rozwiązano, a rzemieślników szykanowano. Zielone światło, jak mówią, zapalił dla nich Gomułka. Konsumpcja usług wzrosła w czasach gierkowskich. Dobra passa skończyła się w okresie transformacji. Rzemieślnicy narzekają na duże składki ZUS oraz na rosnące podatki lokalowe.

– Musimy się zrzeszać, aby wymóc na naszych władzach korzystne dla rzemiosła warunki – mówi M. Wenta. – Przecież rzemiosło daje ludziom zatrudnienie, a do kasy miejskiej trafia podatek obrotowy.

Łęborski CRR oferuje płatącom regularnie składki rzemieślnikom szeroką gamę propozycji: jest radcą prawnym, rozjemcą w drażliwych sprawach, prowadzi sprawy uczniowskie od zawiązania umowy aż do egzaminu czeladniczego i mistrzowskiego.

Rzemieślnicy wiążą duże nadzieje z wciąż odsyłaną do komisji sejmowych ustawą o działalności gospodarczej. Ma ona przywrócić obowiązek posiadania kwalifikacji zawodowych przez rzemieślników. Liczą na wsparcie ze strony Sejmowej Komisji do Małych i Średnich Przedsiębiorstw (o swoich problemach monitowali tam już w lutym br.).



Fot. Stanisław Janke

Po konkursowych zmaganiach można było obejrzeć zgromadzone w starzyńskiej Izbie Regionalnej eksponaty

Portrety małych malarzy

■ W Młodzieżowym Domu Kultury odbył się wernisaż wystawy dziecięcych prac „Galeria naszych portretów”.

Na ekspozycję złożyły się portrety bliskich i znajomych namalowane przez około 40 dziewcząt i chłopców w wieku od 5 do 14 lat, uczęszczających na zajęcia plastyczne do pracowni Grażyny Popin. Namalowane (głównie akwarelami) prace zadziwiły odbiorców kolorystyką i oryginalnością wykonania. Część z nich opatrzona jest interesującymi tytułami: „Aż kręci się w głowie”, „Ciemne i jasne strony twarzy”, „Dopiero będą”, „Zielono mi”.

Czarne dziury

■ Wydarzeniem oświatowym marca był Wojewódzki Konkurs Astronomiczny zorganizowany przez słupski Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli i miejscowe Koło Fizyczno-Astronomiczne „Copernicus”. Konkurs zgromadził w Liceum Ogólnokształcącym nr 4 – 13 pasjonatów badań nad Słońcem, Księżycem i gwiazdami.

Najliczniejszy, bo aż 5-osobowy zespół, wystawił „Copernicus” prowadzony przez W. Klatę, astronoma i nauczyciela fizyki w LO nr 1.

Na konkurs wpłynęło 29 prac (17 z Łęborka, 8 z Człuchowa i 4 ze Słupska). – Przeważały tematy teoretyczne – mówi W. Kłata. – Prace związane były głównie z kosmologią lub dotyczyły czarnych dziur. Wiedza uczestników była imponująca.

Do udziału w XIV Ogólnopolskim Młodzieżowym Seminarium Astronomicznym w Grudziądzu jury wytypowało Magdalenę Okrój z Anglojęzycznego Społecznego Liceum Ogólnokształcącego w Łęborku oraz Marcina Zielińskiego z LO nr 1. Magda wygłosiła referat „Rzecz o czarnych dziurach”, a Marcin opowiadał o „meteorytach – kosmicznych przybyszach”. Oboje są członkami koła „Copernicus”. W Grudziądzu, gdzie swoje referaty prezentowało 46 uczniów szkół średnich z 27 województw, znaleźli się w pierwszej dziesiątce.

Turystyczny Lew

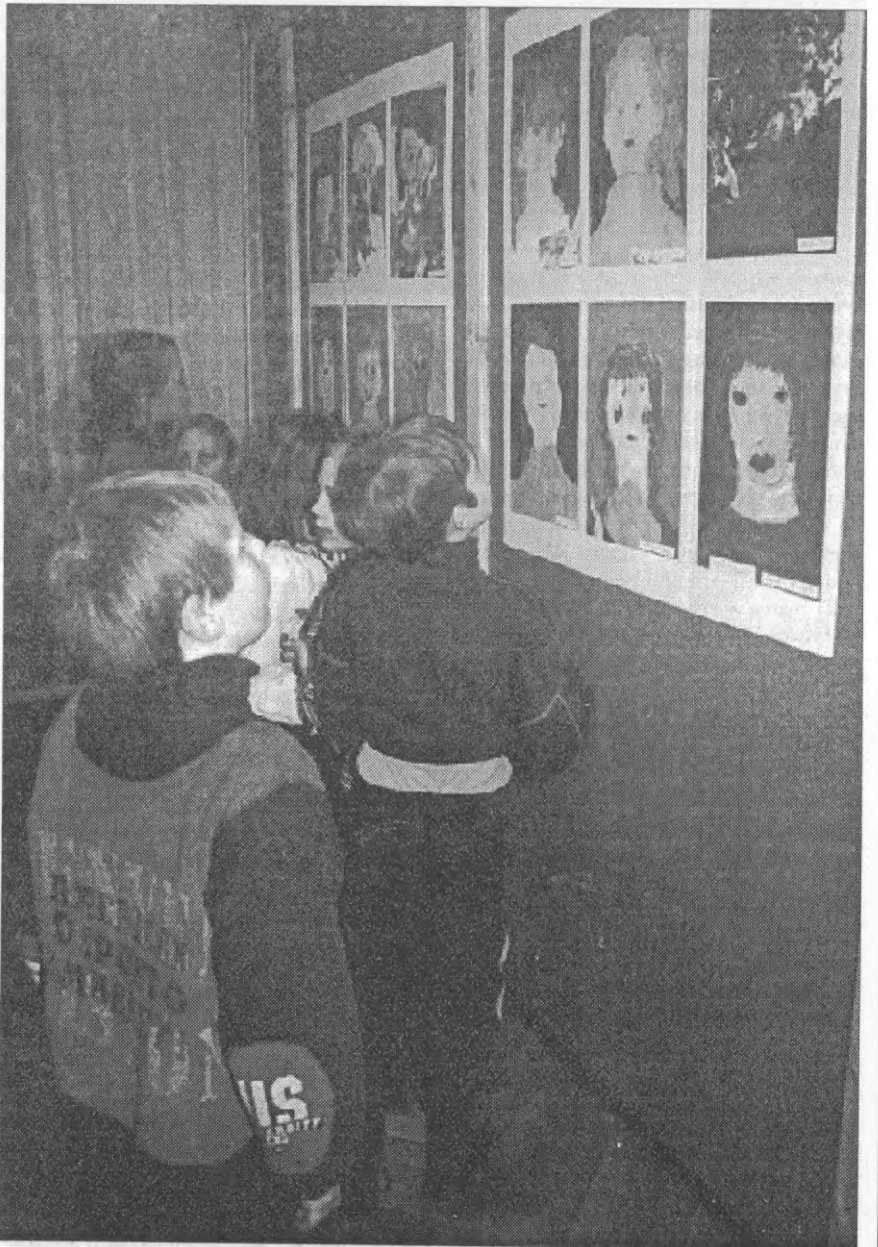
■ Wiosenny rajd pieszy o „Turystycznego Lwa”, jaki odbył się 20 marca br., przekroczył najśmielsze wyobrażenia organizatorów. Wzięło w nim udział aż 345 uczniów z miejscowych szkół i 20 opiekunów.

Raid zorganizowali: Koło Przewodników PTTK w Łęborku, Urząd Miejski i Leśnictwa Nowa Wieś Łęborska. Start i meta były w Łęborku. 10-kilometrowa trasa przebiegała przez Kębłowo, Łówcze i Mosty. Najwięcej uczestników zgłosiła SP nr 1 (około 130 uczniów). Silną (i zarazem zwycięską) 50-osobową reprezentację wystawiła SP nr 8. – Nauczycielki z „ósemki” M. Staniszevska i L. Szatkowska mówią, że ich szkolne koło turystyczne bierze udział w



Fot. Andrzej Radajewski

Grochówka smakowała jak nigdy



Fot. Piotr Halas

„Aż kręci się w głowie” od oglądania

każdej imprezie turystycznej, bo chcą, aby młodzież uwierzyła, że wolny czas można spędzić niekoniecznie tylko przed telewizorem. Każdy z uczestników otrzymał okolicznościowy znaczek rajdu, a wędrowkę zakończyła tradycyjna grochówka ufundowana przez Zakład Przetwórstwa Spożywczego „Szymgar”.

Andrzej Radajewski

Z Bydgoszczy

Obchody marca 1981 r.

■ 19 marca br. minęła 17. rocznica wydarzeń marcowych w Bydgoszczy. Tego dnia w 1981 r. przedstawiciele NSZZ „Solidarność” przybyli na sesję Wojewódzkiej Rady Narodowej. Niestety, nie pozwolono im wziąć udziału w sesji. Wobec odmowy wyjścia z sali obrad miejscowi przedstawiciele ówczesnej władzy wezwali uzbrojone oddziały milicji i tzw. siły porządkowe. Usunęli oni siłą przedstawicieli NSZZ „Solidarność” i ciężko ich pobili. Po tym zajściu Jan Rulewski i kilku jego kolegów zostało odwiezionych do miejscowego szpitala. Konflikt bydgoski odbił się głośnym echem w całym kraju.

18 marca br. w kawiarni „Węgliszek” spotkali się bohaterowie – aktorzy tamtych wydarzeń z członkami stowarzyszenia „Klub Bydgoski” i przedstawiciele Zarządu Regionu Bydgoskiego NSZZ „Solidarność” oraz władze miasta, województwa i parlamentarzysty. Następnego dnia w kościele pw. Polskich Braci Męczenników odprawiona została uroczysta msza św. w intencji miasta i ojczyzny. Wieczorem 18 marca na wolnym powietrzu wystawiony został spektakl „Fotografia” Teatru W Drodze i koncert w Filharmonii Pomorskiej.

21 marca w holu Urzędu Wojewódzkiego otwarto wystawę tematycznie związaną z tamtymi czasami oraz odbyła się sesja naukowa „Marzec 1981. Perspektywa społeczeństwa obywatelskiego” z udziałem znanych historyków, pracowników i socjologów Wojciecha Roszkowskiego i Andrzeja Paczkowskiego, Andrzeja Marka, Romualda Kukołowicza oraz Zbigniewa Kwiecińskiego i Teresy Hejnickiej-Bezwińskiej. W dyskusji głos zabrali m.in. Jan Rulewski i Antoni Tokarczuk, którzy podzielili się osobistymi refleksjami na temat marca 1981 r.

Wprawdzie podczas sesji wyjaśniono kilka spraw, jednakże wiele pytań czeka jeszcze na odpowiedź. Uczestnicy wydarzeń marca 1981 r. postulowali opracowanie monografii na ten temat, która powinna uwzględnić zachowane materiały archiwalne. Sesję przygotowało Stowarzyszenie „Klub Bydgoski” i Zarząd Regionu Bydgoskiego NSZZ „Solidarność”.

Kulminacyjnym punktem obchodów bydgoskiego marca 1981 roku było odsłonięcie obelisku – kamienia memorialnego z in-

skrypcją Andrzeja Szwalbego, honorowego obywatela Bydgoszczy:

W tym gmachu, w dniu 19 marca 1981, wyrażona została wola ogółu, by państwo stało prawem a społeczeństwo sprawiedliwością, lud zaś ujął w swe ręce cadość dziedzictwa narodowego.

Obelisk postawiony przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy ma nie tylko upamiętniać tamte wydarzenia, ale przede wszystkim służyć jako przestroga dla potomnych, że rodacy powinni wszelkie sprawy trudne i konfliktowe rozstrzygać na drodze pokojowej.

Konkurs chórów

■ W ostatnich dniach marca odbył się Ogólnopolski Konkurs Chórów a Capella Dzieci i Młodzieży. Był to już XVIII konkurs, a jego organizatorami są: Ministerstwo Edukacji Narodowej i bydgoskie kuratorium oraz Pałac Młodzieży. Po przesłuchaniu 31 zespołów wyłoniono laureatów pucharu MEN oraz złote, srebrne i brązowe Kamertony. Ponadto przyznano Grand Prix konkursu bez względu na kategorię głosową chóru.

W kategorii chórów „głosów równych” Złote Kamertony otrzymały zespoły: Fantazja ze Słupska oraz Ostinato ze Szczecinka i Skowronki z Poznania, Srebrny Kamerton w kategorii chórów szkół podstawowych zdobył zespół ze Szkoły Podstawowej nr 63 w Bydgoszczy. Ponadto chór ten uzyskał nagrodę prezidenta m. Bydgoszczy. W kategorii „głosów mieszanych” Złote Kamertony przyznano chórom: Schola Cantorum z Knurowa oraz Kantylena z Leszna i Every Late ze Sztumu. Ponadto chór Schola Cantorum otrzymał zaproszenie do udziału w znanym i popularnym konkursie Bydgoskie Impresje Muzyczne.

Grand Prix tegorocznego konkursu jury przyznało chórowi Fantazja. Wśród wyróżnionych zespołów znalazł się również chór Cantabile z Inowrocławia, otrzymał nagrodę wojewody bydgoskiego.

Po ogłoszeniu wyników uczestnicy konkursu zgromadzeni na scenie Filharmonii Pomorskiej im. I. Paderewskiego wykonali spontanicznie utwór „Viva Musica”. XVIII Ogólnopolski Konkurs Chórów a Capella Dzieci i Młodzieży Szkolnej zakończył się uroczystą galą.

Targi Budownictwa Ekologicznego

■ Od 2 do 4 kwietnia br. odbywały się Targi Eko-Bud '98, zorganizowane na terenie obiektów sportowych klubu Zawisza.

W targach wzięło udział ponad 100 wystawców. Zaprezentowali oni przyjazne dla człowieka i środowiska materiały, urządzenia i technologie związane z budownictwem

jedno- i wielorodzinnym oraz rekreacyjnym. Na uwagę zasługiwały różnorodne materiały budowlane oraz wyroby reprezentujące nowoczesną stolarkę okienną i drzwiową. Duże zainteresowanie wzbudziły przydomowe oczyszczalnie ścieków.

W ramach targów odbył się konkurs „Budowa na medal”, zorganizowany pod patronatem Pomorsko-Kujawskiej Izby Budownictwa.

Spotkania chórálne

■ Kolejne, czwarte Międzynarodowe Spotkania Chórálne odbyły się w kwietniu br. Zainicjował je Janusz Stanecki, prezes bydgoskiego oddziału Polskiego Związku Chórów i Orkiestr.

W konkursie wzięły udział 24 zespoły zagraniczne i polskie, w tym trzy chóry bydgoskie: Kameralny Akademii Muzycznej, Akademicki z Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Akademicki Akademii Medycznej. Uczestnicy spotkań ubiegali się o miano najlepszego chóru mieszanego, w tym o nagrodę miast: Bydgoszczy i Chełmna. Ubiegające się o nagrodę miast chóry zobowiązane były do wykonania utworu Pawła Łukaszkewskiego „Beatus Vir, Sanctus Adalbertus”. Występy odbyły się w Filharmonii Pomorskiej oraz w kościele farnym i auli Gimnazjum Chełmińskiego w Chełmnie. Chórom towarzyszyły orkiestry Filharmonii Pomorskiej i Akademii Muzycznej.

Międzynarodowe Spotkania Chórálne „Arti et Amicitiae” („dla sztuki i przyjaźni”) nawiązują do akademickich spotkań chóralnych, które odbywały się w Bydgoszczy w drugiej połowie lat. 80.

Sokół na Pomorzu

■ Ukazała się praca „Towarzystwo Gimnastyczne »Sokół« na Pomorzu 1893-1939”. Jej autorem jest Andrzej Bogucki, współzałożyciel w 1990 r. Związku Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” w Polsce, znany działacz towarzystwa w Bydgoszczy i w Polsce. Aktualnie A. Bogucki pełni funkcję sekretarza generalnego związku, jednocześnie, od 1993 r. jest prezesem Dzielniczy Pomorskiej ZTG „Sokół” w Polsce).

Książka obejmuje lata 1893-1939, czyli okres od powstania sokolstwa na Pomorzu do wybuchu wojny. Autor używa terminu Pomorze umownie, najpierw w odniesieniu do Prus Zachodnich i Kujaw Zachodnich, następnie, w okresie międzywojennym, województwa pomorskiego, (częściowo również poznańskiego) wraz z Wolnym Miastem Gdańskiem. W rozdziale 1. przedstawiając genezę i cele „Sokoła” w latach 1867-1914 autor stara się podkreślić istotę Towarzystwa „Sokół” na Pomorzu, w tym na terenie Kujaw Zachodnich. W kolejnych rozdziałach przedstawia powstanie i działalność „Sokoła” w Prusach Zachodnich, „Sokoła” w latach 1914-1920 i wreszcie strukturę i rozwój organizacyjny sokolstwa pomorskiego



Sokoła rodzina z Fordonu

w latach 1919-1939. Autor wykorzystał w tej interesującej pracy bogaty materiał źródłowy, z archiwów krajowych i zagranicznych. Książka zawiera cenne aneksy, w tym wykazy gniazd, zlotów, zarządów i noty biograficzne działaczy sokolich oraz bogaty zestaw zdjęć ze zbiorów Centrum Informacji Naukowej Sokolstwa Polskiego przy Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” II w Bydgoszczy Fordonie.

RM

Byłe przepaści

■ „Bilé propasti” to tytuł „Antologii młodej poezji polskiej”, obejmującej dorobek lat 80. i 90. w przekładzie na język słowacki, wydanej w Brnie w 1997 r. W gronie autorów, których wiersze sąsiedzi uznali za najciekawsze we współczesnej literaturze polskiej, znalazł się Grzegorz Wróblewski.

Grzegorz, syn Romana Wróblewskiego, którego imienia nagrodę przyznaje młodym twórcom kaszubskim redakcja „Pomeranii”, urodził się w 1962 r. w Gdańsku, a od lat mieszka w Kopenhadze. Publikuje w Polsce i w innych krajach Europy (m.in. niedawno kilka jego wierszy opublikowała pa-

ryska „Kultura”). Zyskał opinię najlepszego poety wśród cudzoziemców tworzących na terenie Danii. Jak napisali o nim autorzy antologii, twórcy przekładów na język słowacki, jest G. Wróblewski poetą sytuacji, bystrym kreślarzem życia codziennego. Autorami interesującego wstępu są Renata Putzlacher-Buchtowa i Bogdan Trojak, a Libor Martinek i Mirosław Zelinsky autorami przekładów. G. Wróblewski w swoim dorobku ma m.in. trzy tomiki: „Ciomkowość życia” (1992), „Planety” (1984) i „Dolina Królów (brak roku wydania). W przywołanej antologii znalazło się 11 jego wierszy. Gratulujemy!

J. B.

Wspomnienie bohaterskiego redaktora

■ Minęło właśnie 65 lat od ukazania się pierwszego numeru „Zrzesz Kaszëbsczi”. Pierwszy numer dwutygodnika wyszedł z datą 17 kwietnia 1933 roku w drukarni „Dziennika Gdynskiego” w Gdyni. Poza Aleksandrem Labudą, redaktorem naczelnym, do

ścisłego grona członków zespołu i współpracowników pisma należeli wówczas Stefan Bieszk, Jan Rompski i Jan Trepczyk. Z powodu oskarżeń redakcji o separatyzm kaszubski, represji władz sanacyjnych, właściciel gdynskiej drukarni po paru miesiącach zrezygnował z druku „Zrzesz”. Od 17. numeru pismo zaczęło ukazywać się w Kartuzach, a redaktorem odpowiedzialnym został Ignacy Szutenberg.

W okresie gdyńskim redaktorem odpowiedzialnym „Zrzesz Kaszëbsczi” był Robert Nowc. Poza krótką notą w „Historii literatury kaszubskiej” Ferdinanda Neureitera, w innych publikacjach poświęconych ruchowi kaszubskiemu nie ma żadnej wzmianki o redaktorze pisma Zrzeszistów. Gdy o Nowcu przypadkowo wspomniałem podczas rozmowy z gdańskim działaczem sportowym Leonardem Wallerandem, powiedział z podekscytowaniem: „To właśnie ja opiekuję się grobem tego człowieka, był moim ojczymem. Leży na cmentarzu w Kościerzynie”.

Leonard Wallerand nie tylko troszczy się o mogiłę Roberta Nowca, zna także jego niedługi, tragicznie zakończony żywot. Robert Nowc urodził się w 1910 roku we wsi Pogórze pod Gdynią (dziś dzielnica miasta), gdzie Nowcowie prowadzili duże gospodarstwo rolne. Robert Nowc po ukończeniu Państwowego Seminarium Nauczyciel-

skiego Męskiego w Kościerzynie przez kilka lat pracował jako nauczyciel na Kaszubach.

Za działalność kaszubską Zrzeszycy doświadczyli wielu represji, ciągłych konfiskat pisma. Jan Trepczyk został przeniesiony ze szkoły na Kaszubach do Rogoźna w Wielkopolsce, Stefan Bieszk z gimnazjum w Chojnicach do Zamościa. Aleksandra Labudę w zamian za rezygnację z wydawania „Zrzesz” próbowano przekupić wysokim stypendium na studia w Warszawie. Roberta Nowca przeniesiono z Klukowej Huty do Pińskich Błot na Kresach Wschodnich, dziś na Białorusi. Z powodu fatalnych warunków szybko stamtąd wrócił i zrezygnował z pracy w oświacie. Z całym zapalem oddał się, jak pisano na łamach „Zrzesz”, „ideowej pracy nad odrodzeniem Kaszub”. Nie tylko bezinteresownie pracował jako redaktor odpowiedzialny, „narażając się na różnego rodzaju nieprzyjemności i procesy prasowe”, ale także wspierał finansowo wydawnictwo „Zrzesz Kaszëbsczi”.

Pod koniec 1933 roku ożenił się w Nowym Klińcu z Anną Wallerand, wdową po Anzelmie, synie znanego w Kościerzynie emerytowanego nauczyciela i organisty. W Nowym Klińcu prowadził z żoną gospodarstwo rolne, a na początku 1934 roku zapisał się na kurs dla sekretarzy gminnych w Toruniu. Latem tego roku wysłano go na praktykę zawodową do Piątku pod Łodzią. 12 lipca poszedł kąpać się w Mszczeniczy. W czasie kąpieli dobiegły go krzyki tonących chłopców. Dwóch uratował, utopił się razem z trzecim. Miał wówczas 30 lat. Jego ciało przewieziono do Kościerzyny. Pogrzeb odbył się 17 lipca 1934 roku. Mimo że od tego czasu minęło już kilka dziesiątek lat, na jego mogile wciąż pojawiają się kwiaty i plonie znicz.

Stanisław Janke

Konkurs Poetycki im. Józefa Baki SJ

■ Z okazji 400-lecia jezuitów w Warszawie, komisja ds. jubileuszu i redakcja „Przeglądu Powszechnego” ogłaszają konkurs na zestaw pięciu wierszy o dowolnej tematyce.

Prace opatrzone godłem, w czterech egzemplarzach, z nazwiskiem i adresem autora w oddzielnej, zamkniętej i opatrzonej tym samym godłem kopercie, prosimy przysłać pod adresem: Redakcja „Przeglądu Powszechnego”, ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa – do końca sierpnia 1998 r., z dopiskiem konkurs poetycki.

Oceny utworów dokona jury w składzie: Adriana Szymańska, Krzysztof Dorosz SJ, Sergiusz Sterna-Wachowiak i Piotr Szewc.

Ogłoszenie wyników nastąpi 21 października 1998 r. o godz. 16.00 w Kolegium Księży Jezuitów w Warszawie, ul. Rakowiecka 61, sala 21.

informacje regionalne

Audycje

„Na bôtach ë w borach”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, niedz., g. 7.20-8.00

Radio Weekend Chojnice, fale 68,24 i 99,30 MHz, niedz., g. 7.20-8.00 i piąt., godz. 17.25-18.00

„Pomorskiej ziemi skarbnica” i „Małe ojczyzny”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, co czwarty wtorek, g. 20.05-21.00

„Rodnô zemia”

Telewizja Polska, gdański progr. II i III, niedz., g. 8.45-9.05 i czw. po g. 23.00 (tylko gdański progr. III).

„Magazyn kociewski”

Telewizja Polska, gdański progr. III; ostatnia śr. miesiąca, g. 23.40-24.00 i najbliższa niedz. g. 8.30-8.50 (progr. II i III)

Kaszubskie msze święte

Raz w miesiącu

Wygoda, kościół św. Józefa, pierwsza niedziela, g. 11.00, ks. **Bogdan Drozdowski**

Gdynia Cisowa, ul. Kcyńska 2, kościół Przemienienia Pańskiego, pierwsza niedziela, g. 14.00, ks. **Stanisław Megier**

Żelistrzewo, kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, pierwsza niedziela, g. 17.00, ks. **Zbigniew Kulwikowski**

Gdańsk, Zaulek Świętojański 2, kaplica kościoła św. Jana, druga niedziela, g. 12.00, ks. **Waldemar Naczek**; po mszy spotkanie w Domu Kaszubskim, ul. Straganiarska 20-22

Rumia, druga niedziela, kolejno w kościołach: św. Krzyża (ul. Kościelna 30), g. 12.30 oraz św. Józefa (ul. Podgórna 1), NMP (ul. Świętojańska 1) i św. Jana z Kęt (ul. Stoczniovców 23), g. 14.30, ks. **Stanisław Megier**

Lipusz, kościół św. Michała, trzecia niedziela, g. 15.00, ks. **Władysław Szulist**

Gdynia Babie Doły, ul. Rybaków 2A, kościół MB Licheńskiej i św. Jerzego, ostatnia niedziela, g. 12.15, ks. **Edmund Skierka**

Kościerzyna, ul. Kościelna 6, kościół Trójcy Świętej, ostatnia niedziela, g. 18.00, ks. prałat **Marian Szczepiński**, ks. **Jacek Dawidowski** i ks. **Stanisław Stole**

Gdańsk Przymorze, ul. Zwycięzców 19, kościół NMP, pierwszy wtorek, g. 19.15, ks. **Waldemar Naczek**; po mszy spotkanie w salce parafialnej

Raz w kwartale

Lębork, ul. Basztowa 8, kościół św. Jakuba, pierwsza niedziela kwartału, g. 15.00, ks. **Alfons Formela**

Bytów, pl. Kardynała Wyszyńskiego, kościół św. Katarzyny, trzecia niedziela kwartału, g. 13.00, ks. **Grzegorz Flisikowski**

Słupsk, ul. Dominikańska 9, kościół św. Jacka, druga niedziela drugiego miesiąca kwartału, g. 14.00, ks. **Roman Skwiercz**

Biura parlamentarne członków ZKP

Senatorskie

Kazimierz Kleiny, AWS, 76-200 Słupsk, ul. Lutosławskiego 33, tel. 0-59/42-68-98, pon.-piąt. 10-14, dyżury senatora: pon. i piąt. 10-14 ● 84-300 Lębork, al. Wolności 22, Oddz. ZR „S”, tel. 0-59/62-36-59, pon. 10.30-14, piąt. 14.30-17

Wicemarszałka Senatu **Donald Tuska**, UW, 80-866 Gdańsk, ul. Gdynskich Kosynierów 11, I p., tel. 341-05-47 i 345-13-06, pon.-piąt. 10-17

Edmunda Wittbrodta, AWS, 80-855 Gdańsk, Wały Piastowskie 24, pok. 131, tel./fax 306-34-11, pon.-czw. 11-17, dyżur senatora: pon. 14-17

Poselskie

Jerzego Barzowskiego, AWS, 76-200 Słupsk, ul. Jedności Narodowej 2, I p., tel. 0-59/42-65-98, pon.-piąt. 8-15.30, dyżur posła: pon. 14-16 ● 77-100 Bytów, ul. Sikorskiego 27, II p., tel. 0-593/22-64, wt. 11-15 i czw. 13-17 ● 84-300 Lębork, al. Wolności 22, Oddz. ZR „S”, tel. 0-59/62-36-59, wt. 16-19

Jerzego Budnika, AWS, 84-200 Wejherowo, pl. Wejhera 15, I p., tel. 672-77-00, pon.-czw. 10-15, dyżur posła: pon. 14-16

Jana Kulasa, AWS, 83-100 Tczew, ul. Podmurna 11, tel. 0-69/31-24-44, pon. 13-15, wt. 12-18, śr. 15-17 i piąt. 13-17 ● 83-200 Starogard Gdański, al. Wojska Polskiego 34, tel. 0-69/162-21-55, pon. 14-18, śr. i piąt. 15.30-18.30

Jana Wyrowińskiego, UW, 87-100 Toruń, Rynek Staromiejski 33-34, m. 1, tel./fax 0-56/216-65, pon.-piąt. 9-15 ● 87-300 Brodnica, ul. Przykop 43, DK, pok. 11, tel. 0-511/821-42, pon. 16-20 ● 86-200 Chełmno, ul. Hallera 11, tel. 0-56/686-92-15 ● 86-300 Grudziądz, ul. Małomyńska 1, I p., tel. 0-51/244-71, pon.-piąt. 12-14

Izby pamięci i regionalne

Podano nazwiska opiekunów placówek

W szkołach

Bytonia, ul. Szkolna 2 (SP), 83-210 Zblewo, tel. 0-69/188-43-84, Kociewska Regionalna (E. Jęrzewska i G. Stanowska)

Czersk, ul. Szkolna 3 (LO), tel. 0-531/842-21, Powstania Listopadowego

Gorzędziej, ul. Tczewska 12 (SP), 83-120 Subkowy, tel. 0-69/136-86-29, H. Stangenberga

83-440 **Karsin**, ul. Długa 167 (SP), tel. 687-31-79, Regionalna Pamiątek

Kartuzy, os. Wybickiego (SP 5), tel. 681-11-54, A. Majkowskiego (B. Zieliński)

Kłaczno (dawna SP), 77-143 Studzienice, tel. 0-593/140-22, Regionalna (St. Szroeder)

Kosobudy (SP), 89-632 Brusy, tel. 0-531/831-20, Regionalna

Kościerzyna, ul. Skłodowskiej-Curie 19 (SP 6), tel. 686-34-34, Księżda B. Sychty (J. Gdaniec)

83-424 **Lipusz**, ul. Wybickiego 27 (SP), tel. 687-45-11, Pamięci Narodowej

84-216 **Łebno** (dawna SP), gm. Szemud, tel. 0-58/676-18-97, Gminna Regionalna; druga i czwarta niedz. miesiąca, g. 14-17 (L. Walkowiak)

84-351 **Nowa Wieś Lęborska** (SP), tel. 0-59/61-21-45, Pamięci Więźniów Obozu „Stutthof”

83-261 **Pieć**, ul. Szkolna 11 (SP), gm. Kaliska, tel. 0-69/187-18-03, Pamięci I. Gulgowskiego

Pinczyn (SP), 83-210 Zblewo, tel. 0-69/188-45-82, Kociewska Regionalna, pon.-piąt. 8-10.30, sob. 14-17

83-236 **Pogódki** (SP), gm. Skarszewy, tel. 0-69/188-11-76, Pamięci Szturmowych

77-320 **Przechlewo** (SP), tel. 0-597/343-00-26, Etnograficzna (M. Wikaryjczyk)

86-123 **Przysiersk** (SP), tel. 0-532/19-223, Regionalna

Redkowice (SP), 84-351 Nowa Wieś Lęborska, tel. 0-59/61-22-31, Pamięci TOW „Gryf Pomorski”

83-340 **Sierakowice**, ul. Kubusia Puchatka 2A (SP), tel. 681-62-34, Regionalna (St. Formela)

Sławno, ul. Kossaka 31 (SP 1), tel. 0-59/10-27-86, T. Kościuszki • pl. Sportowy 1 (SP 2), tel. 0-59/10-35-66, Pamięci Narodowej (St. Guzowski)

Słupsk, ul. Lutosławskiego 23 (SP 1), tel. 0-59/42-55-01, Martyrologii Dzieci Polskich (M. Gardos) • ul. Sobieskiego 2 (SP 4), tel. 0-59/43-22-02, Historyczna (E. Michałowska) • ul. Malachowskiego 9 (SP 9), tel. 0-59/42-27-86, Komandora Hryniewieckiego

Starogard Gdański, szkoły: ul. Chojnicka 70, tel. 0-69/16-225-48, al. Jana Pawła II 4, tel. 0-69/16-220-81 i ul. Sobieskiego 6, tel. 0-69/16-222-49, Izby Martyrologii i Walki Kocięwia • ul. Wybickiego 17 (SP 7), tel. 0-69/16-228-30, W. Broniewskiego • ul. Paderewskiego 11 (ZSZ), tel. 0-69/16-25-081, Majora „Hubala”

83-120 **Subkowy**, ul. Zamkowa 2 (SP), tel. 0-69/136-85-66, Historyczna, VII i VIII, g. 8-15

W innych miejscach

Biała Góra, 83-441 Wiele, gm. Karsin, Ptaków, Ssaków i Motyli (I. Skwierawska)

Brusy, ul. Dworcowa 18 (MDK), tel. 0-531/824-98, Regionalna

86-122 **Bukowiec**, ul. Ceynowy 14 (UG), tel. 0-532/195-80, Regionalna

Gdańsk, ul. Dyrekcyjna 2-4, III p., tel. 308-54-92, Tradycji Północnej DOKP

Gdańsk Sobieszewo, ul. Turystyczna 3, tel. 308-07-66, W. Pola (R. Syski), pon.-piąt. 8-15

Gdynia Grabówek, ul. Morska 83, tel. 621-70-41, w. 650, Tradycji WSM, IX-VII, pon.-piąt. 8-14 (E. Otremba)

Gdynia Orłowo, ul. Światowida 7, tel. 622-15-20, Zbiory kaszubskie ks. H. Jastaka

Jaglie, 89-632 Brusy, tel. 0-531/823-74, Rzeźby Józefa Chęłmowskiego

Jastarnia, ul. Rynkowa 10, Chata rybacka, VII i VIII: wt.-niedz. 14-18, 1 zł

Kartuzy, ul. Gdańska 15, Kaszubski Dwór, tel. 681-46-47, Pamiątek Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca „Kaszuby”

Kartuzy, ul. Kolejowa (dworzec PKP), tel. 681-01-44, Tradycji kolei

84-110 **Krokowa**, ul. Zamkowa 1, tel. 673-77-06, Pamięci Polaków Pomordowanych i Represjonowanych przez III Rzeszę

Lizaki, 83-406 Wąglikowice, gm. Kościerzyna, Rzeźby stylizowane H. Trzcinskiego i rzeźby ludowe oraz zbiory etnograficzne

83-041 **Mierzeszyn**, gm. Trąbki Wielkie, Zbiory etnograficzne i rzeźby Z. Bukowskiego

83-304 **Przodkowo**, ul. Kartuska 21, tel. 681-96-98, Strażacka (W. i L. Deykowie)

Puck, ul. Morska 13, tel. 673-29-72, Zbiory rybackie J. Budzisa (A. Budzisz i E. Budzisz-Szczepańska)

Sławoszyno, 84-110 Krokowa, tel. 673-71-93, GOK, Regionalna im. F. Ceynowy

Sprzedają „Pomeranię”

Księgarnie

- **Bytów**, ul. Wojska Polskiego 12, „Conrad” ul. Gdańska 12, „Conrad II”
- **Chojnice**, ul. Kościuszki 6, „Wiedza”
- **Gdańsk**, ul. Długa 62-63, „Dom Książki” ul. Długi Targ 31/32, GKN im. B. Prusa ul. Grobla I 13, „Fantom Press” ul. Grobla II 12-14D al. Grunwaldzka 43, „Walter” al. Grunwaldzka 99-101, „Po schodkach” ul. Piwna 25-26, „Silva Rerum” ul. Wiła Stwosza 55, „Literka”
- **Gdynia**, ul. Obrońców Wybrzeża 11, „Morska” ul. Świętojańska 1, „Fantom Press”
- **Kościerzyna**, Rynek 14, „Dom Książki”
- **Lębork**, ul. Słowackiego 12, „Liber”
- **Łeba**, ul. Kościuszki 69
- **Puck**, pl. Wolności 33, im. Abrahama
- **Sopot**, ul. Powst. Warszawy 2-6, „Artystyczna”
- **Wejherowo**, ul. Sobieskiego 260, „Remus”
- **Władysławowo**, ul. Hallera 11, „Amber”

Sklepy i inne placówki

- **Gdańsk**, ul. Długa 45, Agencja IT ul. Długie Pobrzeże 11, „Bówka” ul. Szewska 1-4, „Kaszubski”
- **Gdynia**, ul. Morska 95, „Venta”, W. Papierz
- **Jastarnia**, ul. Ks. Stefańskiego 27, „J. Justyna”
- **Kartuzy**, Rynek 2, Agencja Turystyczna
- **Kosakowo**, ul. Żeromskiego, kiosk J. Karszni
- **Krokowa**, ul. Wejherowska 3, „Spożywczy”
- **Lipusz**, ul. Młyńska 12, kiosk w Klubie Rolnika
- **Osie**, Rynek 17, kiosk z prasą
- **Ostrowo**, ul. Zabytkowa 20, „Spożywczy”
- **Puck**, ul. Morskiego Dywizjonu Lotniczego 7, piekarnia I. Brzózki
- **Wiele**, ul. Dąbrowska 32, kiosk w DK
- **Żukowo**, ul. Gdyńska 52, „Supersam” Kow.

Prenumerata „Pomeranii” 1998

Prenumerata w I półroczu wyniesie: w kraju 18 zł (kwartalnie 9 zł; 1 egz. 3 zł); za granicę, zapłacona bezpośrednio w „Pomeranii”, 54 zł (kwartalnie 27 zł).

Oplacić prenumeratę można przez cały czas w redakcji „Pomeranii”, ul. Straganiarska 21/22, 80-837 Gdańsk, lub przekazać na konto: Bank Gdański, IV Oddział w Gdańsku, nr 10401211-664390-132.

Na terenach wiejskich prenumeratę przyjmują listonosze i placówki pocztowe, a w miastach jednostki kolportażowe Ruchu SA. Szczegółowe informacje – bezpłatna infolinia – 8 000 150 047.

Wpłaty na prenumeratę zagraniczną przyjmuje również Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, skrytka poczt. 12, 00-958 Warszawa, konto: PBK XIII Oddział w Warszawie, nr 370044-16551-2700-1-06.

Uwaga! Prenumerata zbiorowa!

Przy prenumeracie w redakcji 5 i więcej egzemplarzy udzielamy 20-proc. zniżki.

Zamawiając 5 egzemplarzy płacisz za 4!



*Cyfrowe
Systemy
Telekomunikacyjne*

DGT Sp. z o.o.

ul. Jaśkowa Dolina 15
80-252 Gdańsk

tel. 42 18 31, fax 41 25 53

DGT Oddział w Straszynie

ul. Młyńska 7

83-010 Straszyn

tel. 82 07 00, 82 08 00

fax 83 29 25

<http://www.dgt.tpnet.pl>

